

ROZMOWA Z SZEFEM MSZ WĘGIER

Péter Szijjártó o relacjach z Polską,
wojnie na Ukrainie i Trumpie

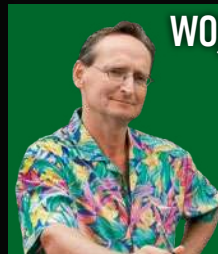


Obywatel Czuchnowski,
czyli wszystkie wojenki
dziennikarza „Wyborczej”

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 7/616 10–16 LUTEGO 2025
CENA 12,90 Zł (W TYM 8% VAT)

DO
PRZECZY



WOJCIECH CEJROWSKI
PRZEKONAŁ SIĘ
DO HASŁA
„POLSKA DLA
POLAKÓW”

Cezary Gmyz waży plusy
i minusy AfD
– Alternatywy dla Niemiec

Rafał A. Ziemkiewicz
demaskuje

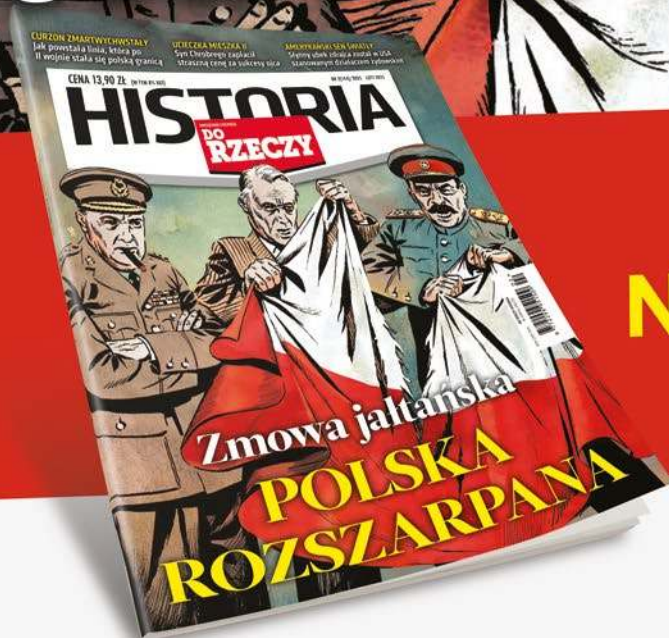
TVN – ANATOMIA MANIPULACJI

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288 829
9 772299 850000
07 >
Nakład: 44 500 egzemplarzy



HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



KTO NAS ZDRADZIŁ W JAŁCIE?

Churchill kontra Roosevelt i Stalin – Sowiecki dyktator mógł liczyć w Jałcie na zastanawiającą przychylność prezydenta USA

Curzon zmartwychwstały – Jak Brytyjczycy wyrysowali linię, której przebieg jest bardzo zbliżony do obecnej wschodniej granicy Polski narzuconej nam w 1945 r.

Ucieczka Mieszka II – Następca Bolesława Chrobrego zapłacił straszną cenę za sukcesy swojego ojca

Plajty, które zmieniły świat – Największe bankructwa w dziejach przyczyniały się do wielkich zmian politycznych i społecznych

Sok z człowieka – Opisywanie odrażającego obyczaju antropofagii to według niektórych badaczy „narzędzie białej supremacji”

Kozacki bał na Lenina – Ataman Aleksandr Dutow jako pierwszy rzucił wyzwanie bolszewikom. Wrogowie nie darowali mu tego nawet po jego śmierci

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Skazani na niewydolność

Do wyborów prezydenckich zostało kilka miesięcy, liczba kandydatów rośnie, ale i tak najważniejsze będzie zapewne starcie Rafała Trzaskowskiego i Karola Nawrockiego. Trudno się dziwić. Zwycięstwo tego pierwszego pozwoliłoby Platformie Obywatelskiej domknąć układ i przejąć kontrolę nad wszystkimi instytucjami państwa. Sukces tego drugiego nie tylko oznaczałby szansę na zachowanie względnej równowagi między dwoma największymi graczami, lecz także, można się spodziewać, otwierałby drogę do przedterminowych wyborów parlamentarnych. Donald Tusk uczynił z wyborów prezydenckich plebiscyt za swoimi rządami lub przeciw nim, z czego wynika, że ewentualna przegrana jego kandydata będzie odebrana jako klęska całej formacji. Jaka jest zatem polityczna stawka tych wyborów, wiadomo. Albo pełnia władzy w rękach Tuska i zgoda na dalsze zaciskanie pętli, albo solidna wyrwa, ba, wręcz uderzenie w podstawy obecnego „stanu przejściowo tymczasowego” z całą jego pogardą dla litery prawa, z wykorzystywaniem do walki politycznej komisji sejmowych, prokuratury, sądów, Krajowej Administracji Skarbowej i w ogóle wszystkich mniej lub bardziej politycznych urzędów publicznych.

Tym jednak, co w całej sprawie jest najsmutniejsze, jest to, że niezależnie od wyników wyborów nie ma w Polsce żadnego praktycznie namysłu nad chroniczną niewydolnością obecnego systemu politycznego. Tak jak został on zaprojektowany i jak został zapisany w konstytucji z 1997 r., tak przetrwał do dziś. Gorzej, że mimo wszystkich ostatnich fatalnych doświadczeń nie pojawił się na polskiej scenie politycznej żaden ruch reformatorski, który dążyłby do zmiany nieszczęsnego układu podziału sił w obrębie władzy wykonawczej.

Pod tym względem Polska jest swoistym unikatem. Z jednej strony mamy wybieranego w wyborach powszechnych prezydenta, z drugiej strony tenże prezydent ma bardzo ograniczone kompetencje. Ma wprowadzić prawo do inicjatywy ustawodawczej, ale bez wsparcia większości sejmowej jest ono całkowicie iluzoryczne. Najważniejsze decyzje personalne, co się tyczy administracji publicznej, zależą od zgody i aprobaty ośrodka rządowego. Praktycznie jedyną realną pozytywną prerogatywą jest przyjmowanie przysięg sędziowskich, ale prezydent nie ma tu wielkiej swobody – kandydaci zostają wskazani przez Krajową Radę Sądownictwa. Swoją drogą ostatnie lata pokazują, że nawet w tym punkcie, mimo że jest on jasny i nie budzi prawnych wątpliwości, obsesjonaci występujący w roli ekspertów próbują prezydentowi to uprawnienie odebrać. Jedyne zatem, co tak naprawdę może polska głowa państwa, to skutecznie blokować prace rządu, a to dzięki stosowaniu weta.

Rezultat takiego układu sił bardzo szybko stał się oczywisty. O urząd prezydenta starają się nie prawdziwi liderzy polityczni, ale ich dublerzy, politycy z drugiego, a nawet trzeciego szeregu. Przywódcy polityczni zdają sobie sprawę, że warto ten urząd kontrolować, ale na tym koniec. Tylko mniejsze partie wystawiają do walki prawdziwych przywódców, ale ci i tak nie mają szansy na zwycięstwo.

Mamy zatem od początku do czynienia ze swoistą, powszechną grą pozorów. Mamy kandydatów, którzy z definicji nie są przywódcami, mamy programy, które z zasady nie mogą zostać zrealizowane (no bo jak, skoro nie zależą one od woli zwycięzcy?), mamy zaciekle kampanie, które błyskawicznie kończą się rozczarowaniem, i mamy system

polityczny, w którym trudno wskazać, kto właściwie i za co ponosi odpowiedzialność. Doskonale to pokazały trzy ostatnie kadencje – jedna Bronisława Komorowskiego i dwie Andrzeja Dudy. Ani jeden, ani drugi nie był w stanie przedstawić żadnego istotnego projektu politycznego i nie dysponował żadną wizją reformy państwa. Ten pierwszy zakończył urzędowanie, łapiąc się niczym tonący brzytwy pomysłu na wprowadzenie do polskiego systemu referendum, ten drugi od chwili, gdy wybuchła wojna na Ukrainie, zachowuje się, jakby został rzecznikiem Wołodymyra Zełenskigo, a całość swoich ambicji politycznych ulokował w życzliwości amerykańskich sojuszników.

Pierwszym zatem i kluczowym elementem uzdrowienia obecnego systemu niewydolności byłaby taka zmiana konstytucji, która doprowadziłaby do wyboru między systemem prezydenckim (jak w USA lub we Francji) albo kanclerskim (jak w Niemczech). Jednak w Polsce, jak wiadomo, wszystko musi być połowiczne i nic nie może być naprawdę. Lata mijają i żadna poważna dyskusja na temat takiej zmiany się nie toczy. Obie główne partie, mimo okazywanej sobie wściekłej wrogości, w tej akurat kluczowej kwestii są zgodne: żadnych zmian, które przyniosłyby faktyczne, a nie pozorowane wzmocnienie państwa. Dlatego zostaje nam rola gawędziarzy. Możemy się jedynie ekscytować sprawczością Donalda Trumpa, który jednego dnia podpisuje kilkadziesiąt rozporządzeń, wywracając dotychczasową politykę swego poprzednika, i udawać, że wierzymy, iż podobna może być rola polskiego prezydenta. W kabarecie uczestniczą wszyscy, stąd kandydaci mniej lub bardziej udatnie pozują na „polskiego Trumpa”. A opinia publiczna? Opinia publiczna się ekscytuje. ©

TEMAT TYGODNIA

14 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

TVN – ANATOMIA MANIPULACJI

Telewizja w służbie władzy

KRAJ

20 PIOTR SEMKA

**STARA GRA W NOWEJ ODSŁONIE
I W NOWEJ SKALI**

Niszczenie Republiki, niszczenie demokracji

23 ROZMOWA Z JANUSZEM KOWALSKIM

KONIEC MIĘKKIEJ GRY

26 ANDRZEJ KRZYSTYNIAK

OFIARA STAJE SIĘ KATEM

28 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

OBYWATEL CZUCHNOWSKI

30 ŁUKASZ ZBORALSKI

**UMYSŁOWE TĄPIŃCIE
DOROSŁYCH POLAKÓW**

KULTURA



32 ROZMOWA
Z PROF. PIOTREM GLIŃSKIM

**MORDUJĄ PRAWIE
WSZYSTKIE NASZE
PROJEKTY**

Kultura nie może być obszarem
anihilacji wartości

36 ŁUKASZ CZARNECKI

**JAPOŃCZYK
W GALICJI**

39 KRZYSZTOF MASŁOŃ

BARDOWIE – TOMEK OPOKA

40 PIOTR GOCIEK

FASZYZM NIE PRZEJDZIE

NIE PRZEGAP

42 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

46 ROZMOWA Z PÉTEREM SZIJJÁRTÓ

**POLSKA MA POWAŻNY PROBLEM
Z RZĄDAMI PRAWA**

Na naród polski patrzymy jako na naród bratni

50 FILIP MEMCHES

KRES „GENDEROWYCH GIER”

52 TOMASZ CUKIERNIK

POLSKI INTERES TO RADYKALIZM?

55 MARCIN SKALSKI

RUSOFOBIA NAS OGRANICZA

HISTORIA

56 ROZMOWA Z DIANĄ MAKSIMIUK I BARTOSZEM
BAJKOWEM

PISANE Z ŻAŁU I TĘSKNOTY

„Wróg PRL” z Argentyny

60 ROZMOWA Z ANTONELLEM BELLUCEM

TAJEMNICE WŁOCH

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI

**AMERYKAŃSKI POKÓJ
WSCHODNIM OKIEM**

Jak Moskwa i Kijów reagują na Trumpa



64 CEZARY GMYZ

**ALTERNATYWA DLA NIEMIEC
– Z CZYM TO SIĘ JE?**

67 KRYSZTOF KAMIŃSKI

KONIEC SYRII, JAKĄ ZNALIŚMY

70 ROZMOWA Z BILLEM ROBINSONEM

**TRUMP POMOŻE EUROPEJSKIM
KONSERWATYSTOM**

EKONOMIA

74 ROBERT BOGDAŃSKI

PRZEKLEŃSTWO DEMOGRAFII

Czy czeka nas katastrofa?

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

 Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
 Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

 Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
 Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełmicki, Dominika Ćosić (Bruksela),
 Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamecki,
 Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
 Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
 Grzegorz Kucharzyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
 Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
 Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
 Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
 Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromejczyk,
 Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
 Pieczyńska, Małgorzata Puzry, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
 Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
 Siemkowski, Łukasz Żygadlo

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
 Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
 Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
 Agata Błaszczak-Stefaniak

RYŚOWNICY: Andrzej Krauze, Cezary Krystopa
 Okładka: Adobe Stock

WYDAWCA: Orle Pióro SA

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

 Zarząd PMPG Polskie Media SA:
 Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
 Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
 Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

 Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
 +48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
 e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

 Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
 e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
 Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasa@poczta.pl,
 www.poczta.pl/prenumerata#prasa
 GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
 Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 44 500 egzemplarzy

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
 detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.
 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Demokratyczna koalicja” obali demokrację w Polsce?

Donald Tusk i jego sprzymierzeńcy wykorzystali pretekst do przejęcia władzy, którym były zmiany w mianowaniu sędziów, przeprowadzone w czasie ostatnich lat rządów PiS. Niezgoda na nie scementowała wspólnotę interesów części „starych” sędziów (ancien sędziów według określenia P. Gabryela) z opozycyjnymi partiami politycznymi, które w imię obrony praworządności wygrały wybory parlamentarne jesienią 2023 r. Do przywracania praworządności po ośmiu latach pozostawania w opozycji potrzebne im były m.in. zakwestionowanie statusu legalnie powołanych tzw. neosędziów, siłowe przejęcie publicznego radia i telewizji, bezprawna obsada prokuratury krajowej, manipulacje w obsadach sądów, publiczne poniżanie

ekspozentów opozycyjnej obecnie partii PiS, a ponadto zakwestionowanie kompetencji Trybunału Konstytucyjnego i Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, której zadaniem jest m.in. stwierdzenie ważności zbliżających się wyborów prezydenckich. Kwestionowanie statusu „neosędziów” może być po prostu reakcją „starych sędziów” na naruszenie ich interesów, o czym świadczy brak upublicznienia wiarygodnych badań, które wykazałyby, że jakość pracy tzw. neosędziów jest gorsza niż sędziów starych. Rządząca koalicja przeprowadziła „reformy”, nie przywracając ani praworządności, ani demokracji. Przeciwnie – wywołała chaos prawny i spowodowała konflikt społeczny o trudnym dzisiaj do przewidzenia charakterze i skali, który wybuchnie w połowie roku, w czasie wyborów. Tych bezprawnych zmian dokonała koalicja, pomimo że nie ma w Sejmie większości

wystarczającej do odrzucenia weta demokratycznie wybranego prezydenta.

Dokonujące się obecnie zmiany w polskiej polityce tworzą nieznane wcześniej realne zagrożenie bezprawiem i przemocą w zbliżających się wyborach prezydenckich. Większość społeczeństwa byłaby wtedy jego ofiarami. W obecnym, być może celowo wywołanym chaosie prawnym momentem zagrożenia dla demokracji w Polsce będzie procedura zatwierdzania wyboru prezydenta, a do destabilizacji może dojść ktokolwiek zostanie wybrany. Obie strony konfliktu mogą uruchomić swoje „bomby atomowe”. Aktualna władza państwowa już zajmuje pozycje dające pretekst do unieważnienia wyborów, jeśli wygra je kandydat prawicy. Do czasu tylko przewagę rządzącej koalicji dają mętne wywody prawnicze jej protagonistów, poparcie większości deputowanych Unii Europejskiej i jej instytucji, a także włada-

danie „publicznymi” mediami i resortami siłowymi. Wsparcie jej przywódców przez UE tylko umocni chaos. Stawka i możliwe skutki zbliżającego się konfliktu są niewyobrażalnie wysokie.

Działania współczesnej polskiej „koalicji demokratycznej” przypominają w niektórych

elementach przejmowanie władzy przez stalinistów po drugiej wojnie światowej. Oto fragment zobowiązania Julii Brystygier, nazwanej Krwawą Luną, pracownicy stalinowskiej bezpieki, z 20 grudnia 1944 r.: „Ja, Brystygier Julia, pracownik Resortu Bezpieczeństwa Publicznego, zobowiązuję się wiernie służyć sprawie wolnej, demokratycznej i niepodległej Polski, zdecydowanie zwalczać będę wszystkich wrogów demokracji, sumiennie wykonywać wszelkie obowiązki służbowe” (cytat: Patrycja Bukalska, „Krwawa Luna”, Wielka Litera sp. z o.o., Warszawa 2016, s. 110).

W rządzącej koalicji powszechne jest nazywanie się demokratami. W przypadku Trzaskowskiego mamy jeszcze „lepsze” rozróżnienie: my – demokraci, nasi przeciwnicy – populiści. Śmieszne? Obyśmy nie doczekali czasu, gdy „demokraci” znajdą siłę na stosowanie prawa, tak jak oni je rozumieją.

Andrzej Przyemeński





PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Szepty i krzyki

Nie było dotąd prezydenta USA – przynajmniej w perspektywie wieków XX i XXI – który rozpoczynałby swoją kadencję od tak ogromnej liczby postulatów, zapowiedzi i żądań. Pytanie, czy koniecznie trzeba w jednym czasie mówić o iluś politycznych celach, szczególnie że część z nich może wzbudzać w innych stolicach poważne zaniepokojenie.

Taktyka Trumpa może mieć racjonalne jądro, choć przedstawiać się może jako awanturnicza. Amerykański prezydent zaczyna rządy od jasnego zdefiniowania, co mu się w dotychczasowej pozycji Ameryki wobec innych państw nie podoba i w których tematach „nie odpuszcza”. A media krytyczne wobec Trumpa uparcie przemilczają okoliczności, które lidera republikanów do tak gwałtownych wypowiedzi mogły skłaniać. Nie wyjaśniają roli Kanady oraz Meksyku i ich permissywnych polityk wobec imigrantów szturmujących granice USA. Ogólnikowo wyjaśniają, jak bardzo Grenlandia zagrożona jest rosyjskimi i chińskimi działaniami na rzecz zawład-

nięcia Arktyką i jak słaba Dania nie jest w stanie tego kontrolować. Pobieźnie tłumaczą, dlaczego Ameryka mogła być zaniepokojona działaniami chińskich firm na rzecz podporządkowania sobie Kanału Panamskiego mimo formalnej władzy panamskiego rządu nad tym strategicznym przesmykiem. Część działań Trumpa przyniosła już efekt. Duńska minister obrony gotowa jest do rozmów na temat zwiększenia bezpośredniej obecności US Army na terenie Grenlandii, a Meksyk i Kanada zadeklarowały, że uszczelnia granice.

Pomysł zamienienia Strefy Gazy w jakąś bliżej nieokreśloną riwierę Bliskiego Wschodu przy jednoczesnym wysiedleniu Palestyńczyków do sąsiednich krajów arabskich to o jeden numer za dużo. To tak księżycowa i jednocześnie wyzywająca dla Arabów idea, że może wysadzić kruchy stan rozejmu na Bliskim Wschodzie. Po pierwsze, żaden naród – a dla mnie jest jasne, że Palestyńczycy są już osobnym narodem – nie da się bez protestu wysiedlić do obcych państw. Bo nikt nie chce

być u obcych „przybłądą” i obywatelem drugiej kategorii. Po drugie, ani Egipt, ani Jordania, ani Arabia Saudyjska nie przyjmą wieloset-tysięcznych grup będących pod wpływem radykalnego Hamasu. Liban ćwiczył to w latach 70. i jest dziś ruiną. Po trzecie, w Strefę Gazy wsiąkło tak wiele palestyńskiej krwi, że naród ten nigdy nie zgodzi się na porzucenie jednego z dwóch niewielkich obszarów, na których może się czuć u siebie.

Tylko Izrael jest zainteresowany tak awanturniczym projektem, bo chce zlikwidować u swego boku potencjalne źródło destabilizacji. Ale inicjowanie projektu, który jest korzystny tylko dla ekipy Beniamina Netanjahu, a który jednocześnie już na starcie antagonizuje najważniejsze państwa arabskie, to bardzo ryzykowny krok. No chyba że – jak twierdzą niektóre media zachodnie – cały pomysł to zasłona dymna dla jakiegoś przełomowego porozumienia Ameryki z Iranem.

Tymczasem Trump przeżył muskuły. Czas pokaże, czy w tym dyplomatycznym szaleństwie jest jakaś metoda. ©©



WOJNA GANGÓW W BRUKSELI

W środę oraz w czwartek w Brukseli doszło do strzelanin w okolicach stacji metra Clemenceau. Na nagraniach monitoringu widać było napastrników uzbrojonych w broń przypominającą karabinki automatyczne AK-47. Sprawców nie udało się ująć, ranna została jedna osoba. Według dziennika „Le Soir” policja podejrzewa, że w stolicy Belgii toczy się wojna gangów, której celem jest eliminacja konkurentów w handlu narkotykami. Gdy zamykaliśmy to wydanie, policja ustalała, o które gangi chodzi. (jap) © ©

NOWY AMBASADOR USA W POLSCE

Thomas Rose. Konserwatywny komentator, biznesmen, były wydawca dziennika „The Jerusalem Post” oraz dawny doradca byłego wiceprezidenta USA Mike’a Pence’a został powołany przez prezydenta Donalda Trumpa na nowego ambasadora Stanów Zjednoczonych w Polsce. „Zadba o to, aby nasze interesy były reprezentowane w Polsce, i zawsze stawiał Amerykę na pierwszym miejscu” – ogłosił Trump na swoim portalu społecznościowym Truth Social. Nowy ambasador USA w Warszawie w 2019 r. bronił na Twitterze prawdy o bohaterskiej postawie Polaków podczas drugiej wojny światowej. (jap) © ©

Barwy kampanii. Jak słyszeliśmy, nowoczesne technologie wjechały na grubo. Wiewiórki z okolic PiS opowiadają o realizowanych całkowicie zewnętrznie wielkich badaniach elektoratów i w ogóle wszelkich Polaków z wykorzystaniem Big Data. Wynika z nich ponoć, że kandydat Karol Tadeusz Nawrocki ma wielkie szanse na pokonanie kandydata Rafała Kazimierza Trzaskowskiego. Byliśmy sceptyczni wobec tych rewelacji dopóty, dopóki nie poznaliśmy innych części tych badań.

Oto wyniki innej części badań: w marcu PiS malowniczo przegrzeźni uzupełniające wybory senackie w Krakowie. Nie tylko dlatego, że to matecznik lewoskrętnych, ale przede wszystkim dlatego, że będzie mikroskopijska frekwencja. Zatem czekamy na marzec, żeby zobaczyć, czy Big Data miała słuszność w sprawach detalicznych, i ocenić szansę na słuszność prognozy w sprawie ogólnopolskiej.

Nasze wiewiórki brały udział w małej popijawie ze sztabowcami Trzaskowskiego. Otóż owi sztabowcy są absolutnie zachwyceni pomysłem odebrania Ukraincom „800+”, a dodatkowo przekonani są, że to zapewni tęczowemu Rafałowi Kazimierzowi wsparcie części prawicy. Ale że kampania jest długa, to postanowili przygotować kalendarz zmiany poglądów kandydata. Do maja ma się przesuwac w kierunku centrum. A potem nawet wrócić na lewo. I ci kampanijni geniusze są przekonani, że elektorat jest tak głupi, że to kupi.

Tymczasem w Pałacu. Dokonała się chyba największa jednorazowa zmiana za czasów prezydentury Andrzeja Sebastiana. Dyrektorzy awansowali na ministrów. Dopiero ponieważ część z nich dostrzegła, że awans, choć prestiżowy, niekoniecznie musi być opłacalny. Rzecz w tym, że ministrowie są z powołania i odwołuje się ich równie łatwo, jak powołuje. Dyrektorzy są zaś urzędnikami i mają wszelkie korzyści wynikające z prawa pracy. Choćby premie. Trzynastki, czternastki, a dodatkowo również odprawy. Ministrowie zaś z dnia na dzień odchodzą bez takich benefitów. Nic to. Przecież za to do sierpnia posiedzą sobie w lepszych

gabinetach i dostaną limuzyny z kierowcami. No i do końca życia będą mogli być tytułowani, po krakowsku, ministrami. Chleba z tego nie ma, ale dobre i to.

Do grona kandydatów na kandydata na prezydenta dołączyli tymczasem dwaj nowi. Zgodne z naszymi zapowiedziami – dawna gwiazda PiS, Dawid Jackiewicz. Oraz bez zapowiedzi – ekonomista Artur Bartoszewicz. który robi wrażenie prawicowej odpowiedzi na Ryszarda Petru. Nie chcemy martwić rozmaitych mniejszych kandydatów, ale Artur najbardziej podoba się wyborcom Konfederacji. A dlaczego obu nazywamy „kandydatami na kandydata”? No cóż, zobaczmy, kto zbierze 100 tys. podpisów.

Ploteczki z gmachu przy al. Szucha. Nowym polskim nieambasadorem będzie Barbara Szymanowska. Ma jechać na placówkę w Dżakarcie. Pani była już ambasadorem w Wietnamie. Ma jednak podobne właściwości jak Talleyrand, który zaczynał jako biskup, potem służył rewolucji francuskiej, by przejść na stronę Dyrektoriatu, a potem przyłączyć się do Napoleona, po którego upadku wsparł restaurację Burbonów. Sami jednak uważamy to porównanie nieco – a może nawet bardzo – na wyrost.

Apropos nieambasadorów. Skoro są tacy, to muszą być i prawdziwi ambasadorowie. Okazuje się, że reżim Tuska ma wielu wrogów na świecie. Wrogów rozpoznaje się po tym, że nie wierzą złotoustemu Donaldowi z Sopotu ani nawet jego oksfordzkemu koledze Radkowi. No i wrogowie upierają się,

że ambasadorami Polski są prawdziwi ambasadorowie, legalnie powołani przez prezydenta Andrzeja Sebastiana, a nie jacyś „neo” czy inni przebiegańcy. Wiemy, bo czytamy sobie strony internetowe w różnych lengłydżach. Na przykład francuskie z Maroka.

Ważna informacja dla ludzi małej wiary, którzy sądzą, że objawienie się Jacka Kury Kurskiego w roli komentatora telewizji w Polsce to jakaś degradacja, bo niby zejście z powrotem na rynek krajowy. Otóż nie, Jacek tylko łączy funkcje. Na przykład we frakcji Europejskich Konserwatystów i Reformatorów objął fuchę specjalisty od relacji transatlantycznych. My to rozumiemy, też kiedyś byliśmy w Ameryce. A jeden z Panów G. nawet w Chinach. Ale nie twierdzi, że jest specjalistą od relacji.

Apropos relacji transatlantycznych. Marcin Mastalerek, szef gabinetu prezydenta, zwany popularnie Breivikiem lub po prostu Mastą, musiał się pokajać publicznie za brak spotkania Andrzeja Sebastiana z dobrym Donaldem z Waszyngtonu. Od początku mówiliśmy, że rzucenie na odcinek transatlantyki Masty, który niezbyt sprawnie posługuje się językiem lengłydż, nie jest dobrym pomysłem. Natomiast znamy dobrą nauczycielkę lengłydża. Jest tak dobra, że nauczyła go nawet złego Donalda z Sopotu. Ale ona jest już zajęta. Niemniej jednak pozdrawiamy Beatę, z którą jeden z panów G. kiedyś spływał kajakiem.

Wiadomości lokalne. Podczas gdy Przemysław Czarnek żył sobie wypruwa w kampanii wyborczej, wymyka mu się władza w jego rodzimym okręgu lubelskim. Jak wiadomo, Czarnka z marszałkiem lubelskim Jarosławem Stawiarskim łączy dość szorstka przyjaźń. I choć notowania Przemka w partii są wysokie, to realną władzę na Lubelszczyźnie sprawuje właśnie marszałek. Owszem, nad partyjnymi strukturami panuje Czarnek. Jednak to w rękach Stawiarskiego są realne frukta w postaci stanowisk w rozmaitych wojewódzkich instytucjach, od szpitali zaczynając, na domach kultury kończąc. Nie dziwimy się zatem Przemkowi, który się żali, że kiedy on jest na froncie, to w domu źle się dzieje. ©



FOT. ROBERT CARZINSKI



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Dylemat Trumpa

Robert Reich (m.in. autor świetnej książki „Ocalić kapitalizm”) podał statystyki, zgodnie z którymi w ostatnim półwieczu w USA mediana wynagrodzeń dla tzw. klas pracujących praktycznie się nie zmieniła. Oznacza to, że ludzie zarabiający na życie wykonywaniem prostych prac od pół wieku systematycznie, z roku na rok, biednieją. Potwierdza to potoczne doświadczenie: rozmnożenie się w Ameryce „bidoków” (mówiąc językiem autobiograficznej książki obecnego wiceprezidenta J.D. Vance’a) – ludzie, którzy, choć ciężko pracują, to nie mogą sobie pozwolić nie tylko na kupno, lecz także na wynajem przyzwoitego mieszkania, na ubezpieczenie zdrowotne czy wstawienie brakującego zęba.

Z kolei w grupie „CEO’s”, korporacyjnych magnatów i oligarchów, mediana wynagrodzeń wzrosła w tym samym czasie kilkaset razy. Cały wzrost gospodarczy USA w ostatnich latach został przechwycony i przejeżdżony właśnie przez nich. Dziwność „rewolucji zdrowego rozsądku”, ogłoszonej przez Trumpa, polega na tym, że zawdzięcza on władzę obu tym grupom. Z jednej strony – głosom „bidoków”, z drugiej – pieniądзом oligarchów. Pierwsi oczekują po nim, że zmieni dotychczasową patologiczną sytuację, drudzy – że pod nowymi hasłami wszystko zostanie po staremu. Owszem, zamiast na ograniczaniu CO₂ będą teraz zbijać miliony na emitowaniu CO₂, zamiast na niszczeniu wartości, na wspieraniu

wartości itd., ale nadal pozostaną uprzywilejowani. Bezprecedensowa w dziejach sytuacja: Trump dokonuje rewolucji przeciwko dotychczas panującej oligarchii rękami tejże samej – tylko „przewerbowanej” – oligarchii. Jak zamierza wybrnąć z takiego rozkroku?

Być może znajdzie dość siły, żeby pójść z oligarchami na wojnę – rozbijać i dzielić wielkie koncerny, jak robił to Reagan. Rzecz w tym, że dziś pozycja prezydenta USA jest dużo słabsza, a potęga koncernów – o wiele większa. Więc może będzie próbować pogodzić sprzeczne interesy, ogłaszając nową „zimną wojnę”, na której zarobią i jedni, i drudzy – kosztem trzecich? Kogo konkretnie? Oto jest pytanie, nad którym warto się dziś głowić... ©



MAREK JUREK

PROTOKÓŁ ROZBIEŻNOŚCI

Liberum andronizo

Dawną Polskę zgubiło liberum veto, efekt totalnego zachwiania równowagi stanów, oszalałego parlamentaryzmu i niszczącej monarchię wolnościowości obsesji absolutum dominium. Co zresztą – w sensie mentalnym, naszego narodowego charakteru – miało pewnie odległe źródła w idealizowanej przez Lelewela słowiańskiej cywilizacji wiecowej.

Polskę porozbiorową – jak pisał Szujski po powstaniu styczniowym – gubiło „liberum conspiri”, zezwalające każdej egzaltowanej grupie wywołać powstańczą wojnę w imieniu całego kraju. Kultura okalająca owe „liberum conspiri” dokonała w świadomo-

ści narodowej destrukcji polskiej polityki, bo każda jej próba pod zaborami – łącznie z polskimi rządami w Galicji czy miażdżące wygranymi wyborami do parlamentu rosyjskiego w 1905 r. – była przez wyznawców „liberum conspiri” dyskwalifikowana jako „ugoda”.

A naród, wraz z politycznymi przywódcami i społeczną większością, był z reguły wobec krzykliwych orędowników obu tych „swobód” zupełnie bezsilny.

Naszą trzecią niepodległość (a konkretnie prawicę, powołaną przecież, by państwo moralnie i politycznie uporządkować) gubi „liberum andronizo”, wolność ple-

mocno, dosadnie chłapnie coś w imię walki z „poprawnością polityczną”, to natychmiast znajduje legion zwolenników wyzywających od „lewactwa” (w najlepszym razie) każdego, kto andronom publicznie się sprzeciwi.

O samej Deklaracji Szesnaścior-ga i o niestworzonych rzeczach na jej temat opowiadanych (również na tych łamach) napiszę jeszcze osobno. Tymczasem, a propos walki z „poprawnością”, naszym krytykom odpowiem, że nie będę mojej Marysieńki nazywał wnukiem, bo wnuków mam pięciu, choć wszystkich – sześciorgo; więc nie będę, choćby mnie nasi kryptogenderowi „antygenderowcy” mieli do Partii Razem zapisać. ©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Jest źle... ale spokojnie... wydaliśmy
dyrektywę, żeby było dobrze, i będzie
dobrze...



c e z d t y z t y j z t o d



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ku przestrodze

Szeł libijskich służb więziennych, gen. Osama al-Masri, oskarżony o zbrodnie wojenne i torturowanie więzionych migrantów, na wniosek Międzynarodowego Trybunału Karnego i Interpolu został zatrzymany w Turynie po dwutygodniowych wojażach w Wielkiej Brytanii, Niemczech, Belgii i Holandii. Dwa dni później decyzją włoskiego sądu został zwolniony i wydany z Włoch. Wraz ze świtą odleciał samolotem rządowym do Trypolisu. Ponoć skandaliczne zwolnienie zbrodniarza było efektem błędów proceduralno-prawnych, ale można śmiało podejrzewać, że pewną rolę odegrały obawy przed libijskim odwetem, czyli wysłaniem do Italii flotylii łodzi i statków z migrantami.

Opozycja podniosła larum, a znany adwokat Luigi Li Gotti złożył w rzymskiej prokuraturze zawiadomienie, oskarżając premiera Giorgię Meloni, ministrów sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, a także podsekretarza stanu odpowiedzialnego za służby specjalne o współudział w ignorowaniu nakazu aresztowania MTK. Zapewne w związku z toczącą się otwartą wojną między wymiarem sprawiedliwości a rządem prokurator Lo Voi wysłał zainteresowanym zawiadomienie o rozpoczęciu przeciw nim śledztwa, co podchwyciły światowe media. Na to dictum adwokat Luigi Mele złożył zawiadomienie do prokuratury w Perugii o wielu przestępstwach i wykroczeniach popełnionych w tej sprawie przez Li Gottiego i prokuratora Lo Voia, w tym pogwałcenie konstytucji.

Co na to postępową opozycja? Wyczarowała Sudańczyka Lama Magoka i zaprosiła go do parlamentu, gdzie poinformował na konferencji prasowej, że jest jedną z ofiar tortur gen. al-Masriego i w związku ze zwolnieniem oprawcy wytacza prywatny proces premier Meloni i jej ministrom.

Pesymiści mówią, że już niebawem strony konfliktu wyaresztują się nawzajem i nie będzie komu rządzić ani sądzić. Odnotujmy też ciekawe inicjatywy ustawodawcze postępowców: 1. Policja ma prawo reagować na przemoc tylko wobec uzbrojonych demonstrantów; 2. Dochodzenie wobec policjantów w przypadku rewizji, która nie przyniosła rezultatów. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

DOTKNĄĆ TRAWY

Influencerzy odkrywają świat. Dwudziestoletni tiktoker Kacper Porębski ps. Jasper podzielił się z fanami informacją o zakupie mieszkania. Szybko okazało się, że to zakup znacznie poważniejszy niż nowe buty czy kurtka. A do tego wyraźnie droższy. „Jasper” postanowił wziąć kredyt hipoteczny i jakież było jego zdziwienie, gdy usłyszał, że nie będzie to pożyczka na zero procent. – Nigdy w życiu nie brałem żadnych kredytów. No ale czas w końcu na ten pierwszy raz? Wiecie, ja naprawdę chciałem mieć kiedyś swoje mieszkanie. Myślałem, że wystarczy zadzwonić do banku... Okazuje się, że to nie jest takie łatwe – relacjonował Porębski. – Potrzebuję potwierdzenia przychodów, bo ogólnie jak ma się firmę, to jest trudniej wziąć kredyt.



FOT. RAFAŁ GUD/PAP

Ale zawsze jest szansa. No i umówiłem się do doradcy kredytowego [...]. Pan powiedział, że jest szansa. Tylko ja nie wiedziałem, że za kredyt płaci się... Ja nie wiem, czy to jest normalne. Drugie tyle, ile kosztuje mieszkanie... – wyznał wyraźnie zdziwiony „Jasper”. Tak to jest, jak się pierwszy raz w życiu dotknie trawy. Witamy w prawdziwym świecie.

STREFA WOLNA OD PRZYJAŹNI

Prawdziwy świat to drogie kredyty i niesympatyczni ludzie. Piotr Stramowski

dobrze o tym wie, bo w show-biznesie jest znacznie dłużej niż 21-letni tiktoker. Aktualnie aktor promuje film „Nieprzyjaciół”. Przy okazji uroczystej premiery Stramowski udzielił wywiadu. Reporterka portalu Pudelek, nawiązując do tytułu filmu, zapytała gwiazdora, czy w jego życiu pojawił się tytułowy „Nieprzyjaciół”. – Bardzo wielu nieprzyjaciół było, bo już zrobiłem czystki w moim życiu. Trzeba na nich uważać. Dużo jest osób, które, faktycznie można powiedzieć, podszywają się i chcą być blisko, a tak naprawdę dużo z ciebie ciągną korzyści i energii [...]. Czasami nie zdajesz sobie sprawy, że najbliżsi wokół ciebie potrafią być nieżyczliwi wobec ciebie [...]. Mam nadzieję, że już mam wokół siebie samych dobrych ludzi – zaczął aktor. Stramowski przyznał, że celebrycki światek nie jest dobrym miejscem do zawierania prawdziwych przyjaźni. – Nie mam kontaktu z ludźmi z show-biznesu. Ja mam takie hermetyczne środowisko pozabranżowe, więc utrzymuję kontakty z ludźmi spoza branży głównie, a w zasadzie tylko. W show-biznesie jestem tylko w pracy – podsumował aktor. Życie.

NIEMODNY

Diagnozę polskiemu show-biznesowi wystawił też inny aktor, Piotr Mróz. Diagnoza ta dotyczy podejścia do religii, które jest – ujmując delikatnie – niezbyt przychylne. Do religii katolickiej rzecz jasna, bo różne wymyślne formy duchowości są wysoce pożądane. – Wydaje mi się, że to jest modne. Niestety, show-biznes, któremu się wydaje, że jest bardzo oryginalny i jest bardzo podatny na wpływy – mówił Mróz, odnosząc się do „mody na apostazję”. – Wszyscy wiedzą, jak krucha i niepewna jest sytuacja i pozycja w tym show-biznesie [...]. Ludzie się boją, ludzie chcą być modni. My chcemy iść tylko za tym, co jest modne, jeżeli całe środowisko krytykuje, a to ja skrytykuję, bo to jest modne. Ja nie idę za modą, ja się trzymam swojej wartości i tu jest problem. A środowisko show-biznesu idzie za tą modą. Bo to jest fajne –

opowiadał aktor. Dodał również, że gdyby nie wiara, prawdopodobnie byłby znacznie sławniejszym aktorem, niż jest teraz. – Jestem w kontrze i nie boję się tego powiedzieć, że gdybym nie miał tych wartości prokatolickich, chrześcijańskich, gdybym nie wypowiadał się głośno o wierze, gdybym płynął w tym rymsztoku z tym prądem, wydaje mi się, że na tej drabince popularności i rozchwytywalności oraz zaangażowania mojej osoby do różnych projektów bym był znacznie wyżej – podsumował Piotr Mróz. Zimy nie lubimy, ale brawo Mróz!

DAGA POKRZYWDZONA

Gdy okazało się, że Dagmara Kaźmierska, znana z programu stacji TTV „Królowe życia”, w przeszłości została skazana za prowadzenie agencji towarzyskiej oraz zmuszanie kobiet do prostytucji, jej kariera przeszła poważne załamanie. Odcinki z jej udziałem zdjęto z anteny, a sama Kaźmierska stała się persona non grata. Pół roku po tych wydarzeniach Kaźmierska postanowiła przedstawić własną wersję wydarzeń. Opublikowała długi film, w którym przekonuje, że nikogo nie skrzywdziła. – Nadszedł chyba czas, żebym Wam choć troszkę naświetliła, odniosła się właściwie do tej afery medialnej. Wielu z Was na to czekało. Tak jak już wspominałam wcześniej, rodzina i przyjaciele mnie od tego odwozili. Niemniej jestem to winna, chociażby tym, którzy nadal we mnie wierzą. Żebyście zobaczyli, że nie taki diabeł straszny, jak go malują – zaczęła celebrytka. Kaźmierska twierdzi, że to ona padła ofiarą medialnego show. – Ja zostałam pomówiona przez panią pracującą u mnie. I właściwie oczywiście jest tak, że sąd wskazał, jesteś winna. Musicie wiedzieć, moi drodzy, że sąd jest też tylko człowiekiem. I nie zawsze jest tak, jak jest naprawdę. Mamy wiele milionów ludzi, którzy zostali skazani za coś, czego nie zrobili – przekonuje. Skąd te dane? Chyba ze słynnego instytutu danych wyspanych z brudnego palca. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, sejmowa komisja odrzuciła obywatelski projekt ustawy o CPK, a więc Centralnym Porcie Komunikacyjnym. Projekt

pewnie był tak samo obywatelski jak kandydat Nawrocki, więc dobrze się stało, iż padła kolejna pisowska inicjatywa. Mamy jednak w związku z tym kilka przemyśleń.

Po pierwsze: Dlaczego lotnisko w ogóle miałoby się nazywać „Port”? Przeciesh to wiedza z początków szkoły podstawowej, iż porty leżą nad morzem, a samoloty lądują na lotniskach. To jednak jest mniejszy problem.

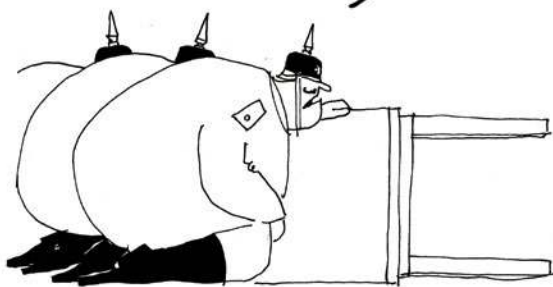
Większy jest taki, iż temat tego CPK wałkowany jest już od wielu lat, iż pis rozbudził megalomańskie nadzieje Polaków na zbudowanie czegoś większego, niż mają sąsiedzi, a zwłaszcza Niemcy. No i prawica w tym kraju tak się tym zajarzała, iż nie może przestać.

Zresztą zauważcie, jaka to jest różnica cywilizacyjna. Jeśli na zachodzie Europy w coś inwestują, jeśli Francja, Niemcy czy Anglia coś budują, zakładają, konstruują, to jest to w celu zwiększenia dobrobytu społeczeństwa, rozwoju technologicznego, konkurencyjności i jest dowodem na niezwykle zdolności odpowiedzialnych za to polityków i inżynierów. Słowem: nic, tylko podziwiać i przyklaskiwać.

A w Polsce? No w Polsce to wiadomo – a to jakiś przekop Mierzei, a to budowa CPK, czyli same megalomańskie projekty, które mają służyć wyłącznie zaspokoje-

i nie wpłyną na naszą pozycję na arenie międzynarodowej. Dlatego apelujemy: przekop zakopać, CPK zaorać!!!111jeden

To ty Donald idź kopnij Trumpa,
a my tu tego...



c e z a t y k t y s t o p z

niu potrzeby poczucia narodowej dumy, leczeniu kompleksów i udowadnianiu wszystkim innym, iż my, Polacy, jesteśmy lepsi od innych.

Of kors jest nam z tego powodu bardzo wstyd, iż przeciesh wiadomo, że mamy lotniska w Europie. To po co kolejne w Polsce i jeszcze tak pośrodku niczego? Albo ten przekop Mierzei, jakby statki nie mogły popłynąć dookoła.

Sami pewnie to dostrzegacie i rozumiecie, iż są to projekty nierozsądne, niczego niewnoszące, które w żaden sposób nie przysporzą nam sympatii w Europie

Ależ ten nasz Premier to jest sigma. Widzieliśmy właśnie nagranie z zamachu stanu, który – przypomnijmy – odbył się 5 lutego po południu. Nie do końca rozumiemy, kto na kogo ten zamach przeprowadził, jaka była motywacja, którzy sprawcy itd. Wszystko to nie ma znaczenia w obliczu tego, jak zareagował na to pan Premier.

Otóż pan Premier spokojnie sobie grał w ping-ponga, trochę się pośmiał, a po wyłączeniu kamer zapewne skończył wymianę potężnym forehandem. Zero zdenerwowania Kaczafim, tylko luz, prezencja i precyzja.

Szkoda, iż przestarzałe polskie prawo konstytucyjne nie przewiduje możliwości połączenia w jednych silnych rękach funkcji prezydenta i premiera. Nie zrozumcie nas źle: Trzaskowski jest OK, ale generalnie gdyby pan Premier został do tego prezydentem, to byłby wtedy double sigma (młodzież tak mówi?), a my byśmy mieli najlepsze przywództwo w historii tego kraju. Mamy nadzieję, iż ktoś wreszcie wprowadzi tę ustawę, iż prezydent może być premierem i na odwrót! ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Na rogu Wiejskiej i Pięknej

Panie Bogdanie, chcielibyśmy zrobić filmik o tym zamachu stanu Tuska, taki na sociale partyjne.

No to róbcie. W czym problem?

No bo... Co mamy pokazać? Zamach stanu?

To coś się powinno dziać. Policja, żołnierze jacyś... Bo ja wiem? Skąd ja wam żołnierzy wezmę?

A nie mógłby się pan przebrać? Mamy taki mundur wypożyczony, koksownik postawimy,

też mamy, i by pan sobie tam stanął, na rogu Wiejskiej i Pięknej. Z daleka sfilmujemy, to twarz nie będzie widać. No dobra. Tylko po 23, żeby nikt nie widział. A pokażcie no ten mundur. Proszę.

A... nie, to nic z tego nie będzie. To jest XXL. Załatwcie 4XL, to pogadamy. ©© Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Absolutnie się go nie boję. Szukałem nawet kontaktu wzrokowego, niestety, ale pan Ziobro nie odważył się spojrzeć mi prosto w oczy”.

PATRYK JASKULSKI, poseł PO, członek komisji do spraw Pegasusa, której zarzuca się, że zrejterowała przed Zbigniewem Ziobrą

WIELKI POŻAR HALI W GDAŃSKU

13 mln zł – na tyle wstępnie oszacowano straty, które wyrządził ogromny pożar w zabytkowej hali dawnych Zakładów Naprawczych Taboru Kolejowego na gdańskiej Przeróbce. W chwili wybuchu pożaru w magazynach hali było m.in. ok. 1,5 tys. rowerów MEVO, na terenie budynku znajdowały się również warsztaty samochodowe. W kulminacyjnym momencie akcji gaszenia pożaru udział brało więc aż 300 strażaków.

Gdy zamykaliśmy to wydanie tygodnika, nie wiadomo było jeszcze, czy przyczyną wybuchu pożaru było zaproszenie ognia, zwarcie w instalacji elektrycznej czy podpalenie. Nie można było również wykluczyć hipotezy, że pożar w hali w Gdańsku był wynikiem działania agentury obcego państwa. – Za wcześniej, by spekulować, czy pożar hali w Gdańsku to efekt działania obcych służb – zaznaczał jednak na antenie Polsat News rzecznik MSWiA Jacek Dobrzyński.

(jap) ©

STYL: JAKUB WARSZCZYŃSKI / PAP





TVN

– anatomia manipulacji



Rafał A. Ziemkiewicz

„Ekspertokracja” jest szczególną, najbardziej wyrazistą strategią fabryki kłamstw z Augustówki. Wykreowanie odpowiednich autorytetów, a następnie nadanie ich opiniom rangi faktów posłużyło zbudowaniu całej wielkiej, kłamliwej opowieści, w której osiem lat rządów PiS było łamaniem prawa i zasad demokracji





Ciekawe, czy ktoś jeszcze tę sprawę pamięta. Do Sejmu przyszła, względnie została tam przez kogoś doprowadzona, sędziwa Wanda Traczyk-Stawska, uczestniczka powstania warszawskiego, i zażądała, by ją wpuścić, bo chce przedstawić rządzącemu PiS głos oburzonego społeczeństwa. Oczywiście nie można żadnej osoby, nawet najbardziej czcigodnej, tak po prostu do budynku Sejmu wpuścić. Najuprzejmiej poproszono kombatantkę, żeby dała strażnikowi swój dowód osobisty i usiadła, czekając na wypisanie przepustki. „Zupełnym przypadkiem” na miejscu była ekipa TVN24, która natychmiast zaczęła transmisję, utrzymaną w tonie historycznego oburzenia: PiS trzyma „powstankę warszawską” w przed-sionku Sejmu, do tego stopnia „izoluje się od społeczeństwa”, tak bardzo boi się słów prawdy czcigodnej, wiekowej „bohaterki”, że w nieludzki sposób uniemożliwia jej wejście do parlamentu – patrzcie, jak musi siedzieć w poczekalni ta, którą PiS powinien na rękach nosić za jej zasługi!

Te zdjęcia „okrutnie potraktowanej powstanki” (jej polityczne zaangażowanie nie było wtedy jeszcze znane szerszej widowni) stanowiły jeden z wielu elementów prowadzonej wtedy przez opozycję kampanii „władza PiS izoluje się od społeczeństwa” czy, w wersji hard, „boi się społeczeństwa”, w której oczywiście w każdym kraju sposoby zapewniania elementarnego bezpieczeństwa instytucjom rządowym – barierki, strażnicy, biura przepustek, osobista ochrona członków rządu – przedstawiane były jako coś horrendalnego i haniebnego. Dziś widać, że robiono to z premedytacją, by osłabić ochronę budynków publicznych przed planowanym szturmem i okupowaniem ich podczas demonstracji zwoływanych przez „prodemokratyczne” fundacje, realizujące plan Bartosza Kramka „wyłączania państwa PiS”.

To tylko jeden z setek kamyczków, codziennych kłamstewek układanych od lat przez TVN24 w mozaikę imitującą rzeczywistość. Można by ich wyliczaniem wypełnić gruby tom. Pamiętają państwo np., jak reporter tej stacji nasypał na szufłę węgla i próbował go podpalić palnikiem? Węgiel, oczywiście, mimo długotrwałego utrzymywania na nim płomienia, zapalić się nie chciał. Kto chce, niech sprawdza – nie mógł się zapalić, choćby

był najlepszej jakości, byłoby to z punktu widzenia fizyki cudem. Nawet większego kawałka drewna nie dałoby się zapalić w taki sposób, bez, mówiąc potocznie, „cugu”, czyli przepływu powietrza. Dlatego właśnie do spalania węgla potrzebny jest piec, nie można zrobić z niego ogniska. Ale wielokrotnie powtarzany od rana zapis „eksperymentu”, na uwieńczenie dnia podsumowanego gromkim i chóralnym śmiechem w „Szkle kontaktowym”, zapewne przekonał widzów, w większości przecież wielkomiejskich, że „idioci z PiS nakupowali węgla, który się nie pali!”.

PAMIĘTAĆ OBURZENIE

Klasyk telewizyjnej propagandy, towarzysz Maciej Szczepański, mawiał, że „telewizja to codzienne wbijanie miliona gwoździ w milion desek”. Tak właśnie działa stacja w chwili, gdy piszę te słowa, należąca jeszcze do Discovery-Warner Bros., ale bez względu na aktualnego właściciela od zawsze stanowiąca propagandowe narzędzie lewicowo-liberalnej „grupy trzymającej władzę” z Magdalenki. Codziennie, od wielu lat, wzbudza odpowiednio dobieranymi obrazkami i historyjkami emocjonalne zaangażowanie widzów, codziennie doprowadza ich do spazmów oburzenia, pogardy, agresji lub strachu. To nic, że otwierający się na te emocje widzowie już po kilku dniach nie są w stanie przypomnieć sobie, czym się tak bardzo oburzali przedwcześniej. Wystarczy, żeby pamiętali samo oburzenie.

Niekiedy, w chwilach krytycznych, sięga przy tym TVN po bezczelne, łatwe do zdemaskowania kłamstwa. Takie jak wyssana z palca opowieść o rzekomej „kłótni na lotnisku” przed wylotem do Smoleńska czy przejmujące bajedy o „uchodźcach” rzucanych przez Straż Graniczną na druty kolczaste, mordowanych i grzebanych ukradkiem po lasach albo ukrywających się przez sześć dni w rzece. Nieprzekraczalnym ekscesem pozostać tu rozpaczliwa próba ratowania w roku 2015 Bronisława Komorowskiego poprzez zmyślenie „zamachu” na niego w piątek poprzedzający ciszę wyborczą przed pierwszą turą wyborów.

Rzekomym zamachem miała być podjęta przez działacza pro-life próba zbliżenia się do ówczesnego prezydenta w celu wręczenia mu antyaborcyjnej ulotki.

■ Działacz został w bezpiecznej odległości od prezydenta zatrzymany przez ochronę, więc zawrócił i odszedł. Ta właśnie „niebezpieczna próba zbliżenia się” do Komorowskiego ogłoszona została w dzieńnikach i na żółtych paskach TVN „próbą zamachu”, wbrew najoczywistszej logice (funkcjonariusze służb „udaremniili próbę zamachu” i pozwolili „zamachowcowi” ot, tak oddalić się?!). Po czym aż do wieczora, do samego momentu zapadnięcia ciszy wyborczej, przez ekran przewijał się korowód „ekspertów”, celebrytów i postmagdalenkowych polityków rwących szaty i histeryzujących, „do czego PiS doprowadził tym ciągłym szerzeniem nienawiści”. Oczywiście w powyborczy poniedziałek i w ogóle już nigdy więcej TVN o rzekomym zamachu się nie zająknął.

Takich okazji do złapania się za rękę TVN nie daje jednak wiele. Jej przekaz wyrósł z tradycji bardziej nowoczesnej niż wspomniane gierkowskie wbijanie miliona gwoździ w milion głów dziennie. Pion informacyjny tej stacji tworzył przecież Mariusz Walter, w czasach stanu wojennego polecany osobiście przez samego Jerzego Urbana, jako pracownik całkowicie oddany komunistycznej władzy i zarazem bardzo fachowy, Czesławowi Kiszczałowi, do przygotowywania materiałów telewizyjnych szczególnie ważnych dla SB (stosowny list rekomendacji zachował się w archiwach IPN). Był on jednym z tych funkcjonariuszy propagandy PRL, który uczestniczył w bodaj największym jej sukcesie, którym było odebranie społecznego poparcia Solidarności przed wprowadzeniem przez Wojciecha Jaruzelskiego stanu wojennego. Warto przypomnieć jeszcze raz, jak to się stało, bo rzecz stanowi – w każdym razie powinna stanowić – „case study” dla wszystkich zajmujących się technikami masowej perswazji.

Spółeczny opór, którego Jaruzelski bardzo się obawiał, złamany został nie przez proste, łatwe do odbicia i zdemaskowania kłamstwa czy propagandowe hasła, na których bazowano w czasach Władysława Gomułki czy Edwarda Gierka. TVP złamała wolę oporu Polaków, „kłamaniem prawdą” – metodycznie nasycając ich lękiem, wzbudzając poczucie chaosu. Oczywiście było to łatwiejsze w warunkach telewizyjnego monopolu, gdy jedyny dziennik telewizyjny oglądać musiało co

wieczór dwadzieścia kilka milionów ludzi. Co w nim widzieli? Wszystko to, czego nie widzieli tam wcześniej ani później. Gołe haki i puste półki w sklepach, przestoje w zakładach pracy, dyrektorów ubolewających, że przez te ciągłe strajki nie będzie węgla, by ogrzać kaloryfery podczas nadchodzących mrozów, a przede wszystkim – zalewającą kraj falę zbrodni. Nawet komunistyczne statystyki z tych czasów pokazują jasno, że w okresie pomiędzy sierpniem 1980 r. a grudniem 1981 r. przestępczość znacznie spadła. Strajków też było w istocie niewiele, mimo licznych prowokacji władzy protesty ograniczały się głównie do oflagowywania zakładów – przestoje wynikały z braku surowców i wyłączeń prądu. Ale każdy z nich, podobnie jak każde przestępstwo, szczególnie w tych brutalnych, przed Sierpniem ściśle cenzurowanych, teraz był skrupulatnie odnotowywany i pokazywany w telewizyjnym dzienniku. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu...

Nietrudno do dziś znaleźć ludzi, sędziwych już, którzy gotowi są przysięgać, że Solidarność wprowadziła Polskę w straszny chaos i anarchię, i generał po prostu musiał przywrócić porządek. Nie pamiętają faktów, bo w istocie niczego takiego nie było – pamiętają swoje lęki, wygenerowane przez „Dziennik Telewizyjny”, choć co konkretnie je wzbudziło, przypomnieć sobie i podać jakiegoś konkretnego przykładu „chaosu i anarchii” oczywiście nie są w stanie.

WBREW STATYSTYKOM

Ten sam mechanizm sprawia, że targetowy widz i zarazem ofiara TVN gotów jest z przekonaniem zapewniać, że dobrze pamięta „duszną atmosferę” pierwszych rządów PiS, w latach 2005–2007, choć na czym by owa „duszość” polegała, nie wytłumaczy. „Atmosfera” to pojęcie niejasne, ale z pewnymi konkretnymi ówczesny przekaz medialny skonfrontować. Na przykład do dziś wspomniany targetowy widz będzie twierdził, że aresztowanie przez Ziobrę „doktora G.”, kardiologa łapownika, spowodowało „załamanie polskiej transplantologii”. Tak w istocie wielokrotnie w TVN24 w „Faktach” mu wmawiano. Jeśli ktoś zada sobie trud skonfrontowania propagandy sprzed prawie 20 lat ze statystykami, stwierdzi, że spadek liczby transplantacji nastąpił

wtedy, istotnie, ale kilka miesięcy przed owym aresztowaniem. Mniej więcej dwa miesiące przed nim liczba zabiegów zaczęła wzrastać i potem rosła już z miesiąca na miesiąc nieprzerwanie, i nie widać, by sprawa „doktora G.” miała na to jakikolwiek wpływ, ujemny czy dodatni.

Gdy kłamstwo o „duszej atmosferze” i „naciskach” poskutkowało (po 2007 r. żadnego przykładu wielokrotnie w TVN ogłaszanego „nadużywania przez PiS władzy” nie udało się potwierdzić, choć zajmowały się tym i prokuratura w 70 śledztwach, i specjalnie powołane komisje sejmowe), TVN włączyła się w służbę rządzącej PO, budując narracje uzasadniające kolejne posunięcia Donalda Tuska – nierzadko z wyprzedzeniem. Tak było, gdy premier ogłaszał swoje kolejne „wzmoczenia” – „kastrowanie pedofilów”, walkę z „kibolami” czy walkę z „dopalaczami”. W tym ostatnim wypadku przez tydzień, dzień w dzień, TVN znajdował poruszające przypadki śmierci młodych ludzi, zawinione jakoby przez bezkarnych „handlarzy śmiercią” (w istocie większość owych „młodych” ofiar była w średnim wieku, i tylko w jednym przypadku można było z całą pewnością orzec, że zgon był skutkiem zażycia substancji psychoaktywnych) – szóstego dnia zaś wystąpił Tusk, stwierdzając, że „tak dalek być nie może”. Nawiasem mówiąc, jego spektakularna akcja zamykania sklepów z „przedmiotami kolekcjonerskimi” na statystyki spożycia „dopalaczy” nie wpłynęła, ale sztandarowe medium władzy, którego nazwę wtedy właśnie zaczęto rozwijać jako „Tusk Vision Network”, straciło zainteresowanie tematem natychmiast po tym, jak stracił je sam Tusk.

W analogiczny sposób zagrała TVN przed wyborami parlamentarnymi 2023 r. kartą „pod rządami PiS kobiety umierają na porodówkach”. Kilka wypadków błędów lekarskich nagłaśniano intensywnie w codziennych przekazach, łącząc je z ustawą antyaborcyjną, choć w sprawie żadnej z kobiet, które stały się bohaterkami materiałów TVN (kryptonimowanych imieniem i nazwą miasta – Karolina z Nowego Sącza itp.), po zapoznaniu się nie sposób było wskazać żadnego związku między błędną decyzją lekarza a ustawą antyaborcyjną.

Czasem wystarczy konsekwentnie pomijać jakiś kluczowy szczegół. W cza-



Wielu Polaków jest przekonanych, że to TSUE wydało wyrok delegalizujący polski Sąd Najwyższy. A tymczasem – nie. Nie ma i nigdy nie było takiego wyroku. To skąd się wzięło przekonanie, że jest? Z TVN24

sach, gdy jeden z gwiazdorów TVN24 publicznie wyrażał obawę, że katastrofa w Smoleńsku może obudzić „demonia polskiego patriotyzmu”, bardzo uważnie śledziłem przekaz dotyczący tej tragedii. Powtarzając niezliczoną ilość razy zapis z kabiny tupolewa, z monotonnym, złowrogim „pull up, pull up, pull up!” sączącym się z głośnika, TVN ani razu nie wyjaśnił, że lotnisko Siewiernyj, jako oficjalnie zamknięte, nie jest wpisane do systemu TAWS, w związku z czym system ten traktował lądowanie jak zniżanie się nad przypadkowym polem, i powtarzały „pull up” w każdym możliwym wariacie przyziemienia – tak jak niezaktualizowana nawigacja samochodowa powtarza „zawróć, zawróć”, a my nie zwracamy na to uwagi, bo dobrze wiemy, że droga przed nami jest już przejezdna. Do dziś przeciętny widz TVN gotów jest rzucić się każdemu do gardła, bo „przecież każdy widział”, że Lech Kaczyński kazał pilotom lądować za wszelką cenę, choć system wył „pull up”!

Zdemaskowanie kłamstwa wymaga jednak znajomości kontekstów, statystyk: np. że wypadków śmierci na porodówkach odnotowuje się w Polsce mniej niż w krajach, w których aborcja dostępna jest na życzenie. Kolejne, w krótkich odstępach czasu rozpętywane historie i wywiady z celebrytkami opowiadającymi, że

ich córki „boją się zajścia w ciążę” w kraju, którym rządzą katolicy fundamentaliści, były ewidentnie powiązane z decyzjami strategów PO. Do pewnego momentu uważali oni, że przyczyną „tąpnięcia” notowań PiS w roku 2020 było „złamanie przez PiS kompromisu aborcyjnego”, i za klucz do zwycięstwa uznawali rozpętanie hysterii „PiS morduje kobiety”. Było to błędne założenie (przyczyną „tąpnięcia” były raczej restrykcje covidowe), ale z niejasnych przyczyn podzielane przez PiS, który postanowił przenieść spór na wybrane przez siebie pole, tworząc komisię do zbadania wpływów rosyjskich. Była to brzemenna w fatalne dla PiS skutki pomyłka, ale w ten sposób temat „mordowanych kobiet” zniknął z przekazów TVN z dnia na dzień, wraz z groteskową „Joanną z Krakowa”, która pierwotnie miała być bohaterką „marszu milionów”, ostatecznie odbytego jako marsz przeciwko „próbie wyeliminowania Tuska ze startu w wyborach”.

JAK PRZED STANEM WOJENNYM

Generalnie z perspektywy czasu widać wyraźnie, jak przekaz informacyjny i publicystyczny TVN w każdym okresie – czy to „walki o wolne sądy”, czy tropienia w Polsce „faszyzmu” – był zawsze doskonale zgodny z linią partii, zarówno wtedy, gdy PO i jej przybudówki

były w opozycji, jak i wtedy, gdy odzyskiwały władzę. Dokładnie odwrotnie, niż twierdzą pracownicy stacji, zapewniając o swojej dziennikarskiej niezależności. W wypadku niektórych może być to zgodne z subiektywnym przeświadczeniem, jeśli służbę „siłom demokratycznym” wybrali ze szczerego przekonania, często wyniesionego z partyjno-mundurowego domu. Ale przede wszystkim jest to realizacja podstawowej zasady propagandy: aby była ona skuteczna, poddanemu jej człowiekowi trzeba wmówić, że to nie propaganda, tylko rzetelna, obiektywna informacja, z której to on sam wyciąga wnioski, w istocie umiejętnie mu podsunięte.

Metoda manipulowania emocjami, zastosowana z tak owocnym skutkiem w TVP przed stanem wojennym i stosowana dziś przez wychowanków Waltera oraz Milana Subotića, pozwala być w tym bardzo skutecznym. W czasie posierpniowego karnawału Solidarność starała się przekonać, że „telewizja kłamie”, „DTV” kłamie, jak łągł, przestrzegała też przed oficjalnym przekazem Wolną Europę i inne „dywersyjne” rozgłoszenie. Ale nie da się sprostować zmanipulowanych emocji. Czy morderstwa, napady i inne zbrodnie, pokazywane codziennie w wieczornym „DTV” były zmyśnione? Oczywiście, że nie. Były niewątpliwym faktem, podobnie jak faktem była śmierć „Karoliny z Nowego Sącza”, której lekarze nie usunęli w porę obumarłego płodu. Czy informacja, że idzie zima, a na hałdach przy Elektrociepłowni Siekierki węgla leży zaledwie na dwa-trzy dni, bazowały na sfałszowanych zdjęciach? Czy zdjęcia pokazujące „powstankę” czekającą na sejmowym biurze przepustek albo bezskuteczne rozgrzewanie palnikiem węgla na szuflę zostały spreparowane? Czyż system TAWS naprawdę nie powtarzał komunikatu „pull up”?

Żeby połapać się w manipulacji, trzeba wykonać elementarną pracę analityczną, zrozumieć, że kłamstwo polega na zmianie kontekstu, pominięciu istotnych dla zrozumienia sensu zdarzenia szczegółów, drastycznym zachwianiu proporcji. Przeciętny widz nie jest w stanie tego zrobić. Szczególnie widz, którego udało się nasycić stale podgrzewanymi emocjami, szamocący się w nieustającym oburzeniu i lęku – że PiS to, tamto, że zabiera nam demokrację, że morduje kobiety, że chce

nas wyprowadzić z Europy, że dzieli ludzi, że hejtuje i wzywa do zamordowania samego Owsiaaka (tak, nawet Jurka Owsiaaka! – do tego nawet doszło, pani kochana!!!), słowem, skutecznie wprowadzony w stan zwany przez psychologów „obłądem udzielonym”. Co czyni go zarazem idealnym wyborcą dysponenta tefalenowskich kłamstw i idealnym klientem tefalenowskiego biznesu.

Mamy więc niejako dwa poziomy „codziennie wbijania miliona gwoździ w milion desek” – produkowanie „faktoidów”, wykorzystywanych do codziennego jątrzenia i wywoływania takich emocji, jakich w danym momencie potrzebują i oczekują lewicowo-liberalni politycy, oraz nieustannego podtrzymywania tych

dzi „eksperta”, który powiedział: „Moim zdaniem wyrok TSUE oznacza, że...”, która trafiła na żółty pasek w formie: „Ekspert: TSUE zdelegalizował IKN SN”, a potem, już z pominięciem faktu, że to tylko opinia „eksperta”, został nieskończoną liczbę razy powtórzony przez innych „ekspertów”, prezenterów oraz gości, aż, zgodnie z powszechnie znaną formułą Josepha Goebbelsa, stał się „prawdą”.

W istocie nie ma nie tylko żadnego orzeczenia TSUE delegalizującego IKN SN. Nie ma także żadnego powodu uznawania za „niekonstytucyjny” KRS. Nie ma żadnej podstawy prawnej do podważania legalności Trybunału Konstytucyjnego czy podważania statusu sędziów rekomendowanych po roku 2018. Przeciwnie!

Szukałem potem na stronach internetowych stacji zapisu tej rozmowy, by spisać sobie wyliczone przez profesor artykuły konstytucji i kodeksów. Nie znalazłem. Jeśli TVN zdarzy się taki wypadek przy pracy, to po prostu nie pozostawia zapisu w Internecie. Co więcej, biuro prawne tej telewizji zasypuje bardzo sprawnie zgłoszeniami o „naruszeniu praw autorskich” YouTube, jeśli zapis takiej audycji umieści tam ktoś inny. Na stronach TVN24 znaleźć można tylko wypowiedzi profesorów Andrzeja Zolla, Marka Safjana, Andrzeja Rzeplińskiego, Wojciecha Sadurskiego, Marka Chmaja (promotora żenującej „pracy doktorskiej” wiceministra Arkadiusza Myrchy). Są też wypowiedzi Wojciecha Hermelińskiego i innych dyżurnych ekspertów, zawsze gotowych uzasadniać słuszność posunięć Tuska (Grabowskiej czy prof. Ryszarda Piotrowskiego oczywiście nigdy już nie zaproszono). Warto tu nadmienić, że trzech pierwszych (Zoll, Safjan, Rzepliński) notorycznie wygłasza przy tym opinie rażąco sprzeczne z orzeczeniami Trybunału Konstytucyjnego, które swego czasu sami wydawali – opinie, które natychmiast TVN podnosi na żółtym pasku do rangi „faktów”. Nawet stały komentator Agorowego portalu gazeta.pl uznał w kontekście tych nazwisk, że mocne słowa Bosaka o „prostituowaniu się” prawniczych elit należy uznać za uzasadnione.

Mniejsza jednak o „ekspertów”, ważna jest propagandowa maszyna, która ich opinie agreguje, stale utrzymując społeczne zaplecze rządu w stanie „paniki moralnej”, wyższej konieczności, chronicznego stanu wyjątkowego, usprawiedliwiającego wszelkie nadużycia i pozwalającego historycznie wypierać rzeczywistość.

Co stanie się z obecną władzą, kiedy ta maszyna zostanie wyłączona – nie wspominając o możliwej zmianie wytwarzanego przez nią przekazu? Wydaje się to pytaniem retorycznym. Zresztą nerwowa reakcja Donalda Tuska już na pierwsze pogłoski o planowanej sprzedaży TVN Węgrom, spadkobiercom Silvia Berlusconi, Fox lub innym „trumpistom” nie pozostawia wątpliwości co do znaczenia propagandowego kartelu w obecnym układzie władzy. Problemem tego kartelu jest fakt, że wszystko wskazuje, iż ta sprzedaż się nieuchronnie zbliża...

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Żeby połączyć się w manipulacji, trzeba wykonać elementarną pracę analityczną, zrozumieć, że kłamstwo polega na zmianie kontekstu, pominięciu istotnych dla zrozumienia sensu zdarzenia szczegółów, drastycznym zachwianiu proporcji

emocji poprzez manipulowanie prawdziwymi składnikami, ale odpowiednio dobranymi treściami, szczególnie wizualnymi.

Ale najważniejszy jest poziom trzeci, najwyższy – budowanie dla lewicowo-liberalnych polityków wielkich narracji, legitymizujących ich działania.

Prorządowa dziennikarka przeżyła ostatnio szok, gdy na jej twierdzenia, że „Izba Kontroli Nadzwyczajnej Sądu Najwyższego nie jest sądem, tak stanowi wyrok TSUE”, marszałek Bosak odpowiedział spokojnie: „To nieprawda, nie ma takiego wyroku TSUE”.

W istocie: nie ma żadnego wyroku TSUE, który by mówił, że IKN „nie jest sądem”. A przecież istnienie tego nieistniejącego wyroku jest jednym z aksjomatów, jednym z podstawowych twierdzeń, na których opiera się legitymizacja łamania prawa przez obecny rząd. Wszyscy zwolennicy tego rządu, sami jego członkowie, a także wielu normalnych ludzi przekonani są, że to właśnie TSUE wydał wyrok delegalizujący polski Sąd Najwyższy. Słyszeli o tym tyle razy... A tymczasem – nie, nie ma i nigdy nie było takiego wyroku.

To skąd się wzięło przekonanie, że jest? Z TVN24, z „Faktów”. Z wypowiedzi

Istnieją wyroki TSUE i zalecenia Komisji Weneckiej, które wprost tego zabraniają – i o których targetowy widz TVN nie wie, chyba że wbrew sugestiom płynącym z „jego” stacji otworzył się na przekaz jakichś innych, „wrogich” mediów.

Ta swoista „ekspertokracja” jest szczególną, najbardziej wyrazistą strategią fabryki kłamstw z Augustówki. Wykreowanie odpowiednich autorytetów, a następnie nadanie ich opiniom rangi faktów posłużyło zbudowaniu całej wielkiej, kłamliwej opowieści, w której osiem lat rządów PiS było łamaniem prawa i zasad demokracji (nie istnieje żaden niepodważalny fakt, który by takie twierdzenie uzasadniał – tylko opinie „ekspertów”), w związku z czym bezprawne działania władzy można przedstawiać jako usprawiedliwione, a nawet konieczne „przywracanie” demokracji.

„PANIKA MORALNA”

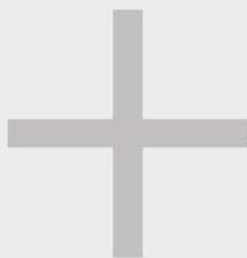
Pamiętam, że w początkach sporu o Trybunał Konstytucyjny TVN24 zaprosił – nieopatrznie, jak sądzę – prof. Genowefę Grabowską, która prosto i przekonująco rozniosła w strzępy narrację dyżurnych ekspertów stacji o „sędziach dublerach”.

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

STANISŁAW STABRYŁA: ZNAK,
KTÓREMU SPRZECIWIĆ SIĘ BĘDĄ

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~560~~ ZŁ

272,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 288 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl d06ec961c0

Stara gra w nowej odsłonie i w nowej skali



Piotr Semka

Ostatnia kampania medialna na rzecz wycofania się firm z reklam na antenie największej opozycyjnej telewizji w Polsce warta jest szczegółowej analizy. Pokazuje ona, jak przy pomocy mediów i przy użyciu grupy celebrytów – z wyraźnym poparciem rządzącej partii – można próbować podciąć biznesowe podstawy istnienia niewygodnego medium

TV Republika ma gigantyczny problem. Kolejne firmy zrywają współpracę. Amica, producent sprzętu AGD, nie będzie się już dłużej reklamować w TV Republika; podobną decyzję podjął wielki producent suplementów diety Oleofarm – tak w triumfalnym tonie donosi portal Wyborcza.biz. I dalej: „Wygląda na to, że Tomasz Sakiewicz będzie musiał się pożegnać z milionami złotych, które wcześniej na

masową skalę płynęły do jego stacji”.

Ostatnia kampania medialna na rzecz wycofania się firm z reklam na antenie największej opozycyjnej telewizji w Polsce warta jest szczegółowej analizy. Pokazuje ona, jak przy pomocy mediów i przy użyciu grupy celebrytów – z wyraźnym poparciem rządzącej partii – można próbować podciąć biznesowe podstawy istnienia niewygodnego medium i dążyć do unifikacji przekazu medialnego. Odstraszanie

reklamodawców to dla telewizji komercyjnej jak podcięcie nóg, jak odcinanie rośliny w doniczce od życiodajnej wody.

POLOWANIA Z NAGONKĄ

Od początku lat 90. stałą praktyką obozu liberalnej lewicy w naszym kraju jest niedopuszczanie do powstania dużych i dochodowych mediów prawicy. Na początku próbuje blokować się ich powstawanie, a gdy już jakimś cudem wyrosną, szukane są sposoby na zatrzymanie ich biznesowego impetu. W pierwszych latach III RP za najbardziej wpływowe medium uważano telewizję publiczną. I tu używano raczej nacisku politycznego, a nie biznesowego. Tak było w epoce prezesury Wiesława Walendziaka w TVP w latach 1994–1996, którego usunięto z funkcji wskutek wspólnej politycznej akcji Unii Wolności, PSL i postkomunistów.

Jednak również wtedy używano nieformalnych wpływów do odradzania reklamodawcom inwestowania w „nie-

właściwe media”. W latach 1992–1993 z powodu braku reklam upadł całkiem niezły konserwatywny tygodnik „Spotkania”. Z uzyskiwaniem reklam od wielkich firm miał ogromne problemy dziennik „Życie” Tomasza Wołka. W 1997 r. Wiesław Walendziak ujawnił, że Adam Michnik zaangażował się w działanie mające zapobiec stworzeniu w Polsce lokalnej mutacji stacji RTL7 z Luksemburga, której miał szefować kojarzony z prawicą Maciej Pawlicki. W 1999 r. kolejna konserwatywna inicjatywa, Telewizja Familijna, musiała zaprzestać emisji wskutek wycofania się z finansowania stacji przez biznesmena Ryszarda Krauzego. We wszystkich wypadkach domy mediowe unikały kierowania reklam do prawicowych tytułów. Ich lewicowe odpowiedniki, takie jak np. tygodnik „Polityka” czy „Gazeta Wyborcza”, nie miały z tym najmniejszych problemów.

Ta dość wyraźna tendencja nie interesowała większości gazet i telewizji ówczesnego medialnego mainstreamu. Brak zainteresowania reklamodawców w dość perfidny sposób tłumaczono rzekomym brakiem talentów prawicy do tworzenia mediów. Gdy dziennikarze z prawej strony skarżyli się na taki nieformalny bojkot, bardzo często padała zjadliwa riposta: „A może jesteście po prostu kiepscy?”. Cały legion sprzyjających obozowi liberalnemu medioznawców tłumaczył, że prawicowe treści przyciągają jedynie starych i niewykształconych ludzi, co powoduje, że reklamodawcy nie są zainteresowani takimi tytułami.

Ale gdy media z prawej strony uzyskały wreszcie trudny do kwestionowania sukces, wtedy wybierano inną taktykę. Rozkładano ręce i znów złośliwie wskazywano, że na wolnym rynku nie można nikogo zmusić do obstalowywania reklam w danym medium. Gdy w 2011 r. ogromny sukces rynkowy odniósł tygodnik „Uważam Rze”, początkowo próbowano stosować do jego dyskredytowania starych klisz. Analitik rynku medialnego Jakub Bierzyński, pytany przez portal Forsal o dobre wyniki sprzedaży tygodnika – na poziomie 136 tys. sprzedanych egzemplarzy – przyznawał, że pismo ujawniło istnienie „grupy zupełnie niezagospodarowanych czytelników”. Natychmiast jednak dodawał, że czytelnicy „Uważam Rze” są mało interesujący

reklamowo. Jak wyjaśniał: „Nie z powodów politycznych, ale raczej dlatego, że nie kojarzą się z konsumpcjonizmem”.

Gdy się jednak okazało, że „Uważam Rze” zaczęło przyciągać coraz więcej reklam, ten sam Jakub Bierzyński zaangażował się w rozsyłanie listów wśród pracowników branży reklamowej z postulatem, by nie publikować w piśmie reklam z racji treści, jakie prezentuje tygodnik. Wtedy te pierwsze próby zainicjowania bojkotu wobec prawicowego tygodnika niewiele dały. Trzeba było wykupu wydawcy „Uważam Rze” przez biznesmena Grzegorza Hajdarowicza, by usunąć z funkcji redaktora naczelnego Pawła Lisickiego i całkowicie zmienić profil ideowy pisma.

Z podobnymi działaniami od czasu do czasu spotykamy się także w tygodniku „Do Rzeczy”, który założyliśmy po odejściu z „Uważam Rze”. Już na samym początku, we wrześniu 2013 r., lewicowy publicysta Tomasz Piątek wysłał do fundacji Edukacja bez Granic e-maile, w których zarzucił jej, że wykupuje ogłoszenia w naszym tytule, gdzie publikowane miały być teksty ocierające się – zdaniem Piątka – o jawną homofobię.

Przez kolejne lata hasło bojkotu reklamowego na pewien czas ucichło. Nawet w czasie rządów nad TVP Jacka Kurskiego, a potem Mateusza Matyszkowicza próby takich wezwań do bojkotu nie miały miejsca. Zyski, które dawały reklamy w telewizji publicznej, były tak duże, że firmy ignorowały wszelkie zarzuty o propagandowość przekazu z Placu Powstańców i Woronicza.

NOWA FALA ATAÓW

Hasło bojkotu i zawstydzania reklamodawców powróciło w styczniu 2024 r., tuż po tym, jak ekipa Donalda Tuska przejęła siłowo telewizję i radio publiczne. To działanie spowodowało, że spora część dawnych widzów TVP przełączyła się na TV Republika. Wystarczyło rozpętać prawdziwą medialną histerię wobec bardzo wątpliwego jakościowo żartu Jana Pietrzaka na temat emigrantów, aby rozpoczęła się kampania, w której wzywano reklamodawców do porzucenia stacji Tomasza Sakiewicza. Wtedy wśród firm, które się wycofały, znalazły się IKEA, mBank, Żabka, Provident, Tarczyński i Adamed.

Co charakterystyczne, bardzo dużo oliwy do ognia w tym konflikcie dolewał

formalnie niezaangażowany politycznie portal branżowy Wirtualne Media. Ustalał on listę firm, które aktywnie reklamowały się w TV Republika, i wysyłał do nich pytania, czy zamierzają kontynuować tę działalność. Wysyłka takich listów była pośrednią formą nacisku na firmy. Trudno do końca było twierdzić, ile firm się wycofało i które z nich wróciły potem na antenę. W naturalny sposób ujawnianiem tego typu informacji nie byli zainteresowani ani TV Republika, ani poszczególni reklamodawcy.

Po styczniowej awanturze kolejne miesiące, aż do stycznia 2025 r., to powrót reklamodawców, który wydawał się być rzeczą normalną wobec wzrostu liczby widzów stacji Tomasza Sakiewicza. Jak się okazało, o chęci zaszkodzenia stacji, której reporterów rząd Tuska nie wpuszcza na swoje konferencje, bynajmniej nie zapomniano. Czekano jedynie na odpowiednią okazję.

JERZY OWSIAK STAWIA ULTIMATUM

O ile w styczniu 2024 r. media nieprzychylne Republice jako powód do bojkotu cytowały wiernie najpierw cytat fatalnej wypowiedzi Jana Pietrzaka, potem wzmacniając jej wydźwięk również niefortunnym cytatem publicysty Marka Króla, o tyle w trakcie nowego sporu nie troszczono się nawet o jakikolwiek cytat. Do nowej akcji wykorzystano to, że tak jak co roku zbliżający się kolejny finał Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy znów wzbudził kontrowersje po prawej stronie i pytania o to, czy warto jest sypać złotówki do skrzynek wolontariuszy WOŚP. Tomasz Sakiewicz, wykorzystując te wątpliwości, zaproponował, by zamiast na Owsiaka płacić na rozwój TV Republiki. Trudno się oprzeć wrażeniu, że propozycję tę uznano jako coś w rodzaju świeckiego świętokradztwa. Rozpoczęła się ostra wymiana zdań między Owsiakiem a Republiką, którą lider WOŚP uwieńczył publicznym oskarżeniem o odpowiedzialność Republiki za rozmaite groźby karalne, które do niego dotarły.

W finale tego sporu Owsiak przeszedł do ofensywy. Zażądał od firmy, która znała się z wysokich dotacji dla Orkiestry – sieci supermarketów Lidl – zdecydowania się, czy chce wspierać WOŚP czy też woli reklamować się w Republice. A liczne media liberalne, na czele z „Gazetą

■ **Wyborcza**, rozpoczęły akcję na rzecz wycofywania się reklamodawców z Republiki.

Owsiak tłumaczył firmom swe ultimatum tak: „Oświadczam, że jeżeli jakaś firma chce z nami współpracować, to musi wybrać. Nie będziemy z wami grać, jeżeli wasze reklamy wyświetla telewizja antyonkologiczna, antyhematologiczna, antyludzka, przez którą ludzie zaczynają mi grozić”.

Teoretycznie, na zdrowy rozum, dziennikarze – nie tylko z prawej, lecz także z centrum, a nawet lewej strony sceny polityczno-medialnej – powinni od uzurpacji Owsiaka się zdystansować. Nie sposób jest udowodnić, że istnieje związek między krytyką Owsiaka w Republice a godnymi potępienia przykładami, kiedy takie groźby pojedynczy ludzie wysyłają do założyciela Wielkiej Orkiestry. Wystarczy rzucać ogólnikowe oskarżenia: Republika szczuje i kłamie.

Gdyby przyjąć tę logikę, Owsiak musiałby być w 100 proc. chroniony przed jakąkolwiek krytyką, gdyż w każdym innym wypadku znów prezentowałby się w roli ofiary. A jednak Lidl częściowo się ugiął. Ogłosił, że jeśli Republika nie stworzy jakiegś formy ugody z Owsiakiem, to wtedy – ale dopiero od kwietnia 2025 r. – wycofa swoje reklamy. Co charakterystyczne, „Gazeta Wyborcza” nie tylko nie zadowoliliła się tą deklaracją, lecz także wręcz zaatakowała Lidl za to, że nie zrywa umowy z dnia na dzień. „Wyborcza” odrzuciła tezę Lidla, że rezygnowanie z reklam kosztuje i trzeba płacić słone kary.

Dla dogryzienia Lidlowi zacytowano prezesa jednej z firm, która wycofała reklamy z Republiki: „Takie tłumaczenie (Lidla) jest kuriozalne i ma na celu zrzucanie winy na kogoś innego. Gdy postanowiłem się z TV Republika wycofać, powiedziałem domowi mediowemu, że nasze reklamy mają zniknąć natychmiast. I zniknęły”. „Wyborcza” nie podała nazwiska prezesa firmy, która rzekomo wycofała się z Republiki, więc trudno stwierdzić, czy ta wypowiedź jest prawdziwa.

Ale cytowanie anonimowych postaci przy opisywaniu tego konfliktu stało się normalną praktyką „Wyborczej”. Oto w jednym z tekstów dziennik z Czerskiej opowiada o „pani Barbarze, kasjerce z Li-



dla, która zadzwoniła do nas w reakcji na teksty o tym, że Lidl nie przyłącza się do bojkotu TV Republika, że nie przeszkadzają mu skandaliczne treści w tej stacji, a w każdym razie nie na tyle, by wycofać sponsoring”. „Wyborcza” ubezpiecza się, wyjaśniając, że nie podaje nazwiska rzekomej kasjerki ani miasta, z którego dzwoni, na jej prośbę. Ale jednocześnie z lubością cytuje jej minimanifest.

„Proszę, gdy mówicie o TV Republika, nie piszcie, że Lidl robi to czy tamto. Bo Lidl to my, pracownicy – stwierdziła. – Wielu z nas oburza, że wspieramy tę stację. Tyle że nie jest to decyzja pracowników, nie było żadnej ankiety, czy jesteśmy za obecnością w Republice czy nie. To decyzja – wszyscy u nas o tym wiedzą – Włodzimierza Właźlaka, naszego prezesa. Nie piszcie więc, że »Lidl zdecydował«, ale że »prezes zdecydował«”.

Formuła, którą zastosowała „Gazeta Wyborcza”, aż prosi się o dokładniejszą analizę. Dziennikarze „GW” najpierw wykreowują więc bohaterkę, której istnienia nie da się ustalić. Jest to skromna kasjerka, „pani Barbara”, która ma się kojarzyć z uczciwą kobietą, która samotnie rzuca wyzwanie wielkiemu koncernowi Sakiewicza i tym samym w naturalny sposób budzi sympatię, ktoś w rodzaju biblijnego Dawida rzucającego wyzwanie wszechpotężnemu Goliatowi. Ale ta sama pani Barbara zostaje użyta do wymienienia z nazwiska kogoś, kto ma być publicznie zawstydzony, czyli prezesa polskiego Lidla – Włodzimierza Właźlaka.

Użycie takiego manewru to pośrednie ostrzeżenie dla szefów innych firm. Jak

będziecie reklamować się w Republice, to waszymi nazwiskami też będziemy wycierać portale „Wyborczej” czy innych mediów liberalnych. 5 lutego gazeta uściśliła, że z reklamy w Republice zrezygnował także producent słodczy Wawel, z zaznaczeniem, że firma kontrolowana jest przez niemiecką rodzinną firmę Hosta International AG, która zapewniła, że wycofa się ze współpracy ze stacją od 1 marca 2025 r. Ale to nie koniec. „Wyborcza” ogłosiła, że wysyła do kompanii piwowarskiej, do której należą takie marki jak Tyskie, Żubr, Dębowe Mocne, pytanie, czy zamierza się przyłączyć do bojkotu. A tuż obok podała też listę tych, którzy w Republice zamawiają najwięcej reklam, na czele z markami No Sweet, Mango, Nurofen, Pupil Karma i Desmoxan.

NIE ZAZNASZ SPOKOJU

To streszczenie działań „Gazety Wyborczej” w ostatnich tygodniach pokazuje, jak naiwne jest uznawanie tego podmiotu jedynie za nośnik informacji. Gazeta kontroluje, kto łamie arbitralnie ogłoszony zakaz, nadaje mu walor ważnej akcji społecznej przez cytowanie wspierających Owsiaka celebrytów, wykreowuje mit o związku między informacjami na temat Owsiaka w TV Republika a groźbami karalnymi i, wreszcie, piętnuje nazwiska tych, którzy nie postępują tak, jak ona chce. Do tego prowadzi swoisty rejestr firm, które nie dostosowują się potulnie do żądań szefa WOŚP. A wszystko to pośrednio sprzyja głównej partii rządzącej, dla której opozycyjna telewizja jest kłopotem.

W tej operacji każdy element doskonale do siebie pasuje. I siła medialna „Wyborczej”, i popularność Owsiaka, i wsparcie Donalda Tuska dla lidera WOŚP przejawiane przy okazji takich sytuacji jak powódź, i wreszcie łącząca wszystkie te podmioty wspólna niechęć do mediów prawicy. A wszystko to w sytuacji, kiedy za coś usprawiedliwiającego akcję bojkotu uznaje się normalne w każdym kraju prawo do krytyki osoby publicznej, która rozporządza ogromnymi sumami.

Akcja bojkotu przez reklamodawców TV Republika to de facto akcja niszczenia medium niezależnego od rządu Donalda Tuska. A bez pluralizmu w mediach o prawdziwej demokracji nie ma mowy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Januszem Kowalskim, posłem Prawa i Sprawiedliwości
rozmawia Ryszard Gromadzki

Koniec miękkiej gry



RYSZARD GROMADZKI: Jak PiS chce wygrać wybory prezydenckie, skoro tzw. milcząca większość śpi tak mocno, że nawet brednie minister Nowakiej o „polskich nazistach” jej nie obudziły?

JANUSZ KOWALSKI: Polacy już widzą, że żyje im się gorzej niż w czasach rządów PiS. Widzą to w swoich portfelach, w swoich rachunkach czy dokonując zakupów. Jednak warunkiem zwycięstwa kandydata prawicy jest to, żeby Polacy uwierzyli, że prawica może rządzić lepiej niż w latach 2015–2023, nie popełniając błędów, które popełniała. Wybory prezydenckie będą plebiscytem. Kto jest za Donaldem Tuskiem i koalicją 13 grudnia, głosuje na Rafała Trzaskowskiego. Kto jest przeciwko Donaldowi Tuskowi, koalicji 13 grudnia i temu wszystkiemu, co dzieje się za jej rządów, przede wszystkim pozbawianiu Polaków bezpieczeństwa w związku z planem Tuska sprowadzenia do Polski setek tysięcy migrantów, głosuje na Karola Nawrockiego. Odpowiadając na pana pytanie o mobilizację obywatelską przed wyborami, chcę zauważyć, że w wielu grupach społecznych i zawodowych ona już jest. Ale zgadzam się, że do przełamania zła, które panoszy się w Polsce, potrzebna jest, używając terminologii wojskowej, powszechna mobilizacja. Dlatego od miesięcy rekomenduję zorganizowanie w piątek, bezpośrednio przed pierwszą turą wyborów, strajku generalnego. Strajku, w którym ludzie, cała Polska, powiedzą głośne „nie” rządowi Tuska i kandydatowi Tuska Rafałowi Trzaskowskiemu.

Strajk generalny to broń, którą wykorzystywała przeciw komunistom pierwsza Solidarność. Czy Polska, żeby przetrwać jako państwo, i Polacy jako naród nie potrzebują dziś nowej Solidarności?

Jedno jest pewne: Donald Tusk zabiera nam państwo. To, co wyprawiają Tusk i Adam Bodnar w wymiarze sprawiedliwości, jest największym zagrożeniem dla porządku społecznego i gospodarczego w historii III RP. Rozmawiałem ostatnio z doradcami restrukturyzacyjnymi, opisywali mi, jak wielkim problemem jest dziś podważanie wyroków sądowych i statusu sędziów w postępowaniach restrukturyzacyjnych, czyli np. w sytuacjach, gdy osoba fizyczna czy jakaś firma próbują wyjść z długów, ogłosić upadłość czy ułożyć się z wierzycielami,

FOT. CIECZKORZ KSEL/REPORTER

■ to te wszystkie postępowania są podważane ze względu na wojenkę, którą ekipa Tuska prowadzi z ponad 3 tys. sędziów powołanych po 2017 r. Ta wojenka to w istocie zamach stanu. Bo jak inaczej nazwać wykorzystywanie siły politycznej do podważania porządku prawnego wynikającego z konstytucji? Przecież konstytucja mówi wprost, że nie ma możliwości podważania statusu sędziego; każdy, kto ten status podważa, popełnia przestępstwo. Skutki tych działań nie dotyczą tylko polityków, niestety dotyczą one zwykłych obywateli, którzy idą do sądów po sprawiedliwość, a zderzają się z sytuacją, w której każdy wyrok może zostać podważony, bo wydał go „niewłaściwy” sędzia. To odbiera ludziom poczucie pewności prawa. Co to oznacza dla polskiej prawicy? To przede wszystkim wielkie wyzwanie. Musimy mieć, jak pokazał to zespół prezydenta Trumpa, pozytywny plan rządzenia. Nie chcę prawicy, która boi się wypowiedzieć konwencji stambulskiej z otwartą liczbą płci, nie chcę prawicy, która podpisuje Zielony Ład czy zgadza się na pozbawianie Polski suwerenności energetycznej, likwidując kopalnie i bojąc się zbudować Elektrownię Ostrołęka na węgiel.

To znaczy, że nie chce pan prawicy w wersji, której symbolem był premier Morawiecki i jego rząd.

Z premierem Mateuszem Morawickim straciliśmy władzę, a powinniśmy mieć ponad 40 proc. poparcia. To jest fakt. Kiedy mówiłem „weto albo śmierć”, kiedy rekomendowałem weto dla Zielonego Ładu, centralizacji władzy przez Komisję Europejską czy mechanizmu tzw. KPO, kiedy przestrzegaliśmy ze Zbigniewem Ziobrą przed mechanizmem „rule of law”, będącym w istocie narzędziem szantażu Polski przez eurokratów, a właściwie przez dominujące w Unii Niemcy, nie posłuchano nas. Chcę mieć premiera, który twardo broni polskiego interesu, jest asertywny i ma siłę cofnąć wszystkie decyzje rządu Tuska. Premiera, który doprowadzi do przywrócenia realnej praworządności zarówno w Unii, jak i w Polsce, który przywróci sterowność polskiemu państwu.

Widzi pan w PiS polityka o tak silnej sprawczości?

Politykami, którzy dziś doskonale wyczuwają nastroje i pracują ile sił nad wzmocnieniem siły naszego państwa, są na pewno przewodniczący naszego klubu parlamentarnego Mariusz Błaszczak i Przemysław Czarnek, którzy harują każdego dnia, żeby Karol Nawrocki został prezydentem. PiS potrzebuje dziś sprawczości. Dzisiejszy wyborca prawicy często oddaje głos na Konfederację, bo widzi tam zapowiedź sprawczości. I świeżość w walce o polskie sprawy. Jestem pod wielkim wrażeniem pracowitości szefa klubu parlamentarnego Konfederacji Grzegorza Płaczka. A warto pamiętać, że nie byłoby dziś paraliżującego wymiaru sprawiedliwości konfliktu, gdyby nie zła decyzja Andrzeja Dudy w 2017 r., gdyby wtedy nie było jego weta do reformy

sprawiedliwości z buntowników, którzy beczelnie łamią konstytucję.

Wydzie pan na jakobina, a w PiS pewnie znów znajdą się politycy, którzy będą chcieli negocjować...

Chcę jasno powiedzieć wszystkim sędziom, którzy zastanawiają się dziś, czy podważyć status swoich kolegów. Musicie mieć świadomość, że jak wrócimy do władzy, przestaniecie być sędziami. Bez żadnych przywilejów emerytalnych.

Być może sposobem na osuszenie tego bagna byłby wybór sędziów przez obywateli. Są kraje, w których to działa. Pozbylibyśmy się raz na zawsze partyjnych nominatów w wymiarze sprawiedliwości. Niech sami obywatele zdecydują, kto jest godny być sędzią.

Oni mają świadomość, że popełniają przestępstwa, za które grożą im odpowiedzialność karna i więzienie. Pytaniem nie jest czy, lecz kiedy to wszystko zostanie rozliczone

wymiaru sprawiedliwości. Andrzej Duda ponosi odpowiedzialność za zatrzymanie reformy wymiaru sprawiedliwości, a ci, których wtedy chciał uchronić, najbardziej brutalnie prezydenta atakują. Dziś nie ma już czego reformować. Trzeba wymiar sprawiedliwości radykalnymi działaniami postawić na nowo, wyrzucając poza jego nawias wszystkich tych, którzy podważali konstytucję.

Mam wrażenie, że pana głos jest odosobniony w PiS. W partii nie widać głębszej refleksji po przegranych wyborach parlamentarnych w 2023 r. Czy nie jest tak, że PiS chce wrócić do władzy, bo uważa, że mu się to należy i już?

Mój głos był rzeczywiście odosobniony w latach 2019, 2020 czy 2021, kiedy przestrzegałem przed rzeczami, o których mówiłem wcześniej. Ale mnie nie słuchano. Dziś jest inaczej. Działania w obszarze wymiaru sprawiedliwości czy relacji z Unią Europejską trzeba podjąć w pierwszym miesiącu po odzyskaniu rządów przez prawicę. Każdy sędzia, który podważył status innego sędziego, powinien mieć wytoczone postępowanie dyscyplinarne i być zdjęty z urzędu. W inny sposób nie jesteśmy w stanie oczyścić wymiaru

Trzeba być realistą. Musimy pamiętać, że cały system państwa musi dobrze funkcjonować. Spójrzmy na patologiczną sytuację, którą mamy w samorządach. Nieudacznicy z Platformy Obywatelskiej, którzy rządzą największymi polskimi miastami, prowadzą politykę wbrew interesom polskiego państwa, budując udzielne księstwa PO, w których „przepalają” co roku miliardy złotych, źle zarządzając podległymi sobie spółkami czy finansując jakieś lewicowe inicjatywy. Marzy mi się sytuacja, w której PiS i Konfederacja mają konstytucyjną większość, co pozwoliłoby gruntownie naprawić polską konstytucję. Popieram także ideę prawniczego paktu senackiego w wyborach do Senatu między PiS a Konfederacją.

Nie sądzi pan, że po 35 latach III RP system polityczny trzeba zmienić od podstaw?

Jestem zwolennikiem silnej władzy wykonawczej i budowy IV RP. Nowego państwa.

Czyli silnego, a nie malowanego prezydenta?

Opowiadam się za modelem silnej władzy wykonawczej opartej na silnym premierze.

To po co nam prezydent?

To oczywiście dyskusja dla konstytucjonalistów. Urząd prezydencki w Polsce jest silnie wpisany w naszą polityczną tradycję. Ale oczywiście możemy przeprowadzić na prawicy taką dyskusję, żeby odblokować możliwości rozwojowe naszego państwa. Dlaczego dziś wielu młodych ludzi, 20- i 30-latków, chce głosować na Konfederację?

Wejdę w słowo i odpowiem panu w imieniu swoich dwóch synów, którzy są w tym wieku. Ano dlatego, że kontestują system, który zaprojektowano w Magdalence. Ich zdaniem państwo trzeba zbudować na nowo, a Konfederacja daje nadzieję, a przynajmniej złudzenie, że to jest możliwe.

Bo to rzeczywiście jest możliwe. Polskę można uzdrowić. Dlatego Sławomir Mentzen mówi o prostych, niskich podatkach. Ustawy podatkowe liczą setki stron, których nawet profesorowie, prawnicy czy doradcy podatkowi nie rozumieją i kłócą się o właściwą interpretację. System podatkowy może i powinien być prosty po to, by nie podcinać skrzydeł młodemu pokoleniu, które chce budować siłę polskiej gospodarki poprzez swoje mikroprzedsiębiorstwa. To jest możliwe. Dlatego wielu młodych ludzi kibicuje Mentzenowi, bo wyczuwa w jego przekazie szczerą emocję, z którą się utożsamia. W Polsce może być naprawdę inaczej. Każdą instytucję można przemyśleć, czy jest nam potrzebna. To, że była potrzebna 10 czy 20 lat temu, nie oznacza, że potrzebujemy jej dzisiaj. Moim zdaniem Mentzen byłby bardzo dobrym ministrem finansów, który mógłby liczyć na wsparcie prezydenta Karola Nawrockiego w całkowitej przebudowie systemu podatkowego.

To truizm powtarzany od lat, ale żeby choć w części uwolnić możliwości rozwojowe, które w Polsce są, trzeba pozbyć się ogromnego nawisu biurokracji i przeregulowań. Dlaczego idzie nam to jak po grudzie?

Jestem zwolennikiem totalnej debiurokratyzacji polskiego państwa. Pracowałem w różnych ministerstwach, nie brakuje w nich świetnych urzędników, ale jednocześnie doskonale wiem, jak dużo jest w nich zablokowanych możliwości, pustego przekładania papierów. Polskie państwo musi być tanie, ale sprawne i sprawcze, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, obronność czy sądow-

nictwo. Musimy postawić na sztuczną inteligencję, informatyzację wszystkiego, co się da. Maksymalne uproszczenie procedur. Wyrzucenie do kosza setek ustaw, które są kompletnie niepotrzebne.

Mam wrażenie, że Karol Nawrocki za mało mówi o potrzebie wielkiej reformy państwa w tej kampanii. Jest za grzeczny. Jakby chciał wszystkim się podobać...

Karol Nawrocki ma realne szanse, żeby zostać prezydentem. Tak jak dokładnie powiedziałem rok temu jako pierwszy polityk Prawa i Sprawiedliwości, że warunkiem zwycięstwa kandydata PiS w wyborach prezydenckich będzie silny kandydat Konfederacji Sławomir Mentzen. Wielu pukało się na to w czoło. Mówiłem tak dlatego, że Mentzen trafia do tych wyborców, do których PiS nie trafia. Chodzi o mieszkańców dużych miast czy tych, o których pan wspominał, ludzi kontestujących system. Ludzi, którzy kontestują go dlatego, że odcina ich od szans rozwojowych. PiS musi działać jak Telewizja Republika, która w ciągu roku stała się największą telewizją informacyjną w Polsce. Szacunek dla Tomasza Sakiewicza i Michała Rachonia za budowę telewizji, która przebiła się przez mainstreamowy monopol. Taki musi być PiS. Musi przeprosić się z błędami i ruszyć ostro do przodu z propozycją odważnej agendy budowy IV RP. Potrzeba nam asertywnej polityki wobec Unii Europejskiej. Nie może być tak, żeby Polska w kluczowych dla siebie sprawach nie była w stanie budować sojuszy na Radzie Europejskiej.

Jednak taką rolę może odgrywać państwo sprawcze, a nie takie, które abdykuje ze swojej suwerenności, np. poprzez zdradziecką rezygnację z bezpieczeństwa energetycznego, zamykając potulnie elektrownie i kopalnie na polecenie z Brukseli.

Zamykanie elektrowni i kopalni jest zdradą interesów państwa polskiego. To hańba, że Niemcy i Komisja Europejska wymyślili sobie, iż Polska musi mieć najdroższą energię w Europie, żeby poprawić swoją konkurencyjność wobec Polski, a polscy politycy to przyklepalą.

Przyklepalą to również politycy PiS...

To prawda, z którą musimy się zmierzyć. Nie wszystkim w Prawie i Sprawiedliwości to się podoba. Chcę jasno powiedzieć – powrót PiS do poparcia na poziomie 40 proc.

jest możliwy, ale pod jednym warunkiem: że się rozliczymy z naszych błędów i zaproponujemy odważną wizję IV RP, nowoczesnego, silnego państwa z ambicjami. A ci, którzy te błędy popełniali, muszą usiąść na ławce rezerwowych i schować swoje osobiste ambicje, bo tu o Polskę chodzi przecież. Karol Nawrocki daje na to dużą szansę. Mówi twarde „nie” dla Zielonego Ładu, dla umowy Mercosur, „nie” dla lewicowej agendy, tak jak konwencja stambulska, której prawica nie potrafiła przez osiem lat rządów wypowiedzieć. Myślę, że każdy polityk PiS powinien przeczytać książkę Jana Pospieszalskiego „Warto grać czysto”. To pouczająca lektura dla każdego konserwatysty o zmarnowanych szansach lat 2015–2023. A wracając do pana wcześniejszego pytania dotyczącego tematów w kampanii Karola Nawrockiego... Jestem przekonany, że wybrzmi w niej bardzo mocno postulat niskich podatków i sprawnego, silnego państwa, które stoi po stronie obywateli, a nie różnych grup interesów, co pozwoli mu wygrać wybory dzięki przyciągnięciu elektoratu Konfederacji w drugiej turze.

Ten scenariusz może być obciążony istotnym ryzykiem. Siły, które są zainteresowane utrzymaniem chaosu w Polsce, słabością naszego państwa, mogą podjąć próbę unieważnienia wyborów, jeśli Rafał Trzaskowski je przegra.

To ryzyko rzeczywiście istnieje, zgodnie z mottem Donalda Tuska i Adama Bodnara: „Raz zdobytej władzy nie oddamy”. Oni mają świadomość, że popełniają przestępstwa, za które grożą im odpowiedzialność karna i więzienie. Pytaniem nie jest czy, lecz kiedy to wszystko zostanie rozliczone. W tym sensie mój pomysł strajku generalnego, czyli narodowego buntu przeciwko bezprawiu koalicji 13 grudnia, może i powinien być straszaikiem dla tych wszystkich, którzy chcieliby wprowadzić wariant rumuński w Polsce. Dlatego przekonuję władze Prawa i Sprawiedliwości, że na każde uderzenie ze strony obecnej władzy oddać musimy dwa razy. Tu trzeba twardej gry. Filmikami na platformie X Polski nie odzyskamy. Dlatego jestem zwolennikiem złożenia do Trybunału Konstytucyjnego wniosku o delegalizację partii Tuska i Trzaskowskiego. A potem hurtowo postawieniem ekipy Tuska przed Trybunałem Stanu.

Ofiara staje się katem



Fragment pomnika Tragedii Górnoszląskiej, Bytom-Miechowice

FOT. K. ŁOJKO/IPN



Andrzej Krzystyniak

Zamiast uczciwego i rzetelnego przebadania powojennego czasu na Śląsku dostajemy chaos informacyjny. Naród ofiar drugiej wojny światowej staje się narodem katów – dodajmy, że za sprawą swoich powojennych komunistycznych oprawców. A wszystko to przy wsparciu państwa polskiego od wielu już lat

Coroczne obchody rocznicowe wkroczenia w styczniu 1945 r. Armii Czerwonej na obszar Górnego Śląska stały się dla środowisk „regionalistów” okazją do oskarżania Polski i Polaków o represjonowanie Ślązaków, dokonywanie wręcz czystek etnicznych oraz – a może przede wszystkim – o zamykanie mniejszości etnicznych w „polskich obozach koncentracyjnych”. Dla każdego, kto obserwuje od kilku lat obchody tragedii górnośląskiej, bo tak nazwano czas po wkroczeniu na Górną Śląsk Sowietów, nasuwa się jeden wniosek: bezradność państwa polskiego w każdym wręcz aspekcie, pamięci historycznej, rzetelnych i spójnych badań oraz rzucanych wobec Polski oskarżeń.

Wkroczenie na obszar Śląska Armii Czerwonej jest niewątpliwie czasem olbrzymiego dramatu dla miejscowej ludności: rabunki, gwałty, morderstwa, deportacje tysięcy osób do niewolniczej pracy w głąb Związku Sowieckiego, osób, których jedyną winą było to, że jako np. górnicy byli potrzebni Sowietom jako darmowa siła robocza w ich przemyśle wydobywczym.

Niewątpliwa tragedia, która spotkała często niewinnych ludzi, tkwi do dziś jako przerażający ślad pamięci wielu śląskich rodzin. Jednak zamiast uczciwego i rzetelnego przebadania powojennego czasu na Śląsku dostajemy chaos informacyjny. Z jednej strony wiadomość o wyjątkowym złym traktowaniu

Śląska, ale nie całego, tylko tej części po niemieckiej stronie przedwojennej granicy. Taką informację możemy przeczytać w publikacjach Katowickiego Oddziału Instytutu Pamięi Narodowej. Z kolei centrala IPN w Warszawie określa wkroczenie Armii Czerwonej na obszar przedwojennej II Rzeczypospolitej całościowo, jako niesłychane barbarzyństwo, co jest oczywiście prawdą. Tylko czy akurat Górny Śląsk po niemieckiej stronie granicy był potraktowany przez Sowietów z „gorszym” barbarzyństwem?

Najciekawsze w obchodach są jednak oskarżenia rzucane względem Polski przez środowiska „regionalistów”, którzy uparcie oskarżają Polskę o represjonowanie Ślązaków, zamykanie ich z powodów narodowościowych w obozach koncentracyjnych, wręcz unicestwianie. Takim sztandarowym przykładem jest ich zdaniem, założony po wojnie przez komunistyczne władze, obóz Zgoda w Świętochłowicach, nazwany tak od nazwy dzielnicy. To tam Polacy mieli ze szczególnym okrucieństwem znęcać się nad niewinnymi osobami, których jedyną winą było to, że byli lub czuli się Ślązakami czy też Górnoślązakami.

W tegorocznej dyskusji nad powojennym czasem pojawił się nawet w jednym z regionalnych dzienników wątek przeprosin, które należą się Ślązakom ze strony państwa polskiego. Przy czym państwo polskie powinno przeprosić za funkcjonariuszy „polskiego” Urzędu Bezpieczeństwa. Byłoby to zgodne z innym hasłem, które pojawia się, dosłownie i w przenośni, na sztandarach „regionalistów”: „Dla jednych wyzwolenie, dla innych niewola”. Co oczywiście ma świadczyć, że Polacy po 1945 r. dostąpili wyzwolenia z rąk Armii Czerwonej, dla Ślązaków zaś rozpoczął się okres okupacji. Czasami można odnieść wrażenie, że autorzy hasła uważają, iż zniewolenie Śląska przez Polskę trwa do dziś. Oczywiście na nic zdadzą się jakiegokolwiek tłumaczenia, że dla Polaków wkroczenie Armii Czerwonej nie było czasem wyzwolenia, ale początkiem wręcz nowej okupacji, że terror ze strony sowieckich i „polskich” organów bezpieczeństwa był względem polskiego społeczeństwa momentami przewyższający okupacyjny terror niemiecki. Warto przypomnieć,

że już w połowie 1945 r. na ziemiach „wyzwolonej i suwerennej” Polski stacjonowało 15 pułków Wojsk Wewnętrznych NKWD, liczących ok. 40 tys. żołnierzy, co stanowiło ponad 40 proc. wszystkich sił NKWD obecnych w Europie Środkowej. Dla porównania: na obszarze wschodnich Niemiec (sowieckiej strefie okupacyjnej) przebywało 10 pułków NKWD. Dodajmy, że wspomniani „polscy” funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa byli ściśle podporządkowani, kontrolowani i dowodzeni przez sowieckie organy bezpieczeństwa. Stanowili, bez wątpienia, narzędzie brutalnego terroru i zastraszania polskiego społeczeństwa po drugiej wojnie światowej.

Rotmistrz Witold Pilecki, który przeżył pobyt w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz, aresztowa-

chłowickiej Zgody od dwóch głównych mówców – przewodniczącego Ruchu Autonomii Śląska Jerzego Gorzelika i skrajnie lewicowego europosła, Łukasza Kohuta. Sojusz tych dwóch postaci pod wieloma względami traci egzotykę.

Warto odnotować, że w tym roku udział w oficjalnych uroczystościach tragedii górnośląskiej wziął udział konsul generalny Niemiec, Martin Kremer, który w oficjalnym przemówieniu dostrzegł w tragedii górnośląskiej ofiary „nienawiści i nacjonalizmu” wśród Ślązaków, Polaków i Niemców: „Razem z polskimi władzami państwowymi i regionalnymi oddaję dzisiaj w Świętochłowicach i Bytomiu głęboki hołd ofiarom tragedii górnośląskiej. Ogromne cierpienia, które spotkały wówczas mieszkanki i mieszkańców Górnego Śląska i Opol-

Konsul generalny Niemiec w tragedii górnośląskiej dostrzegł ofiary „nienawiści i nacjonalizmu” wśród Ślązaków, Polaków i Niemców

ny po „wyzwoleniu” przez „polskie” UB podczas widzeń ze swoją żoną, opisywał pobyt w kazamatach Urzędu Bezpieczeństwa jako najgorsze piekło, które przeżył w swoim życiu. Pilecki i wiele setek polskich patriotów było więzionych, torturowanych i mordowanych przez „polskie” UB, za które domagają się dziś przeprosin od państwa polskiego „regionalści” i służalcze wobec nich tytuły prasowe. Jeśli polskie władze, co niewykluczone, zdecydują się przeprosić Ślązaków za represje popełnione przez „polskie” UB, to najodpowiedniejszym dniem mógłby być 25 maja, symboliczna data zamordowania Witolda Pileckiego przez „polskich” komunistów.

Czemu mają służyć oskarżenia Polski i Polaków o zakładanie obozów koncentracyjnych po 1945 r. oraz wysiedlenia mniejszości narodowych, represje i brutalny terror? Oskarżenia, że zamykano „Górnoślązaków w obozach koncentracyjnych” tylko dlatego, że „byli Górnoślązakami”, a rachunki krzywd może „wyrównać” tylko uznanie języka śląskiego językiem regionalnym i mniejszości etnicznej Ślązaków przez państwo polskie. Takie słowa, jak zresztą co roku, można było usłyszeć pod bramą święto-

szczyzny – Ślązaków, Polaków i Niemców – to dzisiaj wezwanie do pamięci o tamtych trudnych czasach i przestroga przed nacjonalizmem i nienawiścią”. Myślę, że wielu regionalistów ucieszyłoby, skądinąd wcale tego nie kryją, jeśli okaże się, że tragedia górnośląska była efektem polskiego nacjonalizmu i nienawiści etnicznej, której, dodajmy, emanacją byli wspomniani funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa.

Domagający się przeprosin od państwa polskiego nie żądają ich od państwa, które przyniosło ich zdaniem Śląskowi „zniewolenie”, Polsce zaś „wyzwolenie”, obarczając o wszystkie winy Polaków. Prózne tłumaczenie, że Polakom komunizm został narzucony przemocą, nie mogą zatem odpowiadać za komunistyczne zbrodnie, bo sami byli ich ofiarami. Brutalność Armii Czerwonej zaś była odczuwalna na całym obszarze Polski, także – jak to publikuje zgodnie z prawdą na swej stronie internetowej IPN (centrala) – „praktycznie każdy region Polski po wkroczeniu Armii Czerwonej był naznaczony zbrodniami”. Jaki zatem jest cel w upamiętnianiu ofiar, w którym to w roli oprawców obsadzono Polaków?



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyńska

Jawny wróg PiS i zwolennik ideologii ośmiu gwiazdek. Wojciech Czuchnowski z „Gazety Wyborczej” przekracza kolejne granice dziennikarskiego dobrego smaku

Legitymacja poselska nie sprawia, że hejter przestaje być hejterem, przestępca przestępca, a cham chmem. Immunitet nie daje gwarancji bezkarności – grzmiał Czuchnowski po tym, jak w Sejmie zaatakował fizycznie posła PiS Dariusza Mateckiego. Do incydentu doszło, gdy polityczno-medialne emocje sięgały zenitu – po doprowadzeniu Zbigniewa Ziobry na posiedzenie sejmowej komisji śledczej do spraw Pegasus, ta niespodziewanie zamknęła obrady, składając jednocześnie wniosek o 30-dniowy areszt dla byłego ministra sprawiedliwości.

Wojciech Czuchnowski najpierw pojawił się w siedzibie Telewizji Republika, gdzie przed zatrzymaniem Ziobro udzielił wywiadu. Następnie pracownik „Wyborczej” udał się do Sejmu i tam wdał się w pyskówkę z Mateckim. W pewnym momencie dziennikarz wytrącił ręką telefon z dłoni posła. Nazwał go też „złodziejem”. „W przyszłym tygodniu do sądu trafi prywatny akt oskarżenia przeciwko Czuchnowskiemu i zawiadomienie do prokuratury. To jest zachowanie akredytowanego dziennikarza na terenie Sejmu wobec posła opozycji. Dopiero co wpłynęło kilka tysięcy złotych od »Gazety Wyborczej« za poprzedni przegrany przez ich dziennikarza proces” – napisał w sieci Dariusz Matecki.

Jednak przedstawiciel gazety Adama Michnika nie ma sobie wiele do zarzucenia. „Matecki jest zawodowym hejterem, znanym z prowokowania ludzi i wykorzystującym media społecznościowe do siania nienawiści oraz kłamstw. Niestety od 13 listopada 2023 r. jest posłem [...]. Mandat wykorzystuje do tego, co potrafi robić najlepiej: szcuć i obrażać” – stwierdza. Dalej przekonuje, że nie zaatakował posła, ale „co najwyżej



Atak Wojciecha Czuchnowskiego na posła Dariusza Mateckiego w Sejmie
FOT. TOMASZ JĘDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA/FORUM

jego telefon”. Czuchnowski niczego nie żałuje. Wręcz przeciwnie – jest dumny, że powiedział posłowi Mateckiemu „kilka słów, które dawno powinien usłyszeć”.

Zachowanie Czuchnowskiego, związanego z „Wyborczą” od 2002 r., podzieliło opinię publiczną. Dla jednych to zwykłe chuligaństwo i nieakceptowalna agresja, dla innych – konieczny gest sprzeciwu wobec PiS. Jeden z komentujących porównał postawę dziennikarza do... Jezusa wyrzucającego kupców ze świątyni: „Jezus potrafił się wściec. Zdemolował całe targowisko, lał ludzi pejcem. Bywają takie sytuacje, że i święty traci cierpliwość”. W czwartek marszałek Sejmu Szymon

Hołownia poinformował, że prezydium Sejmu zdecydowało o dwumiesięcznym zawieszeniu przepustki Czuchnowskiego.

MAŁŻEŃSTWO OŚMIU GWIAZDEK

Zwolennicy radykalizmu Wojciecha Czuchnowskiego potrafią wytłumaczyć jego każde, nawet najmniej eleganckie zachowanie. Często wtedy są używane karta opozycyjna (w latach 80. Czuchnowski był związany z podziemiem, pracował w krakowskich wydawnictwach niezależnych) oraz argument, że dziennikarz dzielnie zwalcza PiS-owców, więc może więcej. Nimałe kontrowersje wywołała ślubna dekoracja, którą pochwalił się pracownik

„Wyborczej”. W lipcu 2023 r. poślubił Magdalенę Fitas, była żoną gen. Marka Dukaczewskiego. Małżonkowie „ustroili” salę weselną chorągiewkami z napisem „Konstytucja”, tęczowymi flagami oraz... symbolami ośmiu gwiazdek.

Para odpowiedziała na falę krytyki, wskazując, że w ważnych życiowych momentach „trzeba pokazać wyznawane wartości”. „To nie był żart, to nie była też demonstracja politycznego fanatyzmu. Są chwile, gdy właśnie w ważnych życiowych momentach można – i nawet trzeba – pokazać wyznawane wartości. Dzieje się tak, gdy te wartości są zagrożone i gdy polityka brutalnie wkracza w codzienne życie. Po upadku powstania styczniowego Polacy nosili (również na weselach) żałobne stroje i czarną biżuterię. W stanie wojennym w klapach marynarek, również ślubnych, pojawiały się oporniki. Dziś też nie żyjemy w próżni...” – podkreślali Czuchnowscy.

Tłumaczyli, że hasła umieszczone nad stołami weselnymi „miały swój sens i uzasadnienie”. „Konstytucja” to odwołanie do tego, że PiS w czasie rządów „podważał zapisane w konstytucji zasady państwa prawa”. Z kolei flagi tęczowe stanowiły wsparcie dla bliskich małżonkom ludzi, którzy mieli być prześladowani przez poprzednią władzę. A osiem gwiazdek, czyli wulgarne hasło „je...ć PiS”? „Te niewinne 8 gwiazdek są niczym wobec zalewu obrzydlistwa, jakiego doświadczyliśmy razem z naszymi rodzinami” – wskazali. I znowu, jak w przypadku ataku na Mateckiego, byli tacy, dla których celebrowanie zawarcia małżeństwa w otoczeniu przekazu niosącego polityczną agresję nie było niczym niewłaściwym.

DEMONSTRACYJNE GESTY

Wojciech Czuchnowski przyzwycał do kontrowersji, które często mają niewiele wspólnego z zasadą obiektywizmu dziennikarskiego. W kwietniu 2018 r. został zaprezentowany raport techniczny podkomisji kierowanej przez Antoniego Macierewicza, badającej katastrofę smoleńską. Według wprowadzenia do raportu Tu-154M uległ destrukcji w powietrzu w wyniku eksplozji. Wskazano, że katastrofa była efektem wielu świadomych działań, w których swój udział miała rządząca Polską w 2010 r. ekipa. Po prezentacji nadszedł czas na pytania od

dziennikarzy. Wtedy głos zabrał dziennikarz „Gazety Wyborczej”. Czuchnowski nie zadał jednak pytania, ale wygłosił tyradę pod adresem przewodniczącego komisji. – Panie Antoni Macierewicz, jest pan kłamcą i przestępcą. Za swoje zachowanie odpowie pan przed sądem w wolnej Polsce. Zadawanie panu pytań nie ma żadnego sensu – powiedział Czuchnowski.

Po tych słowach, jak donosiły media, szybko opuścił salę. I tak jak przy okazji ataku na posła Mateckiego wiele lat później dziennikarz wydał oświadczenie. Kolejny raz próbował mienić się obrońcą „pokrzywdzonych przez PiS”, co miało usprawiedliwić sprzeczne z etyką dziennikarską zachowanie. „Nie uzgodniłem tego z redakcją. Wystąpiłem w imieniu tych, których Macierewicz i PiS niszczy i poniżają. W imieniu urzędników, ekspertów od lotnictwa i oficerów Wojska Polskiego, którzy katastrofę smoleńską rzetelnie

Wojciech Czuchnowski przyzwycał do kontrowersji, które często mają niewiele wspólnego z zasadą obiektywizmu dziennikarskiego

i odpowiedzialnie badali” – przekazał Wojciech Czuchnowski.

Przyznał, że wyszedł z roli dziennikarza, co nie było łatwe, ale potrzebne. „Usłyszałem kolejne kłamstwa o wybuchach i brednie o tym, że samolot mógł lecieć bez lewego skrzydła” – tłumaczył Czuchnowski, dodając, że nie wytrzymał m.in. po tym, jak Antoni Macierewicz poinformował, iż unieważniono raport komisji Millera. „Uznałem, że trzeba kiedyś przerwać ten straszny teatr. I w oczy powiedzieć kłamcy, kim jest” – podsumował z wyższością.

Trzeba przyznać, że Wojciech Czuchnowski jest mistrzem mocnych i demonstracyjnych gestów. Głośnym echem odbiło się jego opuszczenie studia TVP Info na początku 2016 r. Miał być jednym z gości w programie na temat katastrofy smoleńskiej, jednak chwilę po rozpoczęciu audycji wygłosił własne oświadczenie. – Szkoda, że nie mogę brać udziału

w tej dyskusji, ale w ostatnich tygodniach rządząca w Polsce partia przejęła media publiczne i przeprowadziła brutalną czystkę w radiu i w telewizji – powiedział na antenie TVP Czuchnowski. – Z telewizji, gdzie teraz jesteśmy, z powodu fałszywych oskarżeń o stronniczość musiało odejść kilkadziesiąt osób. Wśród nich ludzie, których znałem i ceniłem za profesjonalizm i obiektywizm: Justyna Dobrosz, Adam Feder, Piotr Kraśko, Jarosław Kulczycki, Karolina Lewicka, Hanna Lis, Piotr Maślak, Jacek Tacik, Beata Tadla, Jan Ordyński, Joanna Osińska – wliczał w geście solidarności z kolegami po fachu. – Wielu z nich, tracąc pracę, zostało przez PiS z dnia na dzień pozbawionych środków do życia. Wyrzucali ich dziennikarscy komisarze polityczni obecnej władzy. Przyjąłem dziś zaproszenie TVP Info, bo chciałem przeciwko temu zaprotestować. Nie zgadzam się na niszczenie ludzi, łamanie wolności słowa i robienie z wolnych mediów propagandowej tuby władzy. Nie mogę obecnością w studiu firmować haniebných praktyk. Dlatego dziękuję za zaproszenie – i do zobaczenia wkrótce w demokratycznej Polsce – oznajmił, po czym opuścił studio.

NAJWIĘKSZY FAN SVOJEJ GAZETY

Dziś, gdy „pisowską TVP” zastąpiła „czysta woda” czy – jak mówią złośliwi „neo-TVP” – Czuchnowski znowu bywa jej gościem. Czy dziennikarz protestował, gdy w grudniu 2023 r. za zgodą Bartłomieja Sienkiewicza siłowo przejmowano media publiczne? Podobnych jak w 2016 r. manifestów nie znajdziemy. Przedstawiciel „Wyborczej” próbował się za to dostać do budynku TVP przy ul. Woronicza, przepychając się z ochroniarzami. „Uważam, że dziennikarz może odłożyć legitymację i występować jako obywatel” – stwierdził w wywiadzie dla „Press”, deklarując, że nie ma zamiaru odchodzić z zawodu.

„Dopóki mnie nie wyrzucą, dopóty nie odejdę. Nawet nie wiem, gdzie mógłbym pracować. Jestem absolutnym fanem tej gazety, uważam, że nie ma lepszej redakcji w Polsce, a zaliczyłem ich trochę. I nawet jeśli teraz znajdziemy się w trudnej sytuacji, to wierzę, że ostatecznie zostanie docenione, jak dużą wartością jest »Gazeta«”. Szkoda, że nie ma takiej drugiej w Polsce” – powiedział Wojciech Czuchnowski.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Jesteśmy u progu – a niektórzy twierdzą, że już w trakcie – kolejnej gigantycznej rewolucji technologicznej. Do gry wkraczają coraz bardziej doskonałe modele sztucznej inteligencji (ostatnio Chińczycy pokazali, że ich model przeskakuje wszystkie amerykańskie i zużywa do tego o wiele mniej mocy obliczeniowych procesorów).

To oznacza dla Polski spore wyzwania. Chcemy przestać być krajem, którego gospodarka oparta jest głównie na produkcji rolniczej oraz taniej sile roboczej. To ostatnie zresztą już przestaje być aktualne. Podnoszenie minimalnej płacy sprawia, że dla światowych korporacji nie jesteśmy już tak atrakcyjni jako prości pracownicy w fabrykach. Musimy zacząć zatem szukać swojej drogi na przyszłość. A już USA zaplanowały, że będziemy krajem drugorzędym, jeśli chodzi o dostawy chipów niezbędnych do rozwijania technologii związanych z AI.

Z tym wszystkim łączy się drugie wyzwanie, równie poważne. W świecie, w którym zaczną zalewać nas informacje generowane już przez komputery, a nie przez ludzi, i tak trudne do odróżnienia, umiejętność sprawnego rozumowania, czytania informacji, rozwiązywania problemów stanie się tym bardziej istotna. Inaczej mówiąc – lepiej przygotowani do oceny i rozumienia informacji obywatele to mniejsze niebezpieczeństwo, że da się nimi łatwo manipulować.

SYGNAŁ OSTRZEGAWCZY

W takim kontekście wyniki badania PIAAC 2023 (jego wyniki opublikowano dopiero pod koniec 2024 r.), które sprawdza kompetencje dorosłych – i którym objęto 31 krajów OECD – powinny być dla nas poważnym sygnałem ostrzegawczym. Dorośli Polacy zaliczyli bowiem gigantyczne spadki w wynikach. Najpoważniejsze są te w rozumowaniu matematycznym.

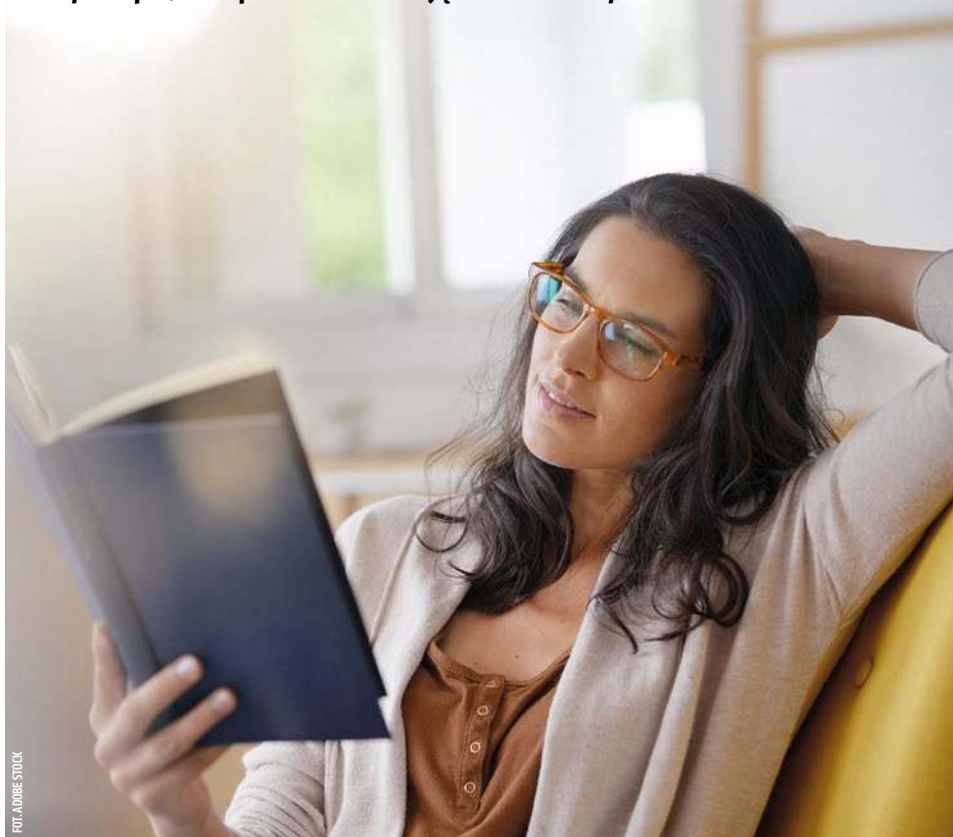
„Osoby o wysokich kompetencjach mogą znakomicie poradzić sobie w gospodarce, która w coraz większym stopniu wykorzystuje automatyzację powtarzalnych czynności i oparta jest na nowych narzędziach cyfrowych, w tym sztucznej inteligencji. Z drugiej strony brak podstawowych umiejętności mierzonych przez PIAAC to ryzyka w obszarze bezpieczeństwa, zdrowia,

Umysłowe tąpnięcie dorosłych Polaków



Łukasz Zboralski

Czytanie tekstów ze zrozumieniem i rozumowanie matematyczne sprawiają dorosłym Polakom coraz większy kłopot. Dekadę temu byli w tym lepsi, dziś poważnie odstają od wielu innych narodowości



FOT. ADAM STOLC

finansów, polityki publicznej czy każdej innej sferze, w której przetwarzane są informacje oparte na liczbach i słowach” – czytamy w raporcie Instytutu Badań Edukacyjnych.

Wyniki Polaków w PIAAC powinny być też argumentem w powracającej dyskusji o tym, czy matematyka powinna być w Polsce obowiązkowym przedmiotem egzaminów maturalnych. W styczniu psycholog Anna Drożdż uruchomiła elektroniczną petycję do MEN w sprawie zniesienia matury z matematyki. „Jako psycholog i matka uczennicy w szkole średniej jestem przekonana, że nie każdy uczeń posiada predyspozycję do nauki matematyki na poziomie maturalnym, a jej obligatoryjność powoduje stres i obciążenie psychiczne, które często wpływają negatywnie na zdrowie psychiczne młodzieży” – napisała w niej. Do tej pory petycję podpisało 19,5 tys. osób.

ROZUMOWANIE CORAZ TRUDNIEJSZE?

Jakie zadania dawano do rozwiązania respondentom w wieku 16–65 lat? Na przykład takie, w którym musieli określić, ile rolek tapety muszą kupić, by wystarczyło im na ściany, których wymiary zostały podane. To proste. Druga część zadania wymagała jednak więcej wysiłku. Trzeba było odnaleźć błędnie wpisaną szerokość lub długość rolki tapety, a to wymagało rozumienia różnych jednostek miary, przekładania informacji z diagramu na wartości liczbowe oraz umiejętności krytycznego myślenia przy weryfikacji wprowadzonych danych – czyli czegoś, co wykracza poza prostą kalkulację.

Po co dawać ludziom takie zadania? „Żyjemy w świecie, który szybko się zmienia, dlatego dorośli muszą być elastyczni i otwarci na nowe wyzwania. Ważniejsze niż dawniej stają się takie wyzwania, jak zmiana wymagań zawodowych w pracy czy konieczność zmiany zawodu oraz zmieniające się sposoby funkcjonowania w życiu osobistym i społecznym. Wymaga to stałego uczenia się nowych rzeczy i radzenia sobie z niepewnością” – piszą badacze w raporcie. – „Adaptacyjne rozwiązywanie problemów (adaptive problem solving, APS), które w tym raporcie określamy skrótowo rozwiązywa-

niem problemów, obejmuje »zdolność do osiągania własnych celów w dynamicznej sytuacji, w której metoda rozwiązania nie jest od razu dostępna«”.

No i wśród polskich dorosłych niestety nie jest z tym najlepiej. W badaniu PIAAC 2023 najwyższe średnie wyniki w rozumieniu tekstu uzyskali mieszkańcy Finlandii (296 pkt), Japonii (289), Szwecji (284) i Norwegii (281). Średnia OECD wyniosła 260 pkt.

Najlepsi w umiejętnościach matematycznych okazali się dorośli z tych samych krajów. Natomiast rozwiązywanie problemów najlepiej poszło w Finlandii i Japonii (276 pkt), a następnie Szwecji (273) i Norwegii (271).

We wszystkich tych trzech pomiarach różnych umiejętności dorośli Polacy uzyskiwali jedno z najgorszych wyników. Średni wynik Polaków w rozumieniu tekstu – 236, w rozumowaniu matematycznym – 239. W rozwiązywaniu problemów gorsi od Polaków okazali się jedynie mieszkańcy Chile. Nasz średni wynik to 226.

Trzeba też wiedzieć, co oznacza ten średni wynik. Na przykład w rozwiązywaniu problemów oznacza, że przeciętny dorosły Polak rozwiązuje tylko proste problemy. Takie, które zawierają niewielką liczbę elementów ważnych do rozwiązania i niewiele informacji rozpraszających. Radzi sobie więc jedynie z problemami, których kontekst zna, ma najwyżej dwa źródła informacji i cel rozwiązania jest jasny, pojedynczy.

„W Polsce niepokojąco dużo badanych znalazło się na najniższych poziomach. Aż 39 proc. badanych miało poważne trudności z rozumieniem tekstu, a 38 proc. miało najniższe wyniki w matematyce (poziom 1. lub niższy). Co 10. osoba (9 proc.) nie radziła sobie nawet z najprostszymi zadaniami w obu dziedzinach. Są to znacznie gorsze wyniki niż w sąsiadujących z nami krajami – czytamy w raporcie IBE. – W Niemczech wyniki poniżej 1. poziomu miało ok. 17 proc. osób w rozumieniu tekstu i 16 proc. w rozumowaniu matematycznym, a w Czechach odpowiednio 19 proc. i 18 proc. Z krajów naszego regionu najlepiej wypadła Estonia, gdzie tylko 8–9 proc. dorosłych miało najniższe wyniki w obu obszarach”.

Jeszcze gorzej Polacy wypadli w skali rozwiązywania problemów. Umiejętności na poziomie 1. lub niższym (sic!) miało

48 proc. A aż 8 proc. osób nie przekroczyło progu poziomu 1.

DLACZEGO SŁABO MYŚLIMY?

Porównując z wynikami poprzedniej edycji badania PIAAC z 2012 r., trzeba zauważyć, że Polska odnotowała jeden z największych spadków w wynikach. W rozumieniu tekstu Polacy spadli z umiejętnościami średnio o 31 pkt, a w rozumowaniu matematycznym o 21 pkt. Dlaczego?

– Pogorszenie umiejętności badanych przez PIAAC obserwujemy w wielu krajach. W niektórych krajach, i w tej grupie były Polska czy Korea, było ono większe niż w innych. Generalnie w naszym regionie te wyniki są niższe niż 10 lat temu – mówi Michał Sitek (Instytut Badań Edukacyjnych), odpowiadający za polską część badania. – Odpowiedź na to, dlaczego tak się stało, nie jest prosta. Z jednej strony trzeba podkreślić rolę motywacji. Widzieliśmy, że badani Polacy niechętnie rozwiązywali zadania, i to oczywiście też o czymś świadczy – że mają trudność z pracą z tekstami i zadaniami matematycznymi, że niechętnie podejmują takie wyzwania.

Zdaniem Siteka wpływ na umiejętności analizy tekstów czy rozumowania matematycznego dorosłych Polaków mają też rynek pracy i to, jak korzystamy z umiejętności. Na umiejętności wpływa nie tylko to, czy pracujemy czy nie, lecz także to, w jakim stopniu w życiu zawodowym wykorzystujemy umiejętności. Jeśli rzadziej, to umiejętności słabną i wpływa to na ogólne wyniki – dodaje.

Autor badania zauważa również, że było ono tak konstruowane, by lepiej odzwierciedlać problemy i sposoby z wykorzystaniem tekstu, które wiążą się z nowymi technologiami. W tej edycji badania ludzie musieli rozwiązywać zadania na tabletach, gdzie rysikiem np. zaznaczali fragmenty tekstów i łączyli informacje oraz używali prostych cyfrowych narzędzi matematycznych. Dla wielu Polaków mogło to stanowić barierę. – W pierwszej edycji PIAAC badani mogli sami decydować, czy rozwiązują zadania na komputerze czy na papierowych formularzach. I wielu rezygnowało z testów komputerowych. To oznacza, że poprawia się u nas poziom wykształcenia, ale wciąż trochę jest w Polsce słabiej z umiejętnościami cyfrowymi – wskazuje Sitek.



Z prof. Piotrem Glińskim, posłem PiS, byłym wicepremierem i byłym ministrem kultury i dziedzictwa narodowego rozmawia Radosław Wojtas



RADOSŁAW WOJTAS: Niedawno udostępnił pan na platformie X zdjęcie ze spotkania minister Hanny Wróblewskiej z delegacją ukraińską. Zwrócił pan uwagę na pewien detal – brak krzyża, który pojawił się w gabinecie ministra za pańskiej kadencji, a po którym dziś pozostał już tylko ślad na ścianie.

PROF. PIOTR GLIŃSKI: Ten krzyż – zresztą jak każdy polski krzyż – był nie tylko symbolem chrześcijaństwa, lecz także polskiego państwa i dziedzictwa kulturowego. Był to krucyfiks wykonany z czarnego dębu, który został wydobyty w czasie badań archeologicznych w Poznaniu, w miejscu, gdzie był gród, gdzie rodziło się państwo polskie. Dostałem go od abp. Stanisława Gądeckiego w trakcie obchodów uroczystości 1050-lecia Chrztu Polski. Bardzo charakterystyczny i symboliczny przedmiot, w ministerstwie znano jego historię.

Zaczynam od tego, bo wydaje mi się to emblematyczne w kontekście zmian w MKiDN. Powiesił pan krzyż nie tylko w gabinecie ministra, lecz także – symbolicznie – w kulturze, w działaniach ministerstwa. Teraz go zdjęto.

Chciałbym zwrócić uwagę na pewną zasadniczą różnicę pomiędzy nami a obecną władzą. Ja również zastałem w pałacu Potockich kilka symbolicznych przedmiotów. Jednym z nich był portret Kostki-Potockiego, pierwszego ministra kultury, który był masonem. Poseł Grzegorz Braun, który uwielbia takie historie, natychmiast zaczął ogłaszać, że minister kultury trzyma u siebie portret masona. Tylko że – po pierwsze – wolnomularstwo nie było wówczas tak jednoznaczne i agresywne w stosunku do chrześcijaństwa i Kościoła jak później, było natomiast mocno związane z polskim patriotyzmem. Po drugie – nie miałem w sobie poczucia cenzora, który będzie robił czystki po poprzednikach. Zatem tego portretu – przypominam: pierwszego polskiego „ministra kultury” – nie zdjąłem.

A nowi ministrowie kultury to cenzorzy?

Oczywiście. Od cenzury zaczęli. Proszę sobie przypomnieć, co zrobili w Zachęcie – po chamsku wyrzucili dyrektora, który kontynuował program poprzedniej dyrektorki, którym była zresztą obecna minister. Nie zdążył jeszcze na dobre wprowadzić własnego programu – choć

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

zorganizował kilka świetnych wystaw – gdy został zwolniony rzekomo za to, że go nie wprowadził. Wyrzucili Ignacego Czwartosa z Biennale w Wenecji. Świetny projekt, który był artystyczną wizją odnoszącą się do chyba najbardziej istotnego polskiego dylematu polityczno-tożsamościowo-historycznego: do naszego geopolitycznego położenia pomiędzy dwoma imperiami, które równocześnie stworzyły dwie najbardziej krwiożercze ideologie świata. Zamiast niego, wbrew werdyktowi konkursowego jury, wzięli jakąś grupę ukraińską, która zajęła drugie miejsce. To nie była

konieczny: „Jako matka boska jestem radosna / Lecz gdy się wkurzę to bójcie się chu.. / Spadajcie do zsypu, nie przyjdzie wiosna, / Najpierw was opluje, potem abortuje”.

Jaś Kapela jest jednym z symboli niekompetencji obecnego kierownictwa Ministerstwa Kultury, wynikającej m.in. z lewackiego zaślepienia. Obawiam się, że większość grantów kierowana jest dziś na cele bardzo wątpliwe z punktu widzenia dobra publicznego, związane z lewacką, neomarksistowską klientelą. Na sztandary wzięli hasło „Kultura łączy”. A czy coś takiego może łączyć społeczeństwo? Proszę sobie przypomnieć „czysz-

niezależnie od mojego światopoglądu było dla mnie akceptowalne. Podchodzę jednak sceptycznie do tezy, że wygłupy pana Kapeli przejawiają jakąkolwiek wartość. Natomiast nasza korekta polegała na tym, że na pewno starałem się wydobywać to, co przez lata było niedostrzegane i dyskryminowane, jak chociażby sztuka wspomnianego już Czwartosa. Którą notabene lewicowa prasa chwaliła, gdy artysta nie miał żadnego wsparcia państwa, a gdy tylko takie wsparcie otrzymał, to stał się dla nich wyłącznie „malarzem Żołnierzy Wyklętych”. Oni nie tyle przestawili waj-

Mordują prawie wszystkie nasze projekty

cenzura? I owszem, ja również miałem swoją wrażliwość, nie budowałem np. muzeum queer, co zrobił właśnie w Warszawie Trzaskowski (śmiech). Ale nie ma między nami symetrii: my prowadziliśmy normalny w demokracji aktywny mecenat państwa, oni wprowadzili prymitywny zamordyzm. Dopuszczałem różne pomysły. Zarówno jako minister kultury, jak i – wcześniej – jako profesor na uczelni.

Pomysły swoich studentów? Na przykład jakie?

Zajmowałem się m.in. socjologią kultury, doktoranci pisali u mnie prace o sztuce zaangażowanej społecznie, i to całkiem dobre.

Jaś Kapela, „pisarz, poeta, felietonista, aktywista”, uczestnik freak fightów, ogłosił, że został stypendystą ministra kultury i będzie przez rok otrzymywał 6 tys. zł brutto miesięcznie na „pisanie piosenek do musicalu o historii zakazu aborcji w Polsce”. Proszę wybaczyć, ale cytat jest tu chyba

czenie Zachęty”. Wydarzenie, sięgające po faszystowski język, które przedstawiano jako fajny happening, polegający na wypędzaniu „stęchłych poglądów, które zabrudziły gmach”. Coś niebywałego. Tym bardziej że uczestniczyli w tym czymś Sienkiewicz, Kowal, Wróblewska, a autorką cytowanych słów była Anda Rottenberg.

Może tak silne odchylenie wajchy w kulturze w lewą stronę jest efektem wcześniejszego, również zdecydowanego odchyłu w prawo? Może rewanżyzm wynika z wyraźnego przedstawiania akcentów za rządów PiS?

Jak powiedziałem, tu nie ma symetrii. U nas była demokratyczna korekta, czasami mocna, u nich ideologiczny, bezprawny, antydemokratyczny dyktat. Świadczy o tym chociażby to, że pani Wróblewska była dyrektorem Zachęty przez sześć lat naszych rządów. Mogła realizować projekty zgodne ze swoją wrażliwością. Jeśli coś było ciekawe, to

chę, ile przenieśli się do zupełnie innego obszaru, który moim zdaniem nie ma nic wspólnego ze sztuką czy z kulturą. Ma natomiast wiele wspólnego z kryzysem współczesnej kultury, która przekracza granice, niszczy tabu kulturowe, powoduje, że kultura przestaje być fascynująca, a staje się obszarem anihilacji wartości. Jeżeli ktoś uważa, że wszystko jest kulturą albo że niszczenie norm kulturowych, tabu kulturowego, w różnych wymiarach, jest czynnością kulturową, to jesteśmy w zupełnie różnych jakościowo obszarach. Do tego dochodzi cała ideologia zamordyzmu. Jeżeli nie akceptujesz tych wariacji, to nie masz prawa funkcjonować w życiu publicznym. Ja się na to nie godzę.

Na początku roku ministerstwo poinformowało, że Muzeum Narodowe w Warszawie kupiło nowy budynek. Jak pan ocenia tę decyzję?

To element większej całości. Mordują wszystkie nasze projekty, gdzie nie

została jeszcze wbita łopata. Myśmy rozbudowywali Muzeum Narodowe w Warszawie. Inwestycja była już po konkursie architektonicznym i po przetargu. W lutym 2024 r. na plac budowy miały wjechać koparki. W 2026 r. – gotowy budynek. Inwestycja, o której muzeum marzyło od lat. Prawie 10 tys. mkw. Magazyny, pracownie konserwatorskie. W połączeniu z przejmowaniem skrzydła od Muzeum Wojska Polskiego i z budowanym w Lesznowoli Panoptikum, czyli centralnym magazynem dla wszystkich muzeów w Polsce, idealne rozwiązanie dla Muzeum Narodowego (i wszystkich dzięki naszym decyzjom). A oni to

instytucją. Oni się z tego wszystkiego wycofali, pozostawiając – beczelnie – Muzeum Polskie, „na łodzie”

Ale to przecież nie koniec. Zamordowali budowę nowego gmachu Polskiej Opery Królewskiej. Ten projekt także był już po konkursie architektonicznym. Zamordowali – i tego mi chyba najbardziej żal – przygotowywany od trzech lat projekt budowy nowego kompleksu Muzeum Techniki i Muzeum Historii Naturalnej na działce za Stadionem Narodowym. Przecież to byłby hit muzealny na całą Europę! Genialne miejsce i instytucja, która by ściągała miliony zwiedzających. W Warszawie jest za

te przez nas Muzeum Powstania Wielkopolskiego w Poznaniu, Muzeum Sybiru w Białymstoku, muzea Kresów w Lublinie, Brzegu i Sejnach, Muzeum Żołnierzy Wyklętych w Ostrołęce, do Muzeum Historii Polski. Nie mieliśmy muzeum największej bitwy średniowiecza, bitwy pod Grunwaldem, nie mieliśmy muzeum kresów z prawdziwego zdarzenia. Teraz to wszystko mamy. Myślę o tym z dużą satysfakcją. Można być sprawczym w polityce! Widzę tu podobieństwo do polityki Donalda Trumpa (śmiech).

Do polityki Donalda Trumpa?

Tak – odważne, oczywiście, ale twarde decyzje i natychmiastowe przejście do działania. Zwiększyłem budżet o grubo ponad 100 proc. i te pieniądze były faktycznie inwestowane. Finanse niekiedy były zresztą mniejszym problemem niż przełamywanie barier biurokratyczno-świadomościowo-instytucjonalnych. Przekonywanie ludzi, że można!

Zamordowali – i tego mi chyba najbardziej żal – przygotowywany od trzech lat projekt budowy nowego kompleksu Muzeum Techniki i Muzeum Historii Naturalnej na działce za Stadionem Narodowym. Przecież to byłby hit muzealny na całą Europę!

wszystko wstrzymują, ignorują fakt, że wydano już sporo pieniędzy, i kupują za 40 mln trzy razy mniejszy (!) salon meblowy od prywatnej firmy. My chcielibyśmy rozbudowywać tu obok muzeum, a oni salon meblowy w Pyrach. I to dostępny nie od razu, bo pierwsza część obiektu ma być gotowa w 2026 r., a druga dopiero w 2028 r. I to po dodatkowych nakładach na modernizację. Mistrzowie!

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego wycofało się też ze współprowadzenia Muzeum Polskiego w Rapperswilu w zakupionym przez państwo polskie zabytkowym hotelu. Powód: „stojące aktualnie przed państwem polskim wyzwania wynikające z uwarunkowań finansowych i geopolitycznych”.

To charakterystyczna cecha ich pseudopolityki – minimalizm. Nie da się! Wycofanie się z tego ambitnego projektu to kolejny skandal. Z wielkim trudem, przełamując różne opory, zakupiliśmy historyczny budynek w prestiżowej lokalizacji, by ratować Muzeum Polskie. Znowelizowaliśmy też prawo, by można było tworzyć wspólne instytucje polonijne, finansowane z polskiego budżetu. Tak uratowaliśmy w 2023 r. słynną Bibliotekę Polską w Paryżu. Muzeum Polskie w Rapperswilu miało być kolejną taką

mało instytucji kultury. Gdziekolwiek coś się dzieje, tam walą tłumy. Kładka przez Wisłę naprawdę nie jest „instytucją kultury” na miarę naszych ambicji, choć kosztowała tyle, ile myśmy wydali na Muzeum „Pamięć i Tożsamość” w Toruniu, za co chcą nas ścigać. Chętnie zresztą zostanę pierwszym ministrem kultury na świecie, który pójdzie do więzienia za zbudowanie muzeum – i to muzeum Jana Pawła II! To też symboliczne – ściganie ministra za ten jeden akurat projekt spośród 300 innych dużych inwestycji muzealnych, które zrobiliśmy.

Inwestycji było przez osiem lat rządów PiS rzeczywiście dużo, niektórzy twierdzą, że za dużo. Że powstały nikomu niepotrzebne muzea, w których będzie hulał wiatr, a których utrzymanie będzie bardzo kosztowne.

Jakiś przykład? (śmiech) Wszystkie nasze decyzje były uzasadnione. Jak pan wie, liczba muzeów na 100 tys. mieszkańców jest w Polsce niższa niż średnia w Europie. Nie jest prawdą, że u nas było nasycenie. Wręcz przeciwnie – było wiele białych plam, które zapełniliśmy różnorodnymi muzeami. Od Muzeum Archeologii Podwodnej w Łebie, poprzez Muzeum Polarnictwa w Puławach, Panteon Górnośląski w Katowicach, rozpocze-

Mamy nowe muzea, to prawda. Tylko czy mamy również taki efekt, jaki byśmy chcieli? Czy te miejsca odpowiednio rezonują w społeczeństwie?

Ależ oczywiście! Mamy przede wszystkim fenomenalny efekt frekwencyjny. Bardzo szybko odbudowaliśmy przedpandemiczną frekwencję. Wawel czy Muzeum Narodowe odwiedza w ostatnich latach po 2 mln ludzi rocznie. To dlatego także, że inwestowaliśmy duże pieniądze we wspaniałe wystawy. I zakupy muzealne, których przedtem ani teraz nie ma (Chagall, Tycjan, Breughel, Bellotto, a także Łempicka, Wyspiański czy Chełmoński itp.). Proszę sobie przypomnieć, jakie to były wystawy, jakie nazwiska, z jaką intensywnością organizowane. Notabene ostatnia wystawa Chełmońskiego w Muzeum Narodowym w Warszawie to także nasza decyzja. Smutne, że z głosów, które docierają do mnie z muzeum, wynika, że może to być już ostatnia frekwencyjna wystawa. Proszę sobie przypomnieć, co się działo w Zamku Królewskim w Warszawie. Organizowano tam ambitne wystawy, jakich nie było. A teraz odwołano wystawę Rafaela. Kolejny przykład – darmowy listopad w rezydencjach królewskich. Myśmy rozszerzyli liczbę rezydencji do siedmiu w całej Polsce. A wie pan, co oni zrobili w tym roku?

Tak, ograniczyli się do Wawelu i trzech warszawskich rezydencji. Ale za to frekwencja była bardzo wysoka.

I bardzo dobrze! Ale kto to wszystko rozkręcił? I dlaczego pozbawiono możliwości zwiedzania rezydencji w Malborku, Poznaniu, Sandomierzu czy Lublinie? Polska nie kończy się na Krakowie i Warszawie.

No tak, ale w kulturze popularnej już tak dobrze nie było. Powstawały jakieś filmy, seriale, nawet gry wideo, ale – mówiąc delikatnie – kariery nie zrobili.

Nie twierdzą, że było tak dobrze na każdym polu. Inwestowaliśmy w kine-matografię, mimo że nie mieliśmy tam dobrego responsu... Nie żądam wdzięczności, ale niektóre środowiska zostały tak mocno wewnętrznie sterroryzowane, że ich przedstawiciele nie mogli powiedzieć neutralnego słowa o naszych rządach, bo natychmiast dotykał ich ostracyzm. Środowiska kultury nie były przyzwyczajone do tego, że rządzi prawica, wiele z nich było nastawionych bardzo negatywnie i to tak zero-jedynkowo. Zrobiliśmy ponad 300 filmów, ale – powiedzmy – nie zawsze takich, od strony artystycznej, jak byśmy chcieli. No ale ja za twórców tych filmów nie zrobię.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego ma duże problemy z podziałem środków w Krajowego Planu Odbudowy. Beneficjenci

Wawel czy Muzeum Narodowe odwiedza w ostatnich latach po 2 mln ludzi rocznie. To dlatego także, że inwestowaliśmy duże pieniądze we wspaniałe wystawy. I zakupy muzealne, których przedtem ani teraz nie ma

narzekają na opóźnienia, brak komunikacji, ogólny chaos. Wielu obawia się, że może stracić przyznane granty. W czym tkwi trudność w rozdysponowaniu tych środków? Co zawiodło?

To nie (tylko) kryzys, to skutek – jak mawiał Kisiel.

Pomimo tego, że KPO było wstrzymywane z powodów politycznych po to, żeby w Polsce zmienił się rząd, mieliśmy obowiązek przygotować się do jego rozdysponowania. Zainwestowaliśmy w cztery instytucje, które miały być operatorami programu. Podpułkownik Sienkiewicz

zdecydował jednak, że wszystkim zajmie się jedna instytucja: Narodowy Instytut Muzyki i Tańca. Po to, aby lepiej kontrolować wydatkowanie tych środków. Zniszczono więc całą naszą infrastrukturę i wrzucono wszystko do jednej instytucji. Jasne było, że to się zatka. Na początku marca pisałem interpelację w tej sprawie, ale szli w zaparte i zderzyli się ze ścianą. W efekcie wystawili do wiatru wielu beneficjentów. To są nie tylko troglodyci, to są kompletni nieudacznicy!

Trzęsienie ziemi w kadrach po zmianie władzy to w Polsce rzecz naturalna, ale niektóre decyzje spotkały się z mocnym sprzeciwem niezależnych politycznie środowisk. Tak było chociażby przy zwolnieniu Roberta Kostry, który uchodził za apolitycznego fachowca, z funkcji dyrektora Muzeum Historii Polski. Dlaczego stracił pracę?

To są zwykłe bezprawne czystki. Zwalniają pod wymyślnymi pretekstami albo i bez nich. Około 40 dyrektorów zostało wyrzuconych z pracy w trakcie kadencji. Do tego rozpędzili kilkanaście rad muzealnych. Widzę trzy kierunki, wedle których dokonuje się ta czystka. Po pierwsze: lewackość. To właśnie przykład Muzeum Historii Polski czy Instytutu Dziedzictwa Myśli Narodowej. Po drugie: proniemieckość. Przykładem jest Instytut Pileckiego, którym kieruje teraz pan, który wstawił się twierdzeniem, że Polska nie ma prawa do odszkodowań od Niemców, czy pani,

nastyrze? Że to warunek, który Ukraina postawiła w zamian za zgodę na ekshumację polskich ofiar?

Strona ukraińska już dawno proponowała nam to, na co zgodziła się obecna władza. Reprezentowałem polski rząd w tych rozmowach i wielokrotnie słyszałem propozycje, żeby wymienić listę spraw do załatwienia: „My wam odblokujemy ekshumacje w zamian za ustalenia dotyczące upamiętnień”. A my zawsze twardo argumentowaliśmy, że domagamy się w pierwszym rzędzie realizacji podstawowych wartości cywilizacyjnych, czyli odszukania, ekshumacji i pochowania ofiar. To rzecz, która nie może podlegać negocjacjom. Tu nie ma miejsca na kompromis. A co do upamiętnień, to dobrze, powołajmy grupę i zacznijmy rozmowy. Może wbijemy tam tylko krzyż i to będzie dobry początek. Na pewno nie możemy się zgodzić na upamiętnianie poprzez pomniki i napisy, że ktoś zginął „za wolność Ukrainy”, gdy ten ktoś niedługo przed śmiercią mordował polską ludność cywilną, uczestniczył w rzeziach na niewinnych sąsiadach. Natomiast zrobiliśmy pierwszy krok – co jest zasługą Michała Dworczyka i Fundacji „Wolność i Demokracja”, której był założycielem – zdobyliśmy zgodę na poszukiwania w Puźnikach pod Tarnopolem. Poszukiwania, z udziałem IPN, trwały parę miesięcy, znaleziono szczątki ofiar i złożyliśmy wniosek o ekshumację. To ten wniosek został teraz pozytywnie rozpatrzony. Być może w zamian za tę „wymianę list”, za ustępstwo w sprawie upamiętnienia na Monastyrze.

Daleko idące ustępstwa wobec Ukrainy to nie wymysł obecnego rządu. Pan nie ma Prawu i Sprawiedliwości niczego do zarzucenia na tym polu?

Nie wiem, co ma pan na myśli. Jeżeli najazd Putina, to byliśmy w zupełnie innej, nowej sytuacji, gdy wojna dopiero co wybuchła. Niemcy czekali, aż Putin w trzy dni zajmie Kijów. Musieliśmy działać, aby nie przejął Ukrainy. Tak samo było z pandemią. Teraz każdy jest mądry, ale wtedy to były sytuacje absolutnie nadzwyczajne. Ukraińska kwestia jest niezwykle skomplikowana. Ale nasza polityka wobec Ukrainy zawsze uwzględniała w pierwszym rzędzie interes Polski. Nie jestem pewien, czy to, co wyprawia Tusk – świadomie bądź nie – ma to na względzie.

Zmieniając zupełnie temat... Czy uważa pan, że Polska odnowi pomnik żołnierzy UPA na Mo-



Łukasz Czarnecki

Pod koniec roku 2024 krakowskie Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha obchodziło 30. urodziny. Dyrekcja instytucji uczciła je, przypominając za pomocą wystawy „Zbliżenie. Feliks Jasieński i jego kolekcja” postać swojego patrona Feliksa „Mangghi” Jasieńskiego (1861–1929) – kolekcjonera, publicysty, krytyka sztuki, mecenasa artystów i wielkiego patrioty, który swoje ogromne, gromadzone przez całe życie zbiory przekazał narodowi polskiemu, ofiarowując je Muzeum Narodowemu w Krakowie

Feliks Jasieński na świat przyszedł w bogatej rodzinie szlacheckiej. Choć jako dorosły człowiek słynął z niebywałej erudycji, to jego formalne wykształcenie ograniczało się do szkoły podstawowej. W gimnazjum musiał powtarzać czwartą klasę, a do matury nie podszedł – przeszkodziła mu w tym poważna choroba oczu, która właśnie wówczas się ujawniła. Prześladować ona miała kolekcjonera do końca życia, wymuszając na nim noszenie charakterystycznych czarnych binokli, chroniących nadwrażliwy zmysł wzroku. Okulary te były jednym z najbardziej rzucających się w oczy elementów zewnętrznego wyglądu „Mangghi” i często pojawiały się na prezentujących go karykaturach malowanych przez jego przyjaciół artystów.

Mimo braku matury Jasieński wyjechał do Dorpatu na studia, ale uniwersyteckiego dyplomu też nie udało mu się ze względów zdrowotnych uzyskać. Po jakimś czasie dla uzupełnienia wykształcenia udał się do Paryża, gdzie jako wolny słuchacz uczęszczał na wykłady uniwersyteckie. To właśnie nad Sekwaną, szperając w tamtejszych antykwariatach, „Manggha” po raz pierwszy zetknął się



Portret Feliksa Jasieńskiego
autorstwa Jacka
Malczewskiego

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



z japońskimi drzeworytami ukiyo-e, które właśnie zaczęły podbijać Europę Zachodnią. Styl mistrzów pędzla z Krainy Kwitnącej Wiśni był dla Europejczyków czymś zupełnie nowym, budził fascynację swoją innością i wkrótce europejskich artystów i intelektualistów ogarnęła istna mania japońszczyzny. Kto mógł, kolekcjonował drzeworyty, co było o tyle łatwe, że w kraju swego pochodzenia były one odbijane w tysiącach egzempla-

rzy, a sami Japończycy nie uznawali początkowo ukiyo-e za przedmioty o jakiejś szczególnej wartości artystycznej i... zawiiali w nie porcelanę eksportowaną do Europy! W efekcie nawet osoby niezbyt zamożne mogły sobie pozwolić na to, by zbierać sztukę japońską. Dopiero później w Japonii uświadomiono sobie, jak cenne są tradycyjne drzeworyty. Doszło wtedy do przedziwnej sytuacji, gdy przedstawiciele japońskich muzeów i kolekcjone-

rzy jeździli na Stary Kontynent, by tam kupować egzemplarze dzieł mistrzów epoki Edo, które wcześniej niefrasobliwie potraktowano jak śmieci i pozbyto się ich z ojczyzny.

Gdy Jasieński pierwszy raz ujrzał ukiyo-e, serce przeszła mu strzała amora. Odtąd całe jego życie wypełniało intensywne zbieractwo, w efekcie czego udało mu się zgromadzić aż 7 tys. artefaktów sztuki japońskiej, w tym 5,2 tys. drzeworytów, 1 tys. militariów plus brązy, malowidła na zwojach i różne drobiazgi. Choć jednak odbywał podróże po całej Europie i Lewancie, docierając aż do Egiptu, to paradoksalnie na ukochanej japońskiej ziemi „Manggha” nigdy nie postawił stopy! Kraj Kwitnącej Wiśni żył w jego wyobraźni, stopniowo stając się drugą ojczyzną, co przyniosło mu pseudonim, pod którym został zapamiętany, a gdy w roku 1902 przeniósł się z Warszawy do Krakowa, zaczęto też nazywać go „Japończykiem w Galicji” (tak przedstawiającą go karykaturę zatytułował Leon Wyczółkowski; wita ona odwiedzających krakowską wystawę).

NIE DLA BYDŁA

Oprócz sztuki japońskiej Jasieński zbierał też inne przedmioty, m.in. współczesne mu malarstwo, rzeźbę itp. Nie był jednak typem skąpca, który zamyka się ze swymi zbiorami i strzeże ich niczym smok kupy skarbów. Wręcz przeciwnie, „Manggha” od początku chciał się podzielić swoją kolekcją z rodakami. Wróciwszy z wojaży i osiadłszy w 1888 r. w Warszawie, planował przekazanie wciąż rosnących zbiorów (ostatecznie zgromadził 15 tys. artefaktów!) tutejszemu Muzeum Narodowemu. To, że sprawy potoczyły się zgoła inaczej, jest już winą samych warszawiaków.

W grudniu 1901 r. nasz bohater dogadał się z władzami galerii Zachęty co do wspólnej organizacji wystawy sztuki japońskiej. Jako że była ona, jak zwykł mawiać Jasieński, „ozdobą muzeów wszechświatowych”, kolekcjoner był pewien sukcesu. Niepokój zaczął czuć, gdy w trakcie prywatnych pokazów drzeworytów odbywających się w salonach warszawskiej inteligencji spotkał się z kompletnym niezrozumieniem i szyderczymi komentarzami na temat ukiyo-e nazywanych „brzydactwami”. Chyba

jednak najbardziej oburzyło konesera pytanie, dlaczego pokazuje ludziom opakowania po chińskiej herbacie!

Potem było jeszcze gorzej. Gdy w styczniu otwarto wystawę, zwiedzający nie tylko nie docenili sztuki japońskiej, lecz także ją znienawidzili! Lud warszawski zostawiał pod eksponatami karki z wulgarnymi napisami, a prasa kpiła z „Mangghi” i jego „sztuki wymierającego plemienia ludożerców”. Ba, do Feliksa zaczęły wręcz przychodzić anonimy z pogrozkami, autor jednego z nich kazał mu się wynosić na Nową Gwinę, by tam „uczyć smaku Papuasów, a nie warszawiaków”!

Na reakcję wściekłego kolekcjonera, którego ukochane zbiory lżono, nie trzeba było długo czekać. Pewnego pięknego dnia odwiedzających Zachętę przywitała tabliczka z napisem „Nie dla bydła”, w środku zaś znaleźli pod eksponatami jeszcze więcej komentarzy w tym samym duchu. Wybuchł niebywały skandal, cała Warszawa huczała, a „Manggha” wycofał się z obietnicy donacji na rzecz tutejszego Muzeum Narodowego. Skoro warszawiacy okazali się zwykłymi chamami, to nie chciał rzucać pereł przed wieprze i jeszcze w tym samym roku, spakowawszy kolekcję, wyjechał do Krakowa. Na do widzenia, chcąc dokuczyć znienawidzonym mieszkańcom Warszawy, zrobił im złośliwego figla, kupując i wywożąc ze sobą obraz „Szał uniesień” Podkowińskiego, nad którego zakupem zastanawiało się właśnie warszawskie Muzeum Narodowe.

I tak okazało się, że w roku 1902 mieszkańcy tej części wszechświata, w której znajdowała się Warszawa, byli jakieś 100 lat za Marsjanami. Choć może naród polski powinien być im wdzięczny za ich ówczesne chamstwo, bo gdyby obrażony Jasieński nie przeniósł się do Krakowa, a swoje bezcenne zbiory przekazał stolicy, to spłonęłyby one zapewne w trakcie powstania warszawskiego, tak jak niezliczone inne skarby polskiej kultury.

POD WAWELEM

W Krakowie „Manggha” znalazł o wiele przyjaźniejszą atmosferę. Wkrótce stał się jedną z najważniejszych postaci środowiska Młodej Polski i mecenasem artystów. Z jego hojności,

opieki i wsparcia korzystał choćby w ostatnim okresie życia ciężko chory Stanisław Wyspiański.

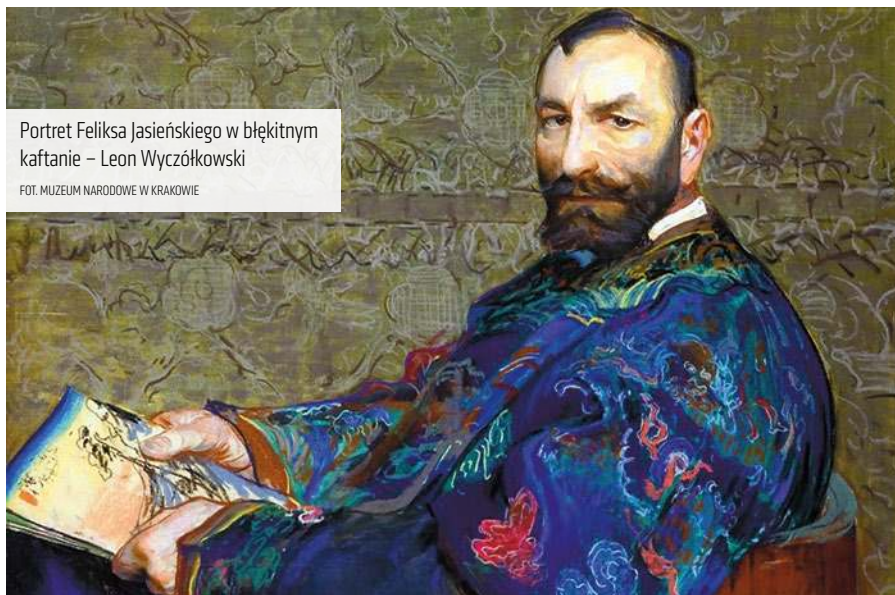
Niewielkie mieszkanie Jasieńskiego na rogu ulic św. Jana 1 i Rynku Głównego szybko zyskało sobie sławę i nazywane było Muzeum Manggha. W ograniczonej przestrzeni czterech pokoi obok siebie stały eksponaty wchodzące w skład wciąż rozrastającej się kolekcji. Czego tu nie było! Wszędzie stały rzeźby, brązy, ceramika, samurajskie miecze, a nawet zbroje. Na ścianach wisiały drzeworyty ukiyo-e i zwoje z obrazami malowanymi tuszem, malunki młodzi polskich artystów oraz wielki gotycki krzyż z rzeźbą Chrystusa. Pod tymże krucyfiksem Jasieński ustawił fisharmonię, na której lubił sobie od czasu do czasu pomuzykować. W roku 1902 Wyczółkowski namalował obraz prezentujący jego przyjaciela przy tej czynności. Tylko co do umiejętności muzycznych Jasieńskiego można mieć wątpliwości, skoro Wyspiański skomentował malowidło, mówiąc, że wołałby, aby to Chrystus grał, a „Manggha” wisiął.

Salon naszego bohatera stał się jedną z głównych „baz” krakowskich artystów. Przez mieszkanie przewijało się tylu gości, że w końcu gospodarz, chcąc oszczędzić sobie powitalnych ceregieli, wywiesił przy wejściu wielką namalowaną na kartonie dłoń, którą wchodzący mieli uściśnąć na przywitanie, by nie zawracać mu głowy. Ta zaś miała wiele do roboty, bo Jasieński prezentował przyjaciołom swoje skarby, szczegółowo je przy tym omawiając. A galicyjscy artyści i inteligencja w przeciwnieństwie do warszawiaków potrafili docenić sztukę Dalekiego Wschodu. Co więcej, sami ją pokochali, w efekcie czego w polskim malarstwie zaczął rozwijać się nurt japonizmu obecny już od dawna na zachodzie Europy.

Krótko po swych przenosinach pod Wawel nasz bohater rozpoczął starania mające na celu przekazanie krakowskiemu Muzeum Narodowemu swoich zbiorów. Stawiał jednak warunki – kolekcja miała pozostać niepodzielona, oprócz tego żądał założenia filii muzeum swojego imienia i uczynienia go jej kustoszem. Władze instytucji z kolei działały tak niemrawo, że sprawa trwała prawie dwie dekady, dając nawet asumpt do

Portret Feliksa Jasieńskiego w błękitnym kaftanie – Leon Wyczółkowski

FOT. MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE



powstania satyrycznej piosenki pióra Tadeusza Boya-Zeleńskiego.

WYSTAWA JUBILEUSZOWA

Wystawa „Zbliżenie. Feliks Jasieński i jego kolekcja” prezentowana jest w muzealnym budynku Europa – Daleki Wschód. Przeważająca większość prezentowanych eksponatów pochodzi ze zbiorów patrona muzeum, jednakże wśród nich znajdują się także dzieła sztuki uzyskane od późniejszych donatorów.

Instalacja na parterze wprowadza zwiedzających w nastrój mieszkania Jasieńskiego poprzez symboliczne odwzorowania jego wnętrza. Było ono często fotografowane i zdjęcia te wykorzystano, by stworzyć multimedialną prezentację wyświetlaną naprzeciwko wejścia. Na sąsiedniej ścianie wiszą wizerunki prezentujące karykatury gospodarza. Na pierwszej z nich, popelnionej przez Kazimierza Sichulskiego, „Manggha” dźwiga na plecach wielki, jedwabny wyszywany w chińskie smoki wór zapewne wypełniony eksponatami z jego kolekcji. Nie tylko zresztą nimi, bo na zewnątrz pakunku wystaje mała tusa główka Wyczółkowskiego. Sam Leon Wyczółkowski jest autorem drugiego satyrycznego rysunku, tym razem prezentującego Jasieńskiego niosącego pod pachą obraz. Być może jest to nawiązanie do osobliwego zwyczaju kolekcjonera, który odwiedzając krakowskich malarzy, gdy dostrzegł w ich mieszkaniach dzieła, które szczególnie mu się podobały, bezceremonialnie pakował je sobie w poły płaszcz i wychodził.

Wyczółkowski, którego z Feliksem łączyła bliska przyjaźń, był najczęstszą ofiarą tego typu kradzieży. Pewnego dnia musiał wyciągać druha spod łóżka, gdzie ten wpelzył w poszukiwaniu schowanych szkiców, innym razem „galicyjski Japończyk” narzucił sobie na plecy należący do malarza wielki zegar szafkowy i go wyniósł. O bliskości między Jasieńskim a Wyczółkowskim organizatorzy wystawy przypominają, umieszczając w jej przestrzeni ogromny autoportret artysty. Tę część ekspozycji uzupełniają pochodzące z przełomu wieku brązy polskich rzeźbiarzy, a karykatury dzielą ścianę z o wiele mniej zabawnymi odbitkami „Okropności wojny” Goi i wizerunkami pięknych niewiast autorstwa japońskich mistrzów.

Gdy skierujemy się w prawą stronę od wejścia, będziemy mogli obejrzeć arcydzieła sztuki buddyjskiej. Znajdziemy tu wspaniałe brązowe posążki kultowe, a także wykonane z niesamowitym kunsztem malowidło ukazujące osiągnięcie przez Buddę nirwany. Niesamowite wrażenie robi wizja spoczywającego na łożu śmierci Oświeconego, wokół którego gromadzą się uczniowie oraz wszelkiej maści fantastyczne istoty. Dalej wisi olśniewająca mandala. Z kolei jeśli skierujemy nasze kroki w lewą stronę, znajdziemy się w świecie sztuki chińskiej. Jako że Państwo Środka interesowało „Mangghę” o wiele mniej niż Kraj Kwitnącej Wiśni, do jego prywatnego muzeum trafiła tylko trochę ponad setka eksponatów pochodzących z ojczysty Konfucjusza. Najciekawszymi z nich są przepiękne jedwabne spódnice oraz bogato zdobiona szata oficjalna wyszywa-

na w smoki. Ponadto obejrzeć możemy też olbrzymi zwój z malowidłem, a także artefakty pochodzące z późniejszych dat przekazanych krakowskiemu Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej, takie jak choćby rzeźby z czasów dynastii Tang czy po mistrzowsku wykonana chińska ceramika.

Ekspozycję na piętrze podzielić można na dwie utrzymane w zupełnie innym duchu części. Jedna z nich skupia się na przedstawieniach natury w sztuce japońskiej. Na przestrzeni wystawowej zgromadzono drzeworyty z epoki Edo, prezentujące wydarzenia ściśle związane ze zmianą pór roku. Szczególnie piękny jest tryptyk ukiyo-e wyobrażający grupę Japonek podziwiających nocą Księżyc odbijający się w wodzie stojącej na polach ryżowych. Oprócz drzeworytów obejrzeć możemy też malarstwo tuszowe przedstawiające różnego rodzaju ptaki, ryby i rośliny oraz przejść pomiędzy olbrzymimi zwojami z obrazami.

Drugą połowę sali przeznaczono na sprawy całkowicie odmienne od niosącego spójność ducha piękna natury. Motto tej części ekspozycji stanowią słowa Jasieńskiego: „Japończyk – to rycerz-artysta. W duszy ideał trójjedyny: honor, ojczyzna sztuka. Więc oręż szabla; więc szabla-dzieło sztuki”. Tak więc wkraczamy w świat samurajów. Dane jest nam zobaczyć dwie pełne zbroje japońskich wojowników, a także pojedyncze hełmy (w jednym z nich „Manggha” został swego czasu uwieczniony na fotografii). Wokół w gablotach pyszną się miecze, z których najstarsze pamiętają wiek XVII. Ich zimne piękno ma w sobie coś równie uwodzicielskiego, co przerażającego. Znajdziemy wśród nich długie ostrza, dzierżone przez samurajów na polach bitew, i krótsze, podobne do sztyletów, którymi zadawali sobie śmierć, popelniając seppuku. Ponadto obejrzeć możemy tu też drzeworyty ze scenami walki.

Wystawa jest godnym upamiętnieniem wielkiego polskiego patrioty i dobroczyńcy narodu, którym był kolekcjoner. Polecam więc jak najszybciej odwiedzić Kraków, by na własne oczy obejrzeć te wszystkie wspaniałości. Tylko jeśli jesteście warszawiakami, lepiej nie mówcie o tym na głos w trakcie zwiedzania, bo duch Jasieńskiego jeszcze wyskoczy na was ze swego portretu i dziabnie samurajskim mieczem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę można oglądać do 30 marca.

Nie pozwól się zastraszyć



Krzysztof Maślōń

Na estradzie zadebiutował w 1983 r. na Shanties, otrzymując nagrodę publiczności. W ciągu niespełna roku zdobył laury na festiwalach piosenek amatorskiej i turystycznej, wygrał Ogólnopolski Przegląd Piosenki Autorskiej, dostał też prywatną nagrodę od Przemysława Gintrowskiego. 4 września 1984 r., tuż przed 29. urodzinami, już nie żył. Przegrał walkę z rakiem. Od wczesnego dzieciństwa był niewidomy.

W utworze, którego nie potrafię słuchać bez wzruszenia, „Piosence o psach nierasowych”, śpiewał:

***Ze strachu grzbiety nasze drżą,
na schodach łapy nam się śmiesznie
rozjeżdżają,
łby nieszlachetne, stworzone wprost
do drwin
futra znoszone, połatane.
My wiemy – nie wyrosną charty
piękne z nas,
salonów też nie podbijemy,
ale za każdy na własnych łapach krok
nie znamy za wysokiej ceny.
I chociaż nieraz przyjdzie spuścić łeb
i choć od razów pałą rany,
niech stoi pusty nasz wspaniały dom,
my jeszcze wiatr w polu poszukamy.***

Najpopularniejszą z jego piosenek stały się jednak chyba jego „Mewy”, przywołujące ostatni obraz, jaki widział jako sześciolatek, płynąc promem do Szwecji, gdzie istniały ponoć szanse na uratowanie mu wzroku. Nie udało się.

**Ptaki zapamiętane jeszcze z dziecięcych lat
drapieżnie spadające ze skał na szary
Skaqerrak**

Wiatr cesał w grzywy morze, po
falach skacząc, lekko biegł
Pamiętam tamte mewy – przestwo-
rzy słonych zew
Żeglarzom wracającym z morza
na pamięć przywozidzie dom
rozbitkom wasze skrzydła niosą
nadzieję na zblawienny ład,

Ale przekazywał słuchaczom także zgoda inne utwory. Jak „Nie pozwól” Wolfa Biermanna, sławnego barda i dysydenta niemieckiego, któremu w 1976 r. komunistyczne władze nie zezwoliły na powrót do NRD. Opoka tak przełożył jego song:

Nie pozwól sobie zgorzknieć
gdy gorycz trawi czas
Dziś żyjesz jak za kratą
lecz oni drżą przed tobą
jeszcze nie koniec dnia, jeszcze nie
zapadł zmierzch
Nie pozwól się zastraszyć
gdy terror wokół nas
To przecież oni o tym marzą
byśmy złożyli broń,
nim przyjdzie na to czas
Nie wolno się załamać
bądź sobą chociaż raz
Bo właśnie twojej wiary
Bo właśnie twojej siły, mądrości
trzeba nam
Tej siły trzeba nam
Nie wolno nam zamilknąć
choć martwa cisza trwa
Nabrzmiwia zielen w pękach,
najtwardsze trzeszczą lody
już oczy przetrzeć czas
już oczy przetrzeć czas

To dodawanie otuchy było potrzebne w trudnym czasie stanu wojennego i tużpo-wojennego, w którym pisał Tomek Opoka teksty do takich piosenek jak „Co czują żeglarze zimą”, wbrew pozorom nie wyłącznie wodniackich:

*Gdy pogoda, że nie wygnasz nawet
psa
gdy cię łamie, jakbyś miał ze trzysta
lat*

a za ścianą u sąsiada znów zawodzi
Adam Zwierz
bądź mężczyzną, rzuć to wszystko,
popłyń w rejs
I niech skrzypek wiatr
znów gra na strunach want
niech raz po raz przechodzi w bas
drwiąc sobie z żagli białych płacht
i niech raz po raz przechodzi w bas
drwiąc sobie z żagli białych płacht..
Gdy sił nie masz, żeby w życie dalej
grać
kiedy czujesz, że zaczynasz tracić
twarz
gdy pomimo psów szczekania
karawana toczy się
bądź mężczyzną, rzuć to wszystko,
popłyń w rejs.

Do swego repertuaru włączył też żeglarski evergreen „Morze Północne”, XVII-wieczną angielską balladę, którą śpiewali i Cohen, i Dylan, i Pete Seeger, i pewnie tysiąc innych wykonawców. Tomek Opoka skorzystał z holenderskiej wersji utworu i w te słowa zaczął tę opowieść:

*Słuchajcie morscy bracia, jak w linach
śpiewa wiatr,
O strasznym losie majtka, co zwał się
Jan van Deijk.
Pod nogą pokład chwiejny, porto-
wych tawern gwar,
Północne Morze wokół i przyjaźń
w szklance grogu –
Boqactwo tylko takie znał.*

Pomimo wszystkich przeciwności losu żył Tomek nie-słuchanie aktywnie. Ukończył studia na SGPiS. Na wydziale handlu zagranicznego zaczął pisać nawet rozprawę doktorską, w końcu jednak wybrał pisanie piosenek. A w wywiadzie, jednym z nielicznych, których zdążył udzielić, opowiadał: „[...] mając dziwną skłonność do popadania w nastroje skrajnie przeciwstawne, wydawało mi się, że jeśli zajmę się czymś takim jak ekonomia,



czego pokochać ani zmienić się nie da, to po prostu będzie się to miało nijak do mojego życia duchowego”.

Przed wszystkim był bardem, ale pisywał i wiersze, i artykuły publicystyczne do najciekawszego bodaj pisma wychodzącego w stanie wojennym, a mianowicie „Niewiedomego Spółdzielcy”, do czego namówił go redagujący ten miesięcznik Dariusz Fikus.

Gorączkowo trzymał się
 życia. Zdążył się jeszcze ożenić,
 ale jego dziecko już ojca nie
 ujrzało. W 25. rocznicę śmierci
 tego wyjątkowego barda
 Solidarności i stanu wojenne-
 go ukazała się jego biografia
 wraz z płytą „Pamiętam tamte
 mewy...”.

Pamiętajmy i my o Tomaszu Opoce. I niech i nam przyśni się czasem jego „Sen”:

Gdy chwila już wolna od pracy
na horyzoncie las
i rzeka twoja wierna
i Kant i wszechświat gwiazd
Nim sen cię miękko omroczy
ucieknieś od szarych miast
do świata o ludzkim wymiarze
do kilku zwyczajnych prawd
Na takie wielkie wagary
z wiosem ko łódź pcha pod prąd
z ludźmi co chleb zbożnie krają
z melancholią jesiennych łąk
Z wiosną szaloną – pamiętasz?
gdyś pił woń tataraków i traw
z zimą kołędą zadyymką
co gra jak Mozart tak
Sosnom jak ludzie mądrym
spowiadać się z gniewem nabrzmi-
łych dni
strumieniom spokoju zazdrościć
sypać czas w klepsydry dni, © ®



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Faszyzm nie przejdzie



Piotr Gociek

„Przesmyk” mógł być świetnym i aktualnym serialem. Jest tylko kontrowersyjny

Dobra wiadomość: doczekaliśmy czasów, w których polskie seriale wyglądają jak te z importu. Patrzymy na robotę reżyserów, operatorów, montażyistów – naprawdę da się to wszystko oglądać bez wstydu. Kłopot z muzyką, która zwykle bywa zbyt agresywna i bombastyczna (a przecież często mniej znaczy lepiej), ale taki kłopot to nie kłopot.

Zła wiadomość: nawet najzręczniejszą produkcję trudno z czystym sumieniem chwalić, kiedy scenarzyści wpadają na idiotyczne pomysły. A tak jest w przypadku „Przesmyku”, najnowszej produkcji Max. Dobrze się to ogląda, naprawdę dobrze; obsada trafiona, obrazki ładne, tempo jak trzeba. A jednocześnie przychodzą chwile, w których trzeba łapać się za głowę. Ja po raz pierwszy złapałem się dość szybko, kiedy w pierwszym odcinku natrafiłem na polskich faszystów i rasistów z kijami bejsbolowymi urządzają-

cych nocne polowania na szlachetnych lewicowych aktywistów.

WALKA WYWIADÓW

Od początku: wyreżyserowany przez Jana P. Matuszyńskiego „Przesmyk” to sześciiodcinkowa opowieść o walce wywiadów i kryzysie na granicy polsko-białoruskiej. Matuszyńskiego pamiętamy z filmów „Ostatnia rodzina”, „Żeby nie było śladów” i „Minghun”. Centralne figury opowieści to Ewa Oginić oraz tajemniczy Skinner, agenci polskiego wywiadu. Ewę gra Lena Góra, i był to wybór świetny, bo ma charyzmę, urok, potrafi być krucha i ludzka, potrafi być twarda jak Nikita i równie zręcznie rozdáwać ciosy. Lena Góra to w ogóle jedna z lepiej zapowiadających się aktorek pokolenia, co pokazała w filmach „Imago” czy „Roving Woman” (ten ostatni także napisała i wyprodukowała).

W roli Skinera mamy Karola Pochecia, który w minionej dekadzie zagrał we wszystkich możliwych polskich serialach, ale jeszcze nigdy nie dostał do zagrania postaci tak ciekawej. W tle oczywiście pojawiają się przyciągający uwagę widzów rutyniarze: Jan Englert, Leszek Lichota czy Bartłomiej Topa, obsadę ról rosyjskojęzycznych zapewnia w większości zaciąg ukraiński. Plenery, które udają Mińsk – i w ogóle Białoruś – znaleziono

na Śląsku i w Zagłębiu Dąbrowskim. Dobrze zachowane socrealistyczne gmachy i pamiętające PRL bloki nadały się do tego zadania idealnie.

Zaczyna się od mocnego uderzenia: polska konsul w Mińsku strzela sobie w łeb po tym, jak tajemniczy szantażysta ujawnia nagranie jej pozamałżeńskich igraszek z kochankiem. Z kolei Ewa i Skinner wypełniają niebezpieczną misję w Królewcu, gdzie znająca świetnie rosyjski i podająca się za Łotyszkę polska agentka penetruje posiadłość rosyjskiego oligarchy. Przybywa do posiadłości Sorokinów jako narzeczona ich syna. Pyszna jest scena, kiedy musi uwiarygodnić się przed towarzystwem rosyjskich szowinistów tekstami o tym, że Rosja to „tysiącletnia kultura” w odróżnieniu od zgniłego Zachodu. Pewnie niektórzy widzowie będą widzieli w tym zgrzywę, a prawda jest taka, że zbyt duża część elit Rosji naprawdę wierzy w to, że wielka literatura to tylko Dostojewski, a Zachód to najwyżej Jack Kerouac.

W zawiązującym wątki pierwszym odcinku dostajemy jeszcze nocne sceny wymiany więźniów na granicy Polski z Białorusią. My oddajemy cennego rosyjskiego szpiega, oni – grupę polskich opozycjonistów zamkniętych przez reżim Łukaszenki. Jeden z nich w ostatniej chwili wybiera pozostanie na

Białorusi. Dlaczego? Zagadek jest dużo, powodów do śledzenia akcji wiele, choć czasem trzeba mocno popracować nad zawieszeniem niewiary: Czy wywiad naprawdę wystąpił w kolejną misję pod przykrywką agentkę, która została dopiero co spalona podczas innej misji, a jej zdjęcia z monitoringu zdobią ściany gabinetów białoruskiego KGB?

DŁUGA LISTA IDIOTYZMÓW

Jakże byłbym szczęśliwy, gdyby była to jedyna nietrafna decyzja scenarzystów. Niestety, „Przesmyk” zirytował mnie okrutnie, bo z całych sił chciałem kibicować temu przedsięwzięciu i naprawdę dobrze mi się całą historię oglądało – do czasu, aż zrobiłem listę idiotyzmów, które obrażają moją inteligencję. (Uwaga techniczna: dystrybutor udostępnił mi do obejrzenia wszystkie odcinki, ale jednocześnie przesłał dość szczegółowo wyliczone embargo na zdradzanie zakrętów fabuły, ponieważ odcinki trafiają do serwisu Max po jednym, w odstępach tygodniowych. Finał całej historii czeka więc widzów w marcu).

Zanim przejdę do wyliczania powodów do rwania włosów z głowy, odnotuję kilka rzeczy, za które przesłanie „Przesmyku” trzeba cenić. Otóż nie ma tu wątpliwości, że Rosjanie i Rosja to wróg, a Białoruś to marionetkowe państwo, poprzez które Moskwa realizuje swoje imperialne interesy. A gry rosyjskich szpiegów są dużo bardziej diaboliczne i wielowarstwowe, niż typowy widz Maxa czy TVN mógł przypuszczać. Wprost powiedziane zostało także to, że służby białoruskie zwożą migrantów na granicę z Polską, żeby pchać ich na druty i użyć jako broni w wojnie hybrydowej przeciw NATO.

Gdyby na tym można było poprzestać, każdy pewnie biłby twórcom „Przesmyku” brawo. Niestety, czas na wyliczankę łyżek dziegciu w słoiku miodu. Jednym z pozytywnych bohaterów opowieści jest siostrzeniec Ewy, niejaki Kaj, który żyje z matką nieopodal granicy. Swych kumpli wita radosnym zaproszeniem: „Chodź, pójdziemy razem bić faszystów”, a marzenia o lepszym świecie realizuje, organizując pomoc nielegalnym migrantom. Kim są owi „faszyści”? To polscy rasiści, którzy nie wiadomo skąd zjeżdżają nocą do pasa granicznego luksusowy-

mi terenówkami, by przy pomocy kijów baseballowych garbować skórę szlachetnym aktywistom, no i tropić „ciapatych”, znaczących migrantów.

Piękny, młody i pełen dobrych chęci Kaj przypominać ma cynicznym funkcjonariuszom wywiadu o wartościach humanistycznych, zapewnia też widzom odpowiedni ładunek ideolo zgodnego z wytycznymi „Gazety Wyborczej” czy „Faktów” TVN. Pal sześc prawdę, liczy się straszenie nacjonalizmem i faszyzmem, czasem w sposób subtelniejszy, jak wtedy, gdy z telewizorów w tle sączą się słowa o Rosji wspierającej w Europie skrajną prawicę. Cóż, jedną prawicę wspiera, innej nie. Ale kto by się tym przejmował, skoro można zbudować ogólne wrażenie, że Rosja to europejska prawica, europejska prawica to nacjonaści, nacjonaści to faszysci, a faszysci to kije baseballowe na granicy z Białorusią, wymierzone w biedne mamy z dziećmi? Jeśli ktoś zapyta, czy doczekamy się w serialu „Przesmyk” wzruszającego kadru, czyli dziecka z pluszowym misiem, to odpowiadam: „Tak, oczywiście, poczekajcie do przedostatniego odcinka”.

Miało być więc o wojnie z Rosją, a jest o złym nacjonalizmie. Jak to dobrze, że agenci polskich służb są na tę chorobę zaszczepieni. Kiedy jadą nocą na wymianę więźniów, pożartują sobie z portretu Matki Boskiej Częstochowskiej, a wyciągniętych z kazamatów Łukaszenki polskich więźniów powitają rzuconymi pogardliwym tonem słowami: „O, są nasi patrioci”. Przy czym „patrioci” powiedziane zostało tak, jakby trzeba było dołożyć w tym miejscu ze trzy cudzysłowy. No ale

jak tu inaczej zareagować, skoro ważna figura polskiej mniejszości na Białorusi okazuje się szowinistą i nacjonalistą, któremu marzy się „Wielka Polska”? Wicie, rozumiecie, drodzy widzowie, wielka Rosja jest niedobra, chyba już nawet Donald Tusk to przyznał, bo nie miał innego wyjścia, ale jest coś gorszego od niej: Wielka Polska. Zapisać, zakuć, zapamiętać.

PRZERAŻAJĄCY SERIAL

Wróć do tego, co napisałem na początku. Polscy filmowcy nauczyli się już robić kino i seriale na światowym poziomie, ale jeśli chodzi o rozumienie świata, to pozostają w lochach, w których kratami są nagłówki z Czerskiej i paski z Wiertniczej. Mści się także po latach oddanie kształtowania masowej wyobraźni Polaków takim personom jak Aleksander Makowski, Vincent Seversky czy Gromosław Czempiński. Dawni esbecy uważają IV RP za swego osobistego wroga, piszą powieści o wstrętnych amerykańskich bogaczach, łkają za WSI. Opowiadają bajdy o tym, jak osobiście tropili bin Ladena albo jak troszczyli się o to, żeby ktoś, broń Boże, nie zabił Jana Pawła II. I o tym, że PRL pełna była prawdziwych patriotów, a nowa Polska – tylko nieudaczników.

„Przesmyk” mógł być świetnym, aktualnym, przerażającym serialem. Jest tylko kontrowersyjny, jest udany jedynie częściowo. Pokraczna kultura III RP rodzić musi właśnie takie dziełka – podziękujcie tym, którzy po 1989 r. dzierżyli rząd dusz i dystrybucję prestiżu. Zresztą – dalej dzierżąc.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. MATERIAŁ PRASOWE



„PRZESMYK”
POLSKA 2025



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Do góry nogami

KINO



★★★★★
REŻ. BRADY CORBET
„BRUTALISTA”
(„THE BRUTALIST”)
2024

wyst. Adrien Brody,
 Felicity Jones, Guy
 Pearce

Czy wielkie kino może być puste? Owszem, „Pulp Fiction” Tarantino to czysta forma i zero treści. A czy wielkim dziełem obwołać można dokonanie w sposób oczywisty fałszywe? „Brutalista” to ciekawy przykład. Brady Corbet zaproponował widzowi monumentalne osiągnięcie kina, kapitalnie nakręcony, niemal czterogodzinny (plus kwadrans intermisji) minimalistyczny i brutalistyczny fresk o tragediach współczesności. A jednak jest oszustem.

Szczególnie pierwsza część „Brutalisty” to wielka rzecz. Powojenna odyseja więźnia niemieckiego obozu zagłady pełna jest tropów biblijnych. Laszlo Toth (wybitna rola Adriana Brody’ego) niczym Mojżesz z koszyka wyska-

kuję na świat z wnętrza statku przybijającego do Ellis Island. Z piekła trafia do raju. W drugiej części jest gorzej: okaże się, że USA są tylko innym rodzajem piekła – „miejscem zgniłym”, które Żyd ocalały z Holocaustu musi czym prędzej porzucić. Doprawdy? Nazistowskie fabryki śmierci są tym samym co ulice Filadelfii?

Brady Corbet kina uczył się od Michaela Hanekego (grał m.in. w „Funny Games”), czyni więc swe opowieści bezlitosnymi i prowokującymi („Dzieciństwo woda” i „Vox Lux”). W „Brutaliście” miesza koncepty genialne z kontrowersyjnymi. Ujawniony w ostatniej scenie klucz do życia i dzieła Totha to przewrotka kapitalna, pomsta artysty na krzywdzicielach i wołanie o prawdę

i pamięć. Fragmenty, w których Corbet twierdzi, że Żyd szczęśliwy i spełniony może być tylko na ziemi Izraela, bo wszędzie indziej go nienawidzą, trącą syjonistyczną propagandą. Kpina z bogatych i pustych Amerykanów jest wyśmienita dopóty, dopóki nie zamienia się w sugestię, że każdy biały z pieniędzmi to rasista, podobnie jak każdy chrześcijanin to antysemita. Dzielenie się heroiną jest parodią komunii. I tak dalej.

Corbet zaczyna od odwróconej Statui Wolności, a kończy odwróconym krzyżem, zatem dokładnie to, co przyniosło wolność więźniom Dachau, jest u niego symbolem wszelkiego zła. Artysta ma prawo do swojej tezy, my mamy prawo się z nim nie zgadzać. Dostajemy dzieło wybitne, lecz fałszywe, a jeśli arcydzieło – to ułomne. Jako symbol czasów – idealne. Ale naszych czasów, a nie czasów Laszla Totha. Byłoby pięć gwiazdek, ale jedną za fikołki ideolo odejmuje. ©©

GRA TYGODNIA: „SNIPER ELITE: RESISTANCE”

Spin-off, w którym z zawartości jest na tyle niewiele, że mogłaby być dodatkiem do ostatniej pełnoprawnej części znanej serii. Jest rok 1944, jako Harry Hawker trafiamy do Francji II, gdzie Niemcy pracują nad swoją wunda-rraffe. Brytyjski żołnierz specjali-

zujący się w samodzielnych akcjach dywersyjnych musi odkryć, czym jest „cudowna broń”, i ją zneutralizować. Grać można również on-line (zarówno w kooperacji, jak i PvP). Krótka gra boryka się z wieloma problemami, także technicznymi. Mam wrażenie,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
 że twórcy nudzili się przy pracy tylko trochę bardziej ode mnie, kiedy ogrywałem „Resistance”. ©©

Radosław Wojtas

- **Gatunek:** akcji, TPP
- **Platforma:** PS5, PS4, XSX, XONE, PC
- **Producent; wydawca:** Rebellion

Idź spać, kochanie

Idealna para: on mydłek, ona głupia jak gąska i potulna jak owieczka. Uczucie spa-
dło na nich jak grom podczas zakupów w supermarkecie. Teraz wybierają się do chatki na odludziu, by miło spędzić czas z jego przyjaciółmi. Komedia romantyczna? Horror? Czołówka z kroplami krwi na różowym tle tudzież wyznanie bohaterki potwierdzające tezę, że od miłości do nienawiści jest tylko jeden krok, zapowiadają opowieść obfitującą w fabularne zwroty. Są czytelnicy, którzy lekturę powieści zaczynają od ostatniej strony. Zwiastun „Towarzysza” zmajorstrował ktoś o podobnym

usposobieniu. To nie pierwszy raz, więc apeluję o unikanie kontaktu wzrokowego z teaserami oraz trailerami. Przynajmniej do czasu, aż branża reklamowa się opamięta.

Wracając do filmu: wspomniana chatka okazuje się rezydencją Rosjanina, który dorobił się milionów na „bardzo brudnym interesie”. Prymityw z obwisłymi wąsami, który czci Stalina i od rana pije wódkę szklankami, wydaje się postacią z innej bajki, lecz „Towarzysz” właśnie z takich dysonansów został zbudowany. Patrząc na



★★★★★
REZ. DREW HANCOCK
„TOWARZYSZ”
(„COMPANION”)
USA 2025

wyst. Sophie Thatcher, Jack Quaid, Lucas Gage

miny i gesty gości Siergieja, czujemy, że coś tu nie gra, lecz rozmiary mistyfikacji mogą zaskoczyć nawet wytrawnych znawców teorii spiskowych. Last but not least wypada wspomnieć, że akcja rozgrywa się w nieodległej przyszłości. Po szosach mkną autonomiczne samochody, sztuczna inteligencja sprawia, że egzystencja ludzi samotnych i nieudacznich nabiera nowego blasku. Nadal jednak zanim się coś kupi, trzeba uważnie przeczytać instrukcję obsługi, zwłaszcza akapity wypełnione małym drukiem.

To prawda, że dylematy moralne związane z ekspansją AI kino rozkminia już od kilku dekad, a Drew Hancock (który jako scenarzysta i reżyser niczym specjalnym dotąd

się nie wykazał) kroczy śladami Stevena Spielberga i Spike’a Jonze. Bywa jednak i tak, że dzieła epigonów wytrzymują porównanie z klasyką. Gdyby pozbawić „Towarzysza” futurystycznego entourage’u, broniłby się jako czarna komedia o ludziach przekonanych, że zasługują na więcej niż inni. Poza tym Hancock trafnie zidentyfikował jeden z największych lęków XXI w.: strach przed tym, co może się stać, gdy twoja komórka wpadnie w niepowołane ręce. ©©

Wiesław Chelminiak

ZAPACH KROWY **KINO**

Wypiek domowego chleba? Pokątna uprawa konopi indyjskich? To banał, czas na prawdziwe wyzwanie, czyli ekologiczną produkcję sera. Najlepiej markowego, bo wtedy odpadają wydatki na reklamę. Jest tylko jeden warunek: trzeba urodzić się i mieszkać na francuskim wygwizdowie. Tam nawet młodociany pijus rozrabiaka może odnieść sukces, jeśli się trochę ogarnie. Kino wsi unika i choćby dlatego warto rzucić okiem na reżyserki debiut panny wychowanej w krainie sera Comté. Wróg nabiąłu powie, że to półtoragodzinna reklama niszonego produktu, perfidnie unikająca idealizowania bohaterów tudzież epatowania urodą jurajskiej przyrody. Feministka uzna, że Totone jest żałosnym figurantem, który nie zdziałałby nic bez pomocy dwóch kobiet i jednej dziewczynki. Pas de problème: wkrótce będziemy wcinąć zmutowaną żywność z Ameryki. ©©



★★★★★
REŻ. LOUISE COURVOISIER
„NIECH TO DIABLI!”
(„VINGT DIEUX”)
FRANCJA 2024

wyst. Clément Favreau, Maïwene Barthelemy, Luna Garret

DO ZOBACZENIA

Kossakowie – rodzina artystyczna



RADOSŁAW WOJTAS

GDZE?
Muzeum
w Gliwicach
– Willa Caro
KIEDY?
do 31 sierpnia

Nie bez przyczyny Tadeusz Boy-Żeleński mawiał o nich: „Zdolne to były szelmy te Kossaki”, bo kilka pokoleń rodziny Kossaków na trwałe zapisało się w historii polskiej kultury. Ciekawie przebiegał podział artystycznych zdolności. Talent malarski przekazywany był w tej rodzinie głównie po męczy, literacki – po kądzieli.

Na wystawie „Kossakowie – rodzina artystyczna” znalazło



FOT. JACEK ZŁOZOWSKI/MNK

się miejsce dla nestora rodu – Juliusza – jego syna Wojciecha i wnuka Jerzego. Wszyscy oni

zasłynęli jako malarze historyczno-batalistyczni. Oraz dla kobiet z artystycznego rodu: poetki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (córci Wojciecha Kossaka) i jej siostry Magdaleny Samozwaniec, pisarki i felietonistki, pierwszej damy polskiej satyry; dla powieściopisarki Zofii Kossak-Szczuckiej czy dla tak kolorowego ptaka, jakim była Simona Kossak, która swoje miejsce odnalazła w Białowieży. ©©

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Augustowskie **noce**

Książki takie jak „Mój Augustów” rzadko przedostają się poza lokalny krąg odbiorców. I do mnie ten niewielki tom wierszy Bogusława Falickiego dotarł z opóźnieniem, co nie ma większego znaczenia, bo przecież nie zmieniły się od tamtej pory ani miasto nad Netą, ani uczucie, którym autor je darzy. A jest to uczucie trwałe, niezmiennie, odkąd któregoś dnia poeta wsiadł na dworcu kolejowym do pociągu, który go wywiozł „do wielkiego świata sztuki/Grochowiaków, Białoszewskich, Iwaszkiewiczów”.

Wysiadł na Dworcu Wileńskim po nocnej podróży „na twardej ławce”, zadebiutował w „Poezji”... Potem zamieszkał w stolicy, na dobre wsiąkając w Żoliborz, ale „wracałem zawsze – pisze – z torbą pełną rozmów i wierszy”. No bo „jak mogłem nie kochać Lipowca”?

Falicki zaprasza czytelników do rodzinnego Augustowa, ukazując go jednak bardziej takim, jakim był, niż jaki jest dziś. We wstępie pyta: „Czy nie zniechęci Was dworzec kolejowy lub brak dworca autobusowego? Zabytków niewiele, a i te w większości zapomniane. Tu chciałoby się przypomnieć gorzką uwagę o Augustowie prof. Andrzeja Strumiłły, ale czy ktoś przejmie się zdaniem nieżyjącego już Mistrza Sztuk Wielu? Ratusza zaprojektowanego przez słynnego Marconiego Wam nie pokażę, bo go nie odbudowano. Kanał Augustowski – jedyny zabytek o randze ogólnopolskiej jest, ale drzemie w niemocy i bez oznak przydatności. Muzeum Kanału ciekawsze niż sam Kanał. Puszcza zamienia się w kępy lasku...”

W końcu lat 80., gdy miejscowi upomnieli się o ofiary obławy augustowskiej z lipca 1945 r., według projektu prof. Strumiłły powstał w Gibach pomnik im poświęcony.

W 1991 r. na symbolicznej mogile zamordowanych w tej największej zbrodni dokonanej po wojnie (!) na ziemiach polskich postawiono krzyż, na którym napisano 530 nazwisk. Naprawdę do domów po tej „operacji” wojsk Armii Czerwonej i NKWD wspartej przez dwie kompanie 1. Praskiego Pułku Piechoty WP i funkcjonariuszy bezpieczeństwa nie wróciło 592 naszych rodaków. Urządzono im, jak do dziś mawia się w Augustowie, „Mały Katyń”. W tym roku minie 80 lat od tamtych wydarzeń, co należy przypominać tym zwłaszcza, których pamięć historyczna co i rusz zawodzi, a tak się fatalnie złożyło, że znaleźli się oni u władzy. I pokazują, co potrafią.

Bogusław Falicki, bolejąc nad współczesną marną kondycją swego miasta, skupia się na tym, co wciąż zachwyca. Dlatego wraca tam stale, nie tylko z sentymentu, „ale też wiedziony chęcią spotkania znajomych, powłóczenia się po bulwarach, zobaczenia zachodu słońca nad Netą, spacerowania nad Sajnem czy popłynięcia w Dolinę Rospudy. Jest parę wartości niezwykłych, parę miejsc, które zachowały unikatowy charakter”.

To Augustów odkrył swego czasu Zbigniew Herbert, który nie napisałby „Lalka”, gdyby nie był w „Stodole” nad Neckiem, ani innych utworów będących echem tego, co widział i przeżył nad sąsiednim Jeziorem Białym, na Lipowcu właśnie. A z kolei gdyby nie Herbert, inny kształt miałby wiersz Bogusława Falickiego „Bliscy i obcy”:

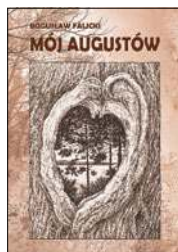
*Jakkolwiek mówią bliscy
zawsze wiem, że do mnie mówią.
Jakkolwiek mówią do mnie obcy
zawsze wiem, że nie są moi.
Jakkolwiek złorzeczy mi Najbliższa
wiem, że jestem Jej a Ona moja.
Jakkolwiek słuchają mnie obojętni*

*zawsze wiem, że to strata czasu.
Jakkolwiek w bólach milczy oddana mi
Nigdy nie tracę ducha szukając recepty.
Więc jakkolwiek mówią lub milczą
zauważają lub jestem przezroczysty,
wiem swoje, czuję swoje
i siła prawdy mnie wspiera.*

Wspomina autor w „Moim Augustowie” ważnych dla siebie ludzi: powszechnie znanych, jak Andrzej Strumiłło, jak Marian Jonkajtys, też augustowianin, aktor, reżyser i sybirak, a także licealna bibliotekarka, Larysa Kuźmiuk, i Ludwik Jaworski, dyrektor Liceum Pedagogicznego w Augustowie, „który pielęgnował kwiaty jak własne dzieci, a wszystkie dzieci traktował jak kwiaty”, jak Antoni Patla, AK-owiec, społecznik, przewodnik PTTK, który powiadał:

*Wieżenia są dla ludzi.
Byłem więźniem w trzech systemach
politycznych.
To były moje studia.
Wiele lat zgłębiałem Maeterlincka,
Emersona, Jamesa
i jeszcze mi mało tej wielkiej przyjemności ducha.
Cieszę się, jeśli mogę otworzyć oczy
turystom a piękno Suwalszczyzny
i Augustowa. Polacy powinni znać
ojczystą przyrodę.*

Zastanawia się też autor, czy znakiem rozpoznawczym jego miasta nie staną się, o ile już się nie stały, piosenki i ich wykonawcy. W końcu „Beata z Albatrosa” stworzona przez Janusza Łaskowskiego ma tu swoją ławeczkę, a świetne „Augustowskie noce” w wykonaniu Marii Koterbskiej doczekały się i rzeźby, i jeszcze jednej grającej ławeczki. Szkoda, że po sezonie robi się tam po zmierzchu „głucho, ciemno i bezludnie. Nie widać ani wracających z kościołów, ani młodych spotykających się raczej na portalach społecznościowych” i „właśnie zamknięto ostatnią prawdziwą księgarnię”. Szkoda. Też mi to miasto jest bliskie jak mało które. ©



★★★★★
BOGUSŁAW
FALICKI
„MÓJ AUGUSTÓW”
JAMIŃSKI ZESPÓŁ
INDEKSACYJNY,
TWARDY RÓG
2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Trzy głowy grozy

John Dickie wypełnił mi swoją książką o miejscowej kuchni niejedno miłe popołudnie we Włoszech; jego „Delizia!” (nietłumaczona jeszcze na polski) to kapitalna opowieść. Brytyjski historyk najbardziej ceniony jest jednak za pracę „Cosa Nostra. Historia mafii sycylijskiej”, której ciąg dalszy właśnie się ukazał: „Włoska mafia. Cosa Nostra, Kamorra i 'Ndrangheta od 1946 roku po czasy dzisiejsze”.

Jest to ponura opowieść o tym, jak trzygłowa hydra – sycylijska cosa nostra, neapolitańska kamorra i 'ndrangheta – wrosły w strukturę nowego demokratycznego państwa. Była to okazja jedyna w swoim rodzaju, choć zaryzykowałbym stwierdzenie, że do czasu – bo to, co wydarzyło się w Europie Środkowej i Wschodniej po rozformowaniu komunizmu, dało źródło podobnym patologiom. Tyle że nasze państwo mafijne budowali esbescy i nawróceni na kapitalizm baronowie PZPR. Prawda jest jednak taka, że stopień uzależnienia państwa od zorganizowanej przestępczości chyba nigdzie nie postąpił tak daleko jak we Włoszech.

Prowadzi nas więc John Dickie przez dzieje operacji finansowych i zwykłych mordów, przez

zamachy bombowe i imperium łapówek, sporo miejsca poświęcając temu, jak wielką okazją do rozrostu mafii była zimna wojna (wspomnijmy – to mafia pomagała przygotować amerykańską inwazję na Włochy). Apogeum jej rządów mamy za sobą (były to lata 80.), ale wojny z tym wrogiem nie udało się wygrać, od czasu do czasu zdarzają się jedynie sukcesy polityki powstrzymywania.

„Ogromna część Włoch jest dysfunkcyjna” – pisał, zamykając swą książkę w 2013 r. brytyjski historyk. „Aparat państwowy pogrążają osoby nieudolne, podatne na patronat i korupcję”. Dickie wytyka też Włochom nieefektywną pracę i marnotrawstwo oraz niewłaściwe wybory polityczne. Bardzo nie lubi Silvia Berlusconi, ale zauważmy, że zainstalowany po jego obaleniu przez Unię Europejską rząd technokratów też za wielu sukcesów nie odniósł (chyba że w potakiwaniu Brukseli). Marzy mi się część

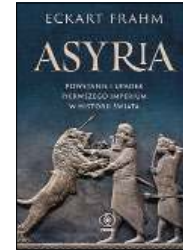
trzecia pracy Dickiego, o wydarzeniach z XXI w., a szczególnie o roli mafii w rozkręcaniu biznesu migracyjnego. To, co dla naiwnych pięknoduchów jest sukcesem obrońców praw człowieka, dla mafii jest wszak strumieniem taniej siły roboczej oraz lewej gotówki za paszporty i przerzut do Europy. ©©



★★★★★
JOHN DICKIE
„WŁOSKA MAFIA”
CZARNA OWCA
2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Istniało zaledwie przez stulecie, ale pamięć o nim przetrwała tysiąclecia. Wedle niemieckiego historyka Asyria zasługuje na miano pierwszego imperium w dziejach. Swą tezę uzasadnia barwnie napisanym wywodem.



ECKART FRAHM
„ASYRIA”
REBIS

Niegdyś poważny kandydat do literackiego Nobla, dziś pisarz niesłusznie zapomniany. Skaleń jego talentu przypominają obszerny wybór najlepszych opowiadań z tomów wydanych w Polsce plus teksty dotąd niezbrane.



ANTONIO TABUCCHI
„PRZYSZEDŁEM DO CIEBIE, ALE CIĘ NIE ZASTAŁEM”
PIW

Prom „Challenger” eksplodował podczas startu w 1986 r. Pamięć o tej katastrofie została potem wyparta przez tragedię promu „Columbia”. Ale to w historii „Challengera” kryją się korzenie porażki zbyt ambitnego programu.



ADAM HIGGINBOTHAM
„KATASTROFA CHALLENGERA”
WYDAWNICTWO SQN

„Czesław Miłosz i Polska 1918–1939” – analiza źródeł i dziejów niepokojącego wielu sporu poety z... no właśnie: z polskością czy po prostu z II RP, której serdecznie (niekiedy słusznie) nie cierpiał? Lektura obowiązkowa.

recenzuje Piotr Gociek



KRZYSZTOF KŁOC
„BIAŁORUSIN, KTÓRY UDAJE LITWINA”
WYDAWNICTWO OMP

KOMIKS TYGODNIA: PSYCHONAUCI

A może szukamy obcych nie tam, gdzie trzeba? W nowym komiksie autora „Alchenita” nawiązanie kontaktu następuje nie poprzez kosmiczne podróże, lecz jak u Philipa K. Dicka dzięki substancjom psychoaktywnym. Fabuła zaś gna od dżungli peruwiańskiej, przez Detroit, do



RAFAŁ SPÓRNA
„OKO HORUSA”
WYDAWNICTWO KURC 2024

odległych światów. Opowieść mroczna, oryginalna graficznie, na poważnie.

Piotr Gociek



Z Péterem Szijjártó, węgierskim ministrem spraw zagranicznych i handlu rozmawia Łukasz Warzecha

Polska ma poważny problem z rządami prawa

ŁUKASZ WARZECHA: Jak opisałby pan dzisiaj stan relacji polsko-węgierskich?

PÉTER SZIJJÁRTÓ: Gdyby zapytać przeciętnego Węgra, jak widzi relacje z Polską i jakie ma odczucia względem Polaków, byłoby jasne, że nie jest to ani przyjaźń, ani przymierze strategiczne, ale braterstwo. Braterstwo mające źródła w historii. Zatem na naród polski patrzymy jako na naród bratni, niezależnie od poli-

tycznych epizodów, które miały miejsce w ostatnim czasie.

Braterstwo to bardzo mocne słowo. Można nawet powiedzieć, że niemieszczące się w kategoriach polityki realnej.

To faktycznie coś bardzo rzadkiego i dlatego zgadzam się, że tego pojęcia trzeba używać oszczędnie i ostrożnie, jednak zdecydowanie tak właśnie scha-

rakteryzowałbym nasze relacje. Dlatego właśnie te relacje są w stanie przetrwać okresy takie jak obecny. Gdyby nie były wystarczająco silne, zostałyby zniszczone przez tych, którzy to właśnie próbowali osiągnąć.

Jaka jest różnica między stosunkiem poprzedniego rządu, kierowanego przez PiS, do Węgier a obecnego rządu koalicji pod przywództwem Do-



my, że wy, z waszej, polskiej, perspektywy, postrzegacie sprawę w określony sposób. My natomiast patrzymy z nieco innej, węgierskiej perspektywy. To jednak nie jest problemem, jako że wy nie jesteście Węgrami, więc nie możemy od was oczekiwać, że będziecie podzielać naszą perspektywę. I odwrotnie: my nie jesteśmy Polakami, więc wy nie powinniście oczekiwać, że my podzielimy waszą.

Dlatego, choć z poprzednim rządem dzieliło nas spojrzenie na wojnę na Ukrainie, mieliśmy dla siebie nadal szacunek. Nie pojawiały się żadne personalne insynuacje, żadne osobiste obraźliwe akcenty, żadne działania biorące się z chęci odwetu albo frustracji. Dla odmiany obecny rząd uznał za cel nieustannie obrażanie nas, przenoszenie sporu na poziom bardzo osobisty, prezentowanie niemile sformułowanych stanowisk oraz ewidentnie nie uznaje tej naszej specjalnej relacji za coś godnego szacunku. To jest zasadnicza różnica między podejściem obu rządów.

Czy sprawa wiceministra Romanowskiego nie powoduje, że nie sposób tej relacji nie przenosić właśnie na poziom personalny?

Przede wszystkim warto przypomnieć, że premier Tusk nigdy nie zostałby przewodniczącym Rady Europejskiej, gdyby nasz premier się na to nie zgodził. A jako że pracuję z naszym premierem już od 19 lat, pamiętam te stare czasy, gdy obaj panowie spotkali się po raz pierwszy i nawiązali ze sobą całkiem dobre osobiste stosunki. Tymczasem teraz pan Tusk zachowuje się w sposób osobiście bardzo wrogi wobec premiera Orbána, naszego rządu i naszego kraju. Czego bardzo żałujemy, ponieważ uznajemy, że nie daliśmy żadnego powodu do takiego zachowania.

Gdy idzie o byłego wiceministra sprawiedliwości – była to czysto prawna decyzja. Pan Romanowski miał zostać aresztowany w Polsce mimo posiadaniego przez niego immunitetu Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Taka sytuacja pokazuje, że w danym kraju jest poważny problem z rządami prawa i nie jest zapewnione prawo do bezstronnego procesu. W ten sposób ocenił te okoliczności nasz system prawny. Nie było w tym nic z decyzji politycznej.

nalda Tuska? Ktoś mógłby powiedzieć, że poziom wrogości rządu PiS po 24 lutego 2022 r. wobec Budapesztu nie różnił się od obecnego poziomu wrogości.

Jest oczywiste, że w przypadku wojny na Ukrainie widzimy sprawę odmiennie. Skoro jednak jesteśmy innymi krajami, z innym położeniem geograficznym, z odmienną historią, to trzeba to po prostu uwzględnić i uszanować. Rozumie-

Premier Orbán udzielił dopiero co wywiadu dziennikowi „Zürcher Zeitung”, w którym stwierdził, że „Bruksela jest dla Węgier większym zagrożeniem niż Moskwa”. Takie stwierdzenie może się wielu Polakom wydawać szokujące. Czy może pan to wyjaśnić?

Jako część Unii Europejskiej bierzemy udział w debacie o tym, jak UE powinna wyglądać w przyszłości. Z Brukseli wychodzą tendencje zmierzające do stworzenia federalnego superpaństwa, imigracja jest uznawana za korzystną, suwerenność jest odbierana niektórym krajom i narodom, a agresywna propaganda LGBT jest częścią normalności. Naszym zdaniem wszystko to jest bardzo groźne zarówno dla samych Węgier, jak i dla integracji europejskiej w ogóle. Gdy zaś chodzi o Rosję – nie jesteśmy

Z Brukseli wychodzą tendencje zmierzające do stworzenia federalnego superpaństwa

jej częścią, nie musimy się z nią spierać o przyszłość Europy i integrację. Zatem ci, którzy zasiadają w Brukseli, mają na naszą przyszłość znacznie większy wpływ niż jakikolwiek kraj trzeciej, wliczając w to Rosję.

Czy może pan wytłumaczyć, na czym Węgrzy opierają swój obecny stosunek do Rosji? Wielu Polaków jest tym zaskoczonych, wzięwszy pod uwagę choćby krzywdy, których doznaliście z ręki Rosjan podczas tłumienia waszego narodowego powstania w 1956 r. A jednak dzisiaj po prostu robicie z Moskwą interesy.

O sprawach historycznych mamy bardzo jasne zdanie. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że jest ono bardzo podobne do waszego. Cierpieliśmy 40 lat pod komunistycznym reżimem. Wątpię, by choć jedna węgierska rodzina nie doznała krzywdy w czasie tych czterech dekad. Mamy największy szacunek dla naszych bohaterów narodowych, którzy walczyli w 1956 r. o wolność, swobodę oraz suwerenność kraju. Jednak gdy mowa o bieżących relacjach z Rosją, patrzymy na nie z punktu widzenia czasu obecnego i przyszłego.

■ Czyli oddzielacie aspekt historyczny od aktualnego wymiaru polityki?

Mamy szacunek dla historii, ale bieżącą politykę robimy z uwzględnieniem przyszłości. Tutaj się zapewne różnimy, ale nie widzimy szans na to, aby dało się Rosję wyjąć poza nawias w kontekście przyszłości naszego kontynentu czy regionu. Rosja tu będzie, pozostanie, będzie częścią rzeczywistości międzynarodowej. Stąd chcemy utrzymywać z Rosjanami racjonalny dialog, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że Rosja jest dla nas kluczowa, gdy idzie o bezpieczeństwo dostaw surowców energetycznych. Wasza sytuacja jest odmienna, wy macie dostęp do morza, my natomiast jesteśmy mniejszym krajem, bez dostępu do portów morskich i zależnym od innych w kwestii dostaw energii. Owszem, zrobiliśmy, co się dało, aby zdwersyfikować dostawy, ale jesteśmy pod tym względem zależni od naszych sąsiadów. A jako że nasi sąsiedzi i ich sąsiedzi nie poczynili odpowiednich inwestycji, wciąż jesteśmy zależni od rosyjskich źródeł. Nie chodzi tutaj o nasze zapatrywania polityczne, ale o fizykę, geografę i twardą rzeczywistość. Bez rosyjskich źródeł nie byłibyśmy w stanie zaopatrywać naszego kraju. I tutaj muszę powiedzieć coś, co się być może polskim czytelnikom nie spodoba, ale jeśli chodzi o naszą obecną energetyczną i gospodarczą współpracę z Rosją, to na Rosjanach można absolutnie polegać. Nigdy nas nie zawiedli na tym polu, nie zerwali kontraktu, wypełniali zobowiązania i tym samym zapewniali nam bezpieczeństwo energetyczne oraz wzrost gospodarczy.

Gdyby w przyszłości pojawiła się możliwość uniezależnienia się od rosyjskich źródeł, skorzystalibyście z niej?

To zależy od dwóch kwestii: czy te nowe źródła byłyby tańsze oraz pewniejsze. Bo gdyby były droższe i mniej pewne, dlaczego mielibyśmy na nie przechodzić? Szukaliśmy alternatyw, jesteśmy gotowi na zapoznanie się z lepszymi ofertami, ale do tej pory każda z nich była właśnie albo droższa, albo bardziej niepewna, albo jedno i drugie. Gdybyśmy taką gorszą ofertę przyjęli, ostatecznie musielibyśmy stanąć przed ludźmi i wyjaśniać im, dlaczego brakuje im gazu albo benzyny. A tego nikt nie chce.

Od momentu wybuchu wojny prowadzimy największą operację humanitarną. Nigdy nie zostało to przez nikogo docenione

Powiedział pan, że Rosja tu jest i pozostanie. Czy uważa pan, że my, jako Europa, włączając Polskę, jesteśmy w stanie ponownie ułożyć sobie z Rosją przynajmniej poprawną relację, bez wrogości?

Ponieważ tak już kiedyś było, mam nadzieję, że te czasy wrócą. Nie dawniej, jak osiem lat temu ówczesna kanclerz Niemiec mówiła o strefie współpracy gospodarczej od Lizbony do Władywostoku. I był okres, gdy taka współpraca trwała bez większych zakłóceń. Powtarzam: skoro było to raz możliwe, to jest również możliwe w przyszłości. Tak byłoby lepiej dla nas wszystkich.

Jak z węgierskiego punktu widzenia postrzegacie Ukrainę?

Od momentu wybuchu wojny prowadzimy największą operację humanitarną. Nigdy nie zostało to przez nikogo docenione – choć nie dla docenienia to robimy – ale przyjęliśmy 1,3 mln uchodźców, daliśmy im pełny dostęp do węgierskiej opieki zdrowotnej, systemu edukacji czy rynku pracy. Byliśmy dostawcą numer jeden elektryczności dla Ukrainy, niezależnie od tego, że Ukraina sprawiła nam ogromne problemy, gdy idzie o dostarczanie nam surowców energetycznych. Jednak mamy co do naszych relacji poważne obawy, wzięwszy pod uwagę, że Kijów istotnie narusza prawa węgierskiej mniejszości od 2015 r. i sytuacja w tym względzie się nie poprawiła mimo wielu ich obietnic oraz zobowiązań. I choć wiedzą, że jesteśmy im potrzebni, gdy idzie o integrację z UE, to zachowują się zwykle bardzo niegrzecznie i agresywnie. Nie rozumiemy tego.

Jaki jest realistyczny wariant zakończenia walk na Ukrainie, wzięwszy również pod uwagę nowy czynnik, którym jest przejęcie władzy w USA przez Donalda Trumpa?

Mamy nadzieję, że zmiana, którą w światowej polityce wprowadził

prezydent Trump, przyniesie również zmianę na Ukrainie. Sytuacja tam ma się bowiem tak, że rzeczywistość pola walki wyraźnie sprzyja Rosji. Rosjanie posuwają się naprzód każdego dnia. W tej chwili kontrolują ok. jednej piątej terytorium Ukrainy. Zachodnia wspólnota w zasadzie dotarła do granicy swoich możliwości. Daliśmy Ukrainie wszelkie możliwe uzbrojenie oraz tyle pieniędzy, ile byliśmy w stanie, a niewiele to zmieniło – nadal Rosja ma przewagę. Zatem z każdym kolejnym dniem tej wojny Ukraina staje się słabsza, Ukraińcy bardziej cierpią, coraz więcej ich umiera i coraz więcej ucieka z kraju. Aby zapewnić temu państwu bezpieczną przyszłość, wojnę należałoby zakończyć praktycznie natychmiast i powinny się rozpocząć negocjacje na temat możliwego do utrzymania pokoju. I my, i wy żyliśmy w cieniu wojny od trzech lat, kosztowało nas to wiele w sensie ekonomicznym i byłibyśmy znacząco odciążeni, gdyby wojna się zakończyła.

Czy Węgry wysłałyby swoje wojska na linię demarkacyjną, aby przypilnować pokoju na Ukrainie?

Na samym początku podjęliśmy jasną decyzję: żadnej broni i żadnych wojsk z naszej strony. Jedynie pomoc humanitarna.

Co jeszcze ważnego zmieni na świecie zwycięstwo Donalda Trumpa?

Przede wszystkim znacznie straciła na sile ideologia woke – i to jest wspaniała wiadomość. Ideologia woke zrodziła szalone pomysły i te wcielone w życie szalone pomysły za jej sprawą stały się częścią normalności. Bardzo się cieszymy, że prezydent Trump podjął działania na rzecz przywrócenia zdrowego rozsądku. Jesteśmy zadowoleni, że odcięte zostało finansowanie tych wszystkich organizacji na świecie, które szerzyły wokeizm. Bardzo na ich działalności ucierpieliśmy na Węgrzech. Demokratyczna administracja zainwestowała wiele w naszych oponentów: partie polityczne, organizacje pozarządowe, media. Dostawali dziesiątki milionów dolarów – i to się teraz skończyło. Dobrze też, że prezydent Trump zakończył mieszanie się w sprawy wewnętrzne innych państw. Objęcie władzy przez Donalda Trumpa oznacza również, że musi się skończyć ta szalona

polityka proimigracyjna. Węgry ochroniły swoją granicę w ciągu ostatnich ponad 10 lat przed ponad 500 tys. migrantów, ale musieliśmy wytrzymać ogromną presję w tej sprawie ze strony mainstreamu. Wreszcie koncentracja na rodzinie. Rodzina jest dla Polaków ważną sprawą i to nas łączy. Objęcie władzy przez prezydenta Trumpa oznacza, że skończyły się próby eliminacji rodziny jako instytucji.

To kwestie ideologiczne. A co z politycznymi albo gospodarczymi?

W sferze gospodarczej mamy również duże oczekiwania. Jesteśmy narodem handlującym. Eksport to u nas zwykle od 75 do 85 proc. PKB. Dlatego właściwe działanie globalnego systemu handlu jest kluczowe. A wiemy, że prezydent Trump jest skupiony na zawieraniu umów i osiąganiu celów. Jego pierwsza kadencja pokazała, że jest w stanie zawierać umowy nawet tam, gdzie sprawa wydaje się beznadziejna. Nikt nie sądził, że Zjednoczone Emiraty Arabskie i Bahrajn podpiszą wspólnie z Izraelem Porozumienia Abrahamowe. Nikt się nie spodziewał, że Waszyngton będzie tak blisko podpisania umowy handlowej z Chinami i zapewne gdyby Donald Trump zdobył wówczas od razu drugą kadencję, sprawa zostałaby dopięta. Dlatego spodziewam się, że teraz zostaną zawarte naprawdę korzystne umowy.

Czy Budapeszt nie będzie miał jednak problemu? Z jednej strony jesteście dość blisko nowej amerykańskiej administracji, ale z drugiej macie intensywne stosunki handlowe z Chinami, a przecież administracja Donalda Trumpa zależy na tym, żeby naciskać na Europę, aby takie związki zerwała.

Nasza współpraca z Chinami opiera się na zdrowym rozsądku i realizmie. Na Węgrzech spotykają się inwestorzy z Zachodu i ze Wschodu. Jesteśmy jedynym krajem w Europie, w którym swoje fabryki mają wszyscy trzej duzi niemieccy producenci samochodów. A Niemcy ściągali na Węgry wielu chińskich inwestorów, ponieważ niemieccy producenci opierają się w dużej mierze na chińskich surowcach. Z tego, co widzę, trwa również współpraca firm chińskich z amerykańskimi. Stąd moja nadzieja, że zostanie osiągnięte porozumienie z Chinami i nie będziemy mieli wojen handlowych.

Podczas swojego wystąpienia w Parlamencie Europejskim premier Tusk mówił dużo o tym, że trzeba przyhamować Zielony Ład, trzeba opóźnić wejście w życie ETS2, trzeba być silnym wobec imigracji. Czy takie słowa ze strony przedstawiciela unijnego mainstreamu oznaczają jakąś faktyczną zmianę czy też to jedynie puste deklaracje?

Słyszeliśmy w przeszłości wiele dobrze brzmiących słów, za którymi nie poszły żadne działania. Z jednej strony mamy więc deklarację, że Europa zajmuje bardziej racjonalne stanowisko w sprawie migracji, jednak aż do ostatnich dni byliśmy pod silną presją, aby pozwolić nielegalnym migrantom na dostanie się do UE. Słyszeliśmy mnóstwo o tym, jak ograniczyć ceny energii, ale potem właśnie surowce energetyczne stawały się podstawowym polem dla sankcji przeciwko Rosji, co oczywiście skutkuje cenami energii strzelającymi

**Agresywny liberalizm
oraz agresywny wokeizm
to za dużo. Ludzie zaczęli
rozumieć, że tak się już nie da**

w kosmos. Zatem na koniec liberalny mainstream, którego częścią jest premier Tusk, zawsze wracał na dawne tory. To „brukselczyk”, który dokładnie wykonuje polecenia Brukseli, więc nie mamy tutaj wielkich oczekiwań.

Jakie jest zatem węgierskie stanowisko w sprawie Zielonego Ładu i polityki klimatycznej?

Tak długo, jak ochrona środowiska jest sprawą praktyczną, a nie ideologią – taka polityka może odnieść sukces. Gdy tylko staje się ideologią, natychmiast zmierza ku porażce. My oczywiście chcemy chronić środowisko. Ale dla nas bycie „zielonym” to nie ideologia. Tymczasem gdy w Europie wymawia się słowo „zielony”, natychmiast wkracza właśnie ideologia, a to ogromnie przyczyniło się w ostatnim okresie do drastycznego spadku europejskiej konkurencyjności. Natomiast z naszego punktu widzenia konkurencyjność gospodarki i ochrona środowiska muszą iść ręką w rękę. Z tego powodu

korzystamy z energii jądrowej i na niej chcemy się skupiać w przyszłości. Oczywiście jest, że popyt na energię elektryczną rośnie. Samochody elektryczne, klimatyzacja, przemysł czy sztuczna inteligencja – to wszystko potrzebuje mnóstwo prądu. Jak można zatem ten popyt zaspokoić w sposób korzystny dla środowiska, tanio, stabilnie? Jedyną odpowiedzią jest energia jądrowa. Dopóki zatem „zieloni” są przeciwko energii jądrowej, dopóty jasne jest, że kierują się ideologią.

Czy możliwa jest w Europie konserwatywna kontrewolucja?

Mam taką nadzieję. Bierze się ona z faktu, że wahadło bardzo mocno wychyliło się w jedną stronę. Agresywny liberalizm oraz agresywny wokeizm to po prostu za dużo. Ludzie zaczęli rozumieć, że tak się już nie da. Zakwestionowano rzeczy całkowicie naturalne – np. to, że gdy się rodzimy, jesteśmy albo kobietą, albo mężczyzną, kropka. Gdy mowa o rodzinie – zakwestionowano to, że ojciec to mężczyzna, a matka to kobieta. To wszystko wywołuje kontreakcję. I właściwie, jeśli spojrzysz się dookoła, ta kontrewolucja już się odbywa. Mimo że w Austrii bardzo się starano utrzymać zwycięską partię z dala od rządzenia, to najpewniej utworzy ona tam rząd koalicyjny. Czesi będą głosować we wrześniu i bardzo prawdopodobne, że powróci premier Babiš. Patrząc na sondaże dotyczące Polski, widzę, że gdyby wybory odbyły się w Polsce dzisiaj, PiS i Konfederacja mogłyby razem uzyskać większość w Sejmie. Partia pani Le Pen otrzymała ostatnio we Francji milion głosów więcej niż następna w kolejności, a o tym, że nie rządzi, zdecydowała jedynie specyficzna ordynacja wyborcza. We Włoszech rządzi pani Meloni, stojąc na czele prawicowej koalicji. Na Słowacji wciąż dobrze się trzyma premier Fico mimo kierowanych przeciwko niemu potężnych ataków. Patriotyczne ugrupowanie prowadzi w sondażach w Holandii. Reform UK staje się coraz silniejsza. Zatem sądzę, że pod przywództwem prezydenta Trumpa może mieć miejsce wielka prawicowa rewolucja, nie tylko w Europie, lecz także na całym świecie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Kres

„genderowych gier”



Filip Memches

W obliczu wyzwań, które czekają Amerykę, nie może ona liczyć na wychowane w narcystycznej kulturze jednostki, które zastanawiają się nad tym, czy są „binarne” czy „niebinarne”. Ci ludzie nie wydają się skory do zajmowania się czymś więcej niż własnymi tożsamościowymi rozterkami



FOT. ALEX BRANDON/AP/EIST NEWS

Haniebne słowa Donalda Trumpa. Ryzykuje zdrowiem i życiem ludzi”. Ten tytuł tekstu na Onecie to przykład jednego z wielu komentarzy do inauguracyjnego wystąpienia nowego prezydenta USA, które pojawiły się w polskich lewicowo-liberalnych mediach. Tym, co tak bardzo oburzyło polskich progresistów, było m.in. ogłoszenie przez Trumpa decyzji o odejściu oficjalnej polityki amerykańskiej od genderystowskich teorii, które przyświecały ekipie jego poprzednika.

Warto od razu choćby przypomnieć, że urząd zastępcy sekretarza zdrowia w administracji Joe Bidena sprawowała osoba transpłciowa – adm. Rachel Levine, urodzona jako Richard Levine. I trudno było mianowanie na to stanowisko w roku 2021 kogoś takiego – człowieka wyzywająco manifestującego swoją odmienną – interpretować inaczej niż jako wyraz konfrontacyjnej wobec konserwatystów (a może po prostu wobec

normalnych, zwykłych ludzi) politycznej afirmacji mniejszości seksualnych.

Tymczasem Trump obwieścił: „Są tylko dwie płcie – mężczyźni i kobiety”. Dziś w uszach progresistów różnych krajów brzmi to jak bluźnierstwo. Nie inaczej jest podczas rozmaitych debat w Polsce. Przykładem może być dyskusja, która się odbyła wiosną 2024 r. na antenie TVP Kultura, w jednym z odcinków programu „Hala odlotów”. Tematem rozmowy w studiu była tzw. nowa męskość.

WŁOŻYĆ KIJ W MROWISKO

W pewnym momencie głos zabrał socjolog i publicysta Jarema Piekutowski. Jak można domniemywać, autorzy programu chcieli go obsadzić w roli konserwatysty, który miał się różnić w poglądach od reszty uczestników dyskusji, ale bez przesady. Wydawało się, że Piekutowski spełnił te oczekiwania, bo zachowywał się koncyliacyjnie wobec siedzących z nim przy stole feministek. Powiedział, że to, co zawsze

uchodziło za cechy męskie – czyli siła, odwaga, sprawczość – teraz uchodzi za cechy zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Wtedy dziennikarka prowadząca program, Katarzyna Janowska, kategorycznie dodała: „I wielu innych płci”, wykazując się w ten sposób iście rewolucyjną czujnością. Choć wypada nadmienić, że teoria mnogości płci powoli traci rewolucyjne ostrze, bo stała się salonową modną bzdurą.

Pod koniec dyskusji do grona rozmówców dołączył jednak Stefan Chwin, który poniekąd włożył kij w mrowisko. Ten znany prozaik stwierdził: „Bardzo niepokoję się tym wszystkim, o czym państwo tutaj mówili. O tym, jak jednak sytuacja pokojowa pozwala nam na genderowe gry. Natomiast jak się pojawia ta bestia, która chodzi po świecie, to wtedy okazuje się, że wszystkie te nasze subtelne wyobrażenia rozsypują się zupełnie”.

A przecież Chwin nie uchodzi za konserwatystę. Jego opinie można interpretować jako głos liberalno-kosmo-

politycznego Europejczyka, który bardzo krytycznie ocenia polską prawicę, zarzucając jej wojujący nacjonalizm. To pisarz, którego lansuje „Gazeta Wyborcza” jako autorytet. Biorąc jednak pod uwagę jego przytoczone wyżej słowa, chciałoby się rzec: oto co z człowiekiem robi świadomość realnego niebezpieczeństwa wojennego (czyli owej „bestii”), skądinąd podyktowana też ogromnym doświadczeniem życiowym (Chwin jest bowiem dużo starszy od osób, z którymi przyszło mu konwersować w „Hali odlotów”).

Skoro teoria gender rozpowszechniła się na Zachodzie, bo pozwoliła jej na to sytuacja pokojowa, to warto spojrzeć w przeszłość. Walka o „prawa” osób transpłciowych jest tylko kolejnym etapem rewolucji kulturowej, która przeorała mentalnie społeczeństwa krajów zachodnich w drugiej połowie XX w. Ale znamienne, że stało się to po drugiej wojnie światowej. Państwa zachodnie najpierw gospodarczo stanęły na nogi, a potem weszły w fazę rosnącego dobrobytu, który przypadł w udziale ogółowi ich obywateli. Następnie zaś wygrały zimną wojnę, udowadniając blokowi wschodniemu wyższość swoich rozwiązań politycznych i ekonomicznych nad realnym socjalizmem.

Rosnąca stopa życiowa w krajach zachodnich oznaczała, że wiele problemów, z którymi borykały się społeczeństwa kapitalistyczne jeszcze w pierwszej połowie XX stulecia, udało się rozwiązać. Na Zachodzie zniknęły choćby połacie nędzy (co bynajmniej nie oznacza, że nastał ziemski raj). Możliwe to było dzięki rozwojowi gospodarczemu, napędzanemu nie tylko ciężką pracą w fabrykach, lecz także wdrażaniem w produkcję przemysłowej rozmaitych innowacji. A te wzięły się ze zdobyczy nauk ścisłych i technicznych. Grupą zawodową, która odegrała ważną rolę na tym polu, okazali się inżynierowie.

W warunkach pokoju i rosnącego dobrobytu wytworzył się jednocześnie w krajach zachodnich podatny grunt pod zmiany kulturowe. Wtedy do gry o wpływ na politykę wkroczyli przedstawiciele nauk humanistycznych i społecznych. To z nich rekrutowali się propagatorzy tzw. teorii krytycznej – intelektualnego narzędzia, które miało służyć m.in. demaskowaniu rzekomo represyjnych struktur ukrytych za fasadą

Odchodzi czas przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych, a znów nadchodzi czas inżynierów

bogatych społeczeństw konsumpcyjnych. Sformułowano koncepcję, w której zachodni paradygmat cywilizacyjny przedstawiony został jako władza białych, heteroseksualnych mężczyzn ciemniejących czarnych, mniejszości seksualne, kobiety.

W krajach zachodnich teoria krytyczna podbijała uniwersytety, kulturę, media. Rozpoczął się jej „marsz przez instytucje”. Choć w założeniach teoria krytyczna była wymierzona w kapitalizm, to zarazem weszła z nim w symbiozę. Bunt przeciw tradycyjnym normom społecznym, którym na Zachodzie hołdują konserwatywnie usposobieni mieszkańcy, okazał się, jako topos popkultury, łakomym kąskiem dla show-biznesu.

Rezultatem długotrwałego procesu przenikania teorii krytycznej do amerykańskiego życia publicznego stała się przyjmowana przez korporacje strategia DEI, czyli diversity, equity, inclusion (różnorodność, równość, inkluzywność). Oto w USA szefowie wielkich firm doszli do wniosku, że mogą one zyskać na tym, iż wykrócą poza swoją dotychczasową działalność i zaangażują się w walkę z rasizmem, „homofobią”, „seksizmem”. Miałoby to tym podmiotom w zamian przynieść uznanie ze strony lewicowych elit intelektualnych – bądź co bądź pochodzących do nich podejrliwie, bo żywiących przekonanie, że kapitalizm to wyzysk. I tak w korporacjach zaczęto przywiązywać ogromną wagę do przestrzegania zasad poprawności politycznej.

Establishment Partii Demokratycznej i wspierające go rozmaite środowiska opiniotwórcze sprzyjały tym wszystkim tendencjom. Dążyły do tego, żeby uczynić z Ameryki państwo DEI, dlatego że owa trzyliterowa strategia została wprowadzona choćby do wojska amerykańskiego, wskutek czego zaczęło ono być „inkluzywne” wobec osób transpłciowych i „niebinarnych” (a więc takich, jak wspomniana na początku niniejszego tekstu adm. Levine). W tym kontekście

do rangi symbolu urasta decyzja z roku 2022 o mianowaniu na stanowisko rzecznika prasowego Białego Domu Karine Jean-Pierre – nie tylko kobiety, lecz także czarnej i zdeklarowanej wojującej lesbijki. Ten właśnie samobójczy trend Trump postanowił zastopować.

W INTERESIE ROSJI I CHIN?

Jeśli w swoim inauguracyjnym przemówieniu prezydent USA zapowiedział „rewolucję zdrowego rozsądku”, to oznacza to tyle, że owo pogrążone w kłopotach gospodarczych państwo z pozycją międzynarodową, która osłabła w ciągu minionego czterolecia, nie może sobie już pozwalać na ideologiczne ekscentryzmy w polityce. Dlatego że pozimnowojenna epoka pokoju się skończyła. Wróciła rywalizacja mocarstw. Upraszczając, można ten stan rzeczy ująć i tak, że odchodzi czas bujania w obłokach, czyli przedstawicieli nauk humanistycznych i społecznych, a znów nadchodzi czas twardego stąpania po ziemi, czyli inżynierów.

W obliczu wyzwań, które czekają Amerykę, nie może ona liczyć choćby na tę część politycznej klienteli Partii Demokratycznej, którą stanowią wychowane w narcystycznej kulturze jednostki, zastanawiające się nad tym, czy są „binarne” czy „niebinarne”. Ci ludzie nie wydają się skorzy do zajmowania się czymś więcej niż własnymi tożsamościowymi rozterkami.

Dlatego być może państwami szczególnie zainteresowanymi tym, żeby Amerykanie oddawali się teorii gender, są Federacja Rosyjska i Chińska Republika Ludowa. Zgodnie bowiem z zasadami wyłożonymi w starożytnym traktacie chińskim „Sztuka wojny” Sun Zi, wroga najlepiej jest pokonać, rozbijając go moralnie od wewnątrz. Dewastacja tradycyjnych norm społecznych przez wdrażanie agendy LGBT prowadzi właśnie do tego celu.

Z kolei w Polsce pozostaje mieć nadzieję, że „rewolucja zdrowego rozsądku” okaże się zbędna. Nad Wisłą nie dotarły bowiem jeszcze sankcjonowane prawnie ekscesy obyczajowe – takie jak „małżeństwa” jednopłciowe – więc nie ma w tej kwestii czego odwracać. Jeśli ludzie pokroju Stefana Chwina zdają sobie sprawę z tego, że czas „genderowych gier” minął, to świadczy to o tym, że „zdrowy rozsądek” nie jest domeną prawicowej „bańki”. © Wszelkie prawa zastrzeżone



Tomasz Cukiernik

Polemika z tezami wygłoszonymi przez Konrada Szymańskiego, byłego europoła i ministra do spraw Unii Europejskiej w rządzie PiS, w wywiadzie „Błąd pustego radykalizmu”, który został opublikowany w „Magazynie na Weekend Dziennika Gazety Prawnej” 3 stycznia 2025 r.

Z wywiadu można wywnioskować tezę, że bronienie polskiego interesu narodowego jest radykalizmem. Czy więc mamy zgadzać się na coraz bardziej zaostrzaną, szkodliwą i kosztowną dla nas politykę Unii Europejskiej i najlepiej z uśmiechem oraz w podskokach ją realizować, tak jak to robi aktualny rząd? Pytanie zasadnicze brzmi: Czyją rację stanu realizuje Bruksela? Być może niemiecką, być może interes międzynarodowych korporacji i finansjery, ale na pewno nie jest to polska racja stanu. No więc w imię czego mamy się na to wszystko zgadzać? Szymański twierdzi, że postulat wypowiedzenia Zielonego Ładu jest nierealny. I nie uzdrowiłoby to polskiej gospodarki. Ale tu nie chodzi o uzdrowienie, tylko o przestanie ponoszenia wysokich i niepotrzebnych kosztów, co powoduje, że gospodarka staje się coraz mniej konkurencyjna. A skoro można było Zielony Ład podpisać, to można go również wypowiedzieć. Pytanie dotyczy raczej konsekwencji takiego działania. To trzeba by oczywiście przemyśleć i się na to gruntownie przygotować, a nie jak te barany iść na unijną rzeź.

Szymański sugeruje konieczność brnięcia w politykę Zielonego Ładu, a tymczasem nowy prezydent USA Donald Trump już wycofuje swój kraj z polityki klimatyizmu i wraca do paliw kopalnych. Co więcej, w ten sam sposób zaczynają śpiewać nawet do tej pory najwięksi zwolennicy klimatyizmu, którzy wcześniej zobowiązali się do lokowania inwestycji zgodnie z celami klimatycz-



Sekretarz stanu do spraw europejskich Konrad Szymański i premier Mateusz Morawiecki w Brukseli, czerwiec 2018 r.

FOT. GAETAN CLAESSENS/EUROPEAN UNION

Polski interes to radykalizm?

nymi. Z sojuszu klimatycznego skupiającego banki wystąpiły Goldman Sachs, Wells Fargo, Citigroup, Bank of America, Morgan Stanley i JPMorgan Chase, a z sojuszu klimatycznego zarządzającego aktywami wycofały się dwie największe na świecie firmy branży BlackRock i Vanguard. W ostatnim czasie na całym świecie słabnie też trend inwestowania zgodnego ze zrównoważonym rozwojem. Efektem będzie jeszcze większa przepaść rozwojowa pomiędzy USA a UE, bo przewodnicząca KE Ursula von der Leyen stwierdziła ostatnio, że w kwestii polityki klimatycznej „Europa utrzyma obrany kurs”.

WĘGIEL ZAPEWNI SUWERENNOŚĆ ENERGETYCZNĄ

Zgadzam się z Szymańskim, że „alternatywą nie jest węgiel, który już dziś sprowadzamy za miliardy złotych z zagranicy”. Bo import węgla zamiast wydobywania go na miejscu oznacza, że rezygnujemy z suwerenności energetycznej. Aby ją zachować, w energetyce musimy wykorzystywać własny węgiel, a nie importowany. Dlatego górnictwo potrzebuje deregulacji i prywatyzacji, a nie likwidacji. Niestety, wszystkie kolejne rządy prowadziły narzuconą w Brukseli politykę w kierunku zmniejszania mocy wydobywczych i rezygnacji z inwestycji w górnictwie. Dotowano i nadal dotuje się nie inwestycje w nowe ściany wydobywcze, a ograniczanie mocy wydobywczych, które mają prowadzić do zamknięcia kolejnych zakładów górniczych.

Natomiast Szymański optuje za rezygnacją z węgla, co oznacza utratę suwerenności i bezpieczeństwa energetycznego oraz katastrofę dla polskiej energetyki i całej gospodarki. Farmy wiatrowe i fotowoltaiczne nie mogą zastąpić węgla, bo nie są to moce stabilne, a pogodozależne, którymi nie da się sterować według bieżącego zapotrzebowania. Węgiel może zostać zastąpiony przez źródła zasilane gazem lub atomem. Problem w tym, że gazu nie mamy w wystarczających ilościach, a uranu w ogóle się w Polsce nie wydobywa. W rezultacie Zielony Ład oznacza zamianę wydobywania węgla na import gazu i uranu, czyli pogodzenie się z utratą suwerenności energetycznej. Na dodatek bloki węglowe są zamykane już teraz i będą w najbliższych latach, a pierwsza

elektrownia atomowa ma zacząć pracować w pełnej mocy najszybciej za jakieś 15 lat, a i to nie jest pewne. Ta jedna elektrownia na Pomorzu będzie w stanie zastąpić... 11 proc. mocy węglowych. Co z resztą?

Z kolei technologia wielkoskalowych magazynów energii, które teoretycznie mogłyby magazynować nadmiar wyprodukowanej energii przez farmy wiatrowe i fotowoltaiczne, by zasilać sieć w czasie braku wiatru i słońca, nie istnieje. Największy w Polsce i jeden z największych w Europie baterijny magazyn energii, który w 2026 r. w Żarnowcu planuje uruchomić Polska Grupa Energetyczna, będzie w stanie zmagazynować ilość energii, której równowartość Polska zużywa w... niecałe trzy minuty.

Oczywiście to prawda, co pisze Szymański, że polska energetyka potrzebuje zmian i inwestycji. Pracujące do dzisiaj wybudowane za Polski Ludowej bloki węglowe o sprawności na poziomie ok. 30 proc. zużywają za dużo węgla. Ale właśnie w to miejsce potrzebujemy nowoczesnych bloków energetycznych o sprawności dochodzącej do 50 proc., które przecież podlegają unijnym normom wynikającym z konkluzji BAT, co powoduje konieczność stosowania instalacji oczyszczania spalin, takich jak instalacje

Najważniejsze jest to, że będąc poza UE, nie musielibyśmy wdrażać tysięcy regulacji kosztownych dla kieszeni przeciętnego Polaka i gospodarki

odsiarczania, elektrofiltry czy instalacje redukcji tlenków azotu. Takim nowoczesnym blokiem energetycznym miał być blok Ostrołęka C o sprawności na poziomie 46 proc., którego budowę wstrzymało, marnując co najmniej 1,3 mld zł. W takim bloku przy spaleniu takiej samej ilości węgla i emisji takiej samej ilości dwutlenku węgla można wyprodukować o połowę więcej energii niż w tych PRL-owskich. W Polsce rzeczywiście ewolucyjnie następowała ta zmiana. W latach 2008–2020 uruchomiono siedem nowoczesnych

bloków węglowych na parametry nadkrytyczne: Pątnów II, Łagisza, Bełchatów, Kozienice, Opole, Jaworzno 3 i Turów. Ósmym miała być właśnie Ostrołęka C. Natomiast zamiast takiej ewolucyjnej zmiany Unia Europejska wymusza rewolucję w energetyce, której nie potrzebuje my i która będzie miała opłakane skutki w postaci ciągłych braków i nadmiarów energii w sieci prowadzących do blackoutów. Polska energetyka potrzebuje demopolizacji i deregulacji, a nie centralnego sterowania z Brukseli.

Szymański krytykuje import węgla z zagranicy. W porządku, ale pytanie zasadnicze brzmi: Dlaczego ten węgiel jest importowany? Bo krajowe wydobycie jest za drogie. A dlaczego krajowe wydobycie jest za drogie? Bo kopalnie są w rękach państwa. A dlaczego są w rękach państwa? Bo poza nielicznymi wyjątkami (np. wcześniej kopalnia Bogdanka czy kopalnia Silesia, która przez pewien czas była czeską własnością) żaden z rządów nie zdecydował się na prywatyzację i tę prywatyzację uniemożliwił. Było wielu polskich i zagranicznych inwestorów zainteresowanych polskimi złożami węgla, ale władze wołały dopłacić do zamykania kopalni kwoty rzędu setek milionów złotych z kieszeni podatników (szacuje się, że zamknięcie kopalni Krupiński kosztowało niemal miliard złotych), niż je sprzedać (choćby za symboliczną złotówkę). Skandalicznym przykładem jest casus kopalni węgla kamiennego Jan Karski. Australijska spółka GreenX Metals wygrała postępowanie arbitrażowe przeciwko Polsce w sprawie niezrealizowania z powodu blokady rządu PiS projektu budowy tej kopalni i Polska ma zapłacić ok. 1,3 mld zł odszkodowania.

Powyższe uwagi dotyczą tylko węgla kamiennego. Co innego, jeśli chodzi o węgiel brunatny, którego się nie importuje i którego mamy w dostępnych złożach na co najmniej dekady. I jest to najtańsza energia, którą możemy w Polsce produkować. Rezygnacja z tych złóż, niektóre jak Gubin czy Żłoczew są gotowe do wykorzystania, to bezpośredni cios nie tylko w stabilność działania polskiej energetyki, lecz także w polską gospodarkę, która mogłaby mieć tanią energię elektryczną, a nie ma i nie będzie miała z powodu bezmyślnej realizacji absurdalnej europolityki Zielonego Ładu, co uzasadniam

■ w mojej najnowszej książce „Sabotaż klimatyczny. Jak transformacja energetyczna rujnuje nasze życie”.

SZKODLIWE (EURO)DOTACJE

W wypowiedziach Szymańskiego przeraża mocno obecny zarówno wśród rządowej koalicji, jak i opozycji dogmat o korzyściach płynących z wykorzystania dotacji unijnych i unijnych kredytów na KPO. W jego ustach doprowadzenie do postracenia kar TSUE z wypłacanych dotacji unijnych to przejaw głupoty. A ja od dawna tłumaczę (m.in. w mojej książce „Dwadzieścia lat w Unii. Bilans członkostwa”), że niosłoby to ze sobą pozytywne skutki. Po pierwsze, nie trzeba by realizować wielu kosztownych i niepotrzebnych projektów. Wszelkobenca propaganda wmawia, że bez dotacji nic by nie powstało, co jest wierutnym kłamstwem. 97 proc. inwestycji w Polsce finansowanych jest z pieniędzy nieunijnych. Po drugie, dotacje unijne kosztują: niepotrzebna dodatkowa biurokracja, korupcja i marnotrawstwo, konieczność brania kredytów na projekty współfinansowane z dotacji, a na koniec zbudowane obiekty trzeba utrzymywać już z własnych środków. Po trzecie, dotacje ingerują w rynek, powodując chaos i nieoptymalne wykorzystanie zasobów. To (euro)urzędnicy, a nie siły rynkowe decydują, na co są wydawane dotacje. Na dodatek kupowane z dotacji towary i usługi są zwykle droższe niż nabywane bez tych pieniędzy. Po czwarte, dotacje unijne są wykorzystywane politycznie. Stają się narzędziem szantażu, o czym przekonaliśmy się wielokrotnie, kiedy grożono i wstrzymywano wypłatę należnych pieniędzy. Państwo suwerenne nie może sobie na coś takiego pozwolić. A bez unijnych dotacji i kredytów w ogóle nie byłby możliwy żaden szantaż ze strony Brukseli. To właśnie po to są te pieniądze, żeby kraje członkowskie mieć w garści. A ciągle powtarzanie, jak to korzystamy na unijnych dotacjach, tylko umacnia to narzędzie w rękach eurokratów.

Jeszcze bardziej szkodliwe są pieniądze na KPO, które powielają negatywne cechy zwykłych dotacji, a dodatkowo są szkodliwe z innych powodów. Po pierwsze, związane z nimi są tzw. kamienie milowe, które mamy wypełniać, a których nie potrzebujemy i nam szkodzą, kosztują i utrudniają życie, jak np. zielone europo-

datki czy strefy czystego transportu. Po drugie, za otrzymane pieniądze mamy robić to, czego żąda UE, czyli dekarbonizację (likwidacja energetyki węglowej, inwestycje w OZE, remonty budynków) i cyfryzację (pogłębiona inwigilacja, np. portfel tożsamości cyfrowej). Po trzecie, branie kredytów w ramach KPO oznacza wzrost zadłużenia publicznego. Co więcej, całość unijnego Funduszu Odbudowy to kredyt zaciągnięty na rynkach finansowych, który żyrowany jest także przez Polskę. W rzeczywistości Fundusz Odbudowy wymyślono po to, żeby kosztem zwy-

**Czy reliktem jest wolna
współpraca gospodarcza
bez nadmiernej interwencji
państwa?**

kłych ludzi zarobiły tzw. rynki finansowe, a Bruksela niepostrzeżenie przejęła kolejne kompetencje krajów członkowskich. Na dodatek pieniądze te mają uzależnić kraje członkowskie od finansowej krolówki i je dyscyplinować.

KORZYŚCI Z POLEXITU

Nie zgadzam się z twierdzeniem Szymańskiego, że na razie nie można mówić o państwie Europa. Unia Europejska już jest państwem federalnym mającym wszystkie atrybuty państwa (ludność, terytorium, granice, władze, osobowość prawną, walutę, nadaje obywatelstwo, prowadzi politykę zagraniczną, handlową itd.), a żadna część państwa nie może być innym państwem. Jesteśmy unijnym województwem, prowincją. Do naszego systemu prawnego musimy wdrażać wszystkie unijne dyrektywy, a rozporządzenia stosować bezpośrednio. Jednocześnie nasze ustawy nie mogą być sprzeczne z prawem unijnym. W przeciwnym razie grożą nam polityczne naciski KE i kary TSUE. Nie na tym polega suwerenność. Okazuje się, że w wielu kwestiach większą niezależność mają amerykańskie stany, a przecież nie uznajemy ich za suwerenne państwa. Większości polityków, w tym Szymańskiemu, wydaje się, że polexit to koniec świata. Nic bardziej mylnego. Poza Unią jest życie. Natomiast najważniejsze

jest to, żeby niepodległość umieć w sposób optymalny wykorzystać na rzecz interesu Polaków i polskiej racji stanu. Bo oczywiście można też rządzić w Polsce znacznie głupiej, niż robi to teraz Bruksela.

Nieprawdziwa jest też teza Szymańskiego, że „wyjście z Unii nie rozwiązałoby żadnego polskiego problemu”. Otóż rozwiązałoby wiele problemów. Przede wszystkim, by w 2050 r. dojść do urojonej zeroemisyjności, według francuskiego Instytutu Rousseau inwestycje publiczne i prywatne mają nas kosztować ponad 10 bln zł! To 15 razy więcej niż wszystkie dotacje unijne netto, które Polska otrzymała przez 20 lat, i 40 razy więcej niż KPO. Sama dyrektywa budynkowa – według rządowych wycień – ma nas kosztować ponad 1,5 bln zł! Po drugie, nie trzeba by płacić wielu europodatków, jak ETS, ETS2 i planowany ETS3. Niepłacenie tylko ETS i ETS2 oznacza dla polskiej gospodarki i kieszeni Polaków oszczędności rzędu 100 mld zł rocznie! Do tego mamy ustalone przez Brukselę cła, minimalny VAT i akcyzę na paliwa oraz papierosy, a płacimy lub będziemy wkrótce płacić także podatek od nierecyklingowanego plastiku (ok. 2 mld zł rocznie), podatek CAFE od emisji samochodów spalinyowych, graniczny podatek węglowy, opłaty od autostrad i dróg ekspresowych, podatek od rejestracji i posiadania samochodu, opłatę od uwalniania metanu, opłatę recyklingową od foliówek, opłatę od produktów jednorazowego użytku z tworzyw sztucznych, podatek opakowaniowy czy minimalny podatek od korporacji w wysokości 15 proc. Nie musielibyśmy też płacić Brukseli rosnącej z roku na rok składki członkowskiej.

Bzdurą jest twierdzenie Szymańskiego, że dzisiaj EWG byłaby nikomu niepotrzebnym reliktem. Czy reliktem jest wolna współpraca gospodarcza bez nadmiernej interwencji państwa? Jednak najważniejsze jest to, że będąc poza UE, nie musielibyśmy wdrażać tysięcy regulacji kosztownych dla kieszeni przeciętnego Polaka i gospodarki, które powodują, że firmy stają się mniej konkurencyjne. Unia w ogóle nie mogłaby się wtrącać w naszą gospodarkę. Moglibyśmy także samodzielnie regulować relacje handlowe z państwami trzecimi, kierując się wyłącznie naszymi korzyściami. Mało?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Rusofobia nas ogranicza

Jeśliby wskazać jedno miejsce na świecie, gdzie Polak mógłby odczuwać szczególną dumę z dziejów swojego narodu, to byłby to plac Czerwony w Moskwie. To właśnie tam znajduje się charakterystyczny pomnik Minina i Pożarskiego upamiętniający powstanie przeciwko polskim okupantom Moskwy w roku 1612. W miejscu tym każdy Polak może sobie uświadomić, że jego kraj nie tylko prowadził zaczepne wojny z Rosją, rywalizując z nią jak równy z równym, lecz także niekiedy wręcz odnosił przewagę.



Marcin Skalski

Jeśli najskuteczniejsze zabieganie o zachowanie polskości na Kresach wymagałoby współdziałania z Rosją, to Polaków nie powinna wówczas ograniczać rusofobia. Tymczasem zakusy na terytorium Ukrainy ma nie tylko Kreml, lecz także nasi formalni sojusznicy z Rumunii i na Węgrzech. Nie można przecież jakkolwiek zadekretować, że granice różnych państw w Europie będą zawsze takie same



ROSJA BEZ KOMPLEKSÓW

Redaktor Piotr Semka w tekście „W polityce używa się siły, ale rządy prawa są lepsze” („DRz” nr 6/2025) stawia hipotezę, że polska okupacja Moskwy jest dla Rosjan palącą raną do dziś. Jeśli tak jest w rzeczywistości, to tym gorzej co najwyżej dla samych Rosjan. Prawda jest jednak zgoła inna – Rosjanie nie mają na punkcie Polski szczególnych kompleksów, nie mają też jednak poczucia wyższości.

Aktualnie rosyjska elita raczej lekceważy Polskę jako podmiot niesuwerenny, którego kolejne rządy pielęgnują nieprzystające do rzeczywistości wyobrażenia o zmieniającym się łądzie międzynarodowym. Niestety, w tym wypadku decydecji na Kremlu się nie mylą. Gdy z kolei rosyjska propaganda podejrzewa Polskę o podjęcie jakiegś samodzielnej i wielopoziomowej akcji politycznej, choćby względem rzekomego odzyskania Lwowa, to z góry wiadomo, że to nieprawda. Oznacza to jedynie, że Rosja nie

powinna być głównym punktem odniesienia w polskiej polityce, a swój interes należałoby wreszcie definiować mniej „rosjocentrycznie” niż do tej pory. Uwzględnić rosyjski potencjał i siłę, ale bez doktrynalnego przeciwdziałania akurat temu jednemu państwu. Jakkolwiek kontrakcja względem Rosji winna mieć zatem widoki powodzenia oraz nieść dla Polski wyraźne korzyści, a nie stanowić wartość samą w sobie.

SIŁA MA PRYMAT

Zmienne realia ładu międzynarodowego to fakt, który umyka politykom i komentatorom w Polsce. Donald Trump rozpoczął kadencję od postulatu powiększenia terytorium USA o Kanadę i Grenlandię, a więc ponaddwukrotnie. 30 stycznia faworyt w tegorocznych rumuńskich wyborach prezydenckich Călin Georgescu publicznie zapowiedział rozbiór Ukrainy, przewidując powiększenie terytorium Rumunii o utracone po drugiej wojnie światowej Bukowinę i Budziak,

mocno na wyrost prorokując przy tym także odzyskanie Lwowa przez Polskę. Viktor Orbán nie patrzy na ukraińskie Zakarpacie inaczej niż po prostu jak na część Węgier, którą należy odzyskać przy pierwszej nadarzącej się sposobności.

Tymczasem redaktor Piotr Semka może najuroczyściej ogłosić wyższość prawa międzynarodowego nad prawem siły, ale rzeczywistości to ani nie zmieni, ani też trafnie nie zdefiniuje. W latach 90. od Serbii siłą oderwano Kosowo, tworząc tam de facto drugie po samej Albanii państwo albańskie. Na początku tej samej dekady Litwini siłą stłumili polską autonomię na Wileńszczyźnie, choć ta nie tylko powstała legalnie, lecz także proklamowano ją w granicach niepodległej już Litwy. Z kolei w 1993 r. litewskie wojsko otworzyło ogień do Polaków zamieszkujących podwileńską wieś Gudele, którzy bronili swej ziemi przed jej zaborem przez państwo litewskie. Elity III RP pozwalają na prześladowanie Polaków na

Kresach bądź ograniczanie ich praw, ponieważ nie rozumieją zasad rządzących stosunkami międzynarodowymi. Rodacy na terenach zabranych przez ZSRS niewiele ich przy tym interesują, postulowana jest jedynie antyrosyjska postawa elit litewskich, białoruskich czy ukraińskich, nawet jeśli oznacza to uszczerbek dla naszych braci i sióstr mieszkających w tych państwach.

HIPOKRYZJA POPŁACA

Piotr Semka porównuje Zaolzie, za którego odzyskanie słusznie jakoby przeprosiliśmy, do sowieckich zbrodni na Kresach, wskazując na naszą wyższość nad Sowietami. To ostatnie nie ulega wątpliwości, niemniej argument o przeprosinach śp. Lecha Kaczyńskiego co najwyżej świadczy o samym Lechu Kaczyńskim, a nie o braku słuszności odzyskania Zaolzia w roku 1938. Terytorialnym beneficjentem sowieckiego zaboru Kresów Wschodnich nie jest zaś Rosja, ale Litwa, Białoruś i Ukraina. Państwa te nie mają z tym faktem problemu, nawet jeśli dwa z nich zarazem są obecnie antyrosyjskie i odcinają się od dziedzictwa ZSRS. Na tej hipokryzji dobrze jednak wychodzą, choć odbywa się to kosztem tamtejszych Polaków. ©©

Na tym kończymy tę debatę.



Z Dianą Maksimiuk i Bartoszem Bajkowem
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Czym sobie Florian Czarnyszewicz zasłużył, że wpisano go na listę komunistycznej cenzury?

DIANA MAKSIMIUK: Rzeczywiście w materiałach kartotecznych po organach bezpieczeństwa Polski Ludowej przeczytamy o nim: „wróg PRL”, a o jego powieści („Losy pasierbów”), że zawiera akcenty antykomunistyczne. Zatem odpowiedź zdaje się tkwić w samej twórczości pisarza i zapewne w artykułowanych poprzez nią poglądach autora. Jego kresowa proza to literacki testament dla przyszłych pokoleń. Pomnik bytności Polaków nad Berezyną (stworzony w „Nadberezyńcach” i „Wiciku Żywicy”) nie był dla komunistów do zaakceptowania. Ich narracja, cała propaganda sowiecka zaprzeczały faktom, a Czarnyszewicz je obnażał. Jak wiemy, temat wojny polsko-bolszewickiej objęła cenzura. Również wartości chrześcijańskie, które Nadberezyńiec łączył z polskością przeciw komunizmowi, były solą w oku władzy spod znaku sierpa i młota.

Skąd się opisany wywodził?

BARTOSZ BAJKÓW: Dziadek Floriana – Ksawery Czarnyszewicz – miał pochodzenie szlacheckie i podobno wcześniej utrzymywał się z udzielania korepetycji. Jeden z jego prawnuków zapamiętał z dzieciństwa historię o tym, że Ksawery został sierotą i był wychowany przy kościele, cokolwiek to oznaczało. Ponieważ to niejasna informacja i brakuje jej potwierdzenia, nie trafiła do książki. Senior rodu ożenił się z Francuzką i wydzierżawił spory areal ziemi w Tuczach, które w powieści Florian nazwał Rogami, zapewne od charakterystycznego kształtu łączących się w tym punkcie rzeczek. Przed wielką wojną z tego samotnego chutoru otoczonego prawosławnymi, białoruskimi wioskami nastąpiła przeprowadzka do polskiego zaścianka, Przesieka – książkowej Smolarni. Ta nieodległa szlachecka miejscowość sąsiadowała ponadto również z katolickimi osadami. Prawdopodobnie już wcześniej zamieszkał w niej jeden ze stryjów Floriana – Justyn, ojciec znanego z kolejnej powieści Wicika. Po przenosinach zakupiono i wydzielono osobne włości dla pozostałych dwóch męskich potomków Ksawerego. I tak Franciszek, ojciec Floriana, rozpoczął samodzielne

Pisane z żalu i tęsknoty



FOT. POPRY/WIKIPEDIA.CE BY-SA 4.0

gospodarowanie, choć już wcześniej w Tuczach to od niego dużo zależało. Ponoć był osobą bardzo apodyktyczną, budzącą respekt wśród swoich dzieci i otoczenia.

Życiorys Czarnyszewicza zdeterminowały pierwsza wojna światowa, rewolucja w Rosji oraz konflikt polsko-bolszewicki?

B.B.: Tak, podobnie jak wielu ludzi w tamtym czasie. Ale jego najstarszy brat, Feliks, wyjechał do Stanów Zjednoczonych raczej bez związku z tymi wydarzeniami, chociaż po latach opowiadał inaczej. To ciekawa i zagadkowa historia. I nie wiadomo, czy miałyby jakieś bezpośrednie przełożenie na Floriana, gdyby nie doszło do zawieruchy dziejowej i wynikających z tego konsekwencji politycznych. Bez dyskusyjnie duże znaczenie dla chłopca wychowanego w patriotycznej atmosferze, chłonnego historyczne opowieści wygłaszane przez dziadka i czerpane z lektur, miały wkroczenie i kilkumiesięczne panowanie nad tym obszarem I Korpusu Polskiego w roku 1918. Skutkiem tych wydarzeń Czarnyszewicz znalazł się w grupie młodzieży zaangażowanej w walkę o niepodległość. Pozostał tym działaniem wierny, mimo że od 1919 r. Wojsko Polskie już nie próbowało na stałe opanować ziem leżących za Berezyną. W efekcie marzenia przyszłego pisarza nie mogły zostać spełnione. A to siłą rzeczy postawiło przed nim pytania o dalszą egzystencję.

Flagowe arcydzieło to zbeletryzowana autobiografia?

D.M.: Niewątpliwie. I dotyczy to nie tylko „Nadberezyńców”, lecz także pozostałych powieści. Sam Czarnyszewicz przyznawał, że zasadniczą treść swej prozy opierał na wydarzeniach autentycznych, włączał to, czego był świadkiem, choć nie mógł się obejść bez powiązań i przyczepiek fantazyjnych. Jednego z głównych bohaterów pierwszej powieści – Stacha Bałaszewicza – uznaje się za alter ego autora, który w dalszej części „Nadberezyńców” schodzi w cień. Nie wiadomo, czy jakieś wątki dotyczące Czarnyszewicza, bądź kogoś mu bliskiego, nie zostały przypisane innym postaciom. Swego czasu zwierzał się, że konstruując powieść, celowo pozmieniał nazwiska bohaterów, aby komuś nie

zaszkodzić, ale i mieć większą swobodę w tworzeniu fabuły.

Zanim osiadł na drugiej półkuli, usiłował ułożyć sobie życie na Wileńszczyźnie?

D.M.: Ten region na mapie życiowej Czarnyszewicza pojawia się w roku 1920, podczas walk z bolszewikami, zwycięskiego marszu Wojska Polskiego spod Warszawy na wschód. To do Wilna skierowano Pułk Ułanów Grodzieńskich, w którym służył nasz bohater, i tym samym skończyły się jego marzenia o pochodzie za Berezynę. O udziale w „buncie” gen. Lucjana Żeligowskiego i stacjonowaniu oddziału niestety niemal nic nie wiadomo. Po wojnie podjął

chcieli żyć pod władzą bolszewików. To był najprostszy sposób na zabezpieczenie swojej dalszej przyszłości, zapewne motywowany chęcią pozostania w mundurze reprezentującym odrodzone państwo. Przykładami są nie tylko koledzy Czarnyszewicza z rodzinnych stron, lecz także choćby postać Sergiusza Piaseckiego, o czym z Dianą swego czasu pisaliśmy, znajdując w Wilnie archiwalia dotyczące tego znakomitego prozaika. Decyzja, którą Czarnyszewicz podjął w 1921 r. celem uzyskania zgody na szybsze odejście z armii, stała się przyczyną jego późniejszych kłopotów, w wyniku których na początku 1924 r. został zwolniony z policji.

Przez nowe akty prawne wyjazdy do USA stały się trudne, a Argentyna stała otworem. Z Wileńszczyzny wyjeżdżało do niej wiele osób, ogłoszenia o możliwościach transportu na drugą półkulę globu zamieszczano w prasie

służbę w policji Litwy Środkowej, która po włączeniu tego terytorium do Polski stała się częścią Policji Państwowej RP. Pełnił funkcję komendanta posterunku w Wojstomiu (powiat święciański). Tam poznał swoją przyszłą małżonkę, Stanisławę Płosko z Nowosad, z którą w związek małżeński wstąpił w roku 1922. Tam też przyszło na świat jego jedyne dziecko – córka Władysława.

W okresie wileńskim, zdając sobie zapewne sprawę ze swoich edukacyjnych braków, dokształcał się, biorąc prywatne lekcje z gramatyki, historii i literatury polskiej. Pewne jest, że tuż przed wyjazdem do Argentyny w 1924 r. – co miało niebagatelne znaczenie w kontekście decyzji o emigracji – wykonywał mało intratne zajęcia wiejskiego „advokata” (pomagał chłopom w sporządzaniu pism urzędowych). To, czego wówczas doświadczył, odnajdziemy niewątpliwie w powieściach, szczególnie w „Chłopcach z Nowoszynek”.

Do służb mundurowych trafił przypadkowo?

B.B.: Po traktacie ryskim funkcjonariuszami zostawało wielu byłych żołnierzy, których ziemie rodzinne nie weszły w skład II RP, a którzy nie

D.M.: Warto zauważyć, że w policji Czarnyszewicz służył też przed zakończeniem wojny, kiedy nad Berezynę w 1919 r. przybyło Wojsko Polskie i wraz z nim tworzone administrację w postaci Zarządu Cywilnego Ziem Wschodnich. A więc w czasie, kiedy ważyły się losy granicy odrodzonej Polski i przyszły pisarz żył nadzieją, że obejmą też jego strony rodzinne. Gdy był policjantem, oddelegowano go do pomocy na posterunek żandarmerii polowej w Horbacewiczach, czego reminiscencje znajdziemy w „Wiciku Żywicy”.

Emigracja wynikała z rozczarowania granicami II RP ustalonymi traktatem ryskim?

B.B.: Po zwolnieniu z policji czuł się skrzywdzony i zapewne uniósł się honorem, ale to przede wszystkim była potrzeba materialna. Nie posiadając odpowiedniego wykształcenia ani majątku, nie miał pomysłu, jak w dostępnych warunkach uczciwie zarobić na utrzymanie rodziny. Na sowiecką Białoruś nie chciał wrócić. Co prawda, w latach 20. chyba nie odczułby z tego powodu żadnych większych reperkusji, ale musiałby żyć na łasce władzy, której uznać nie chciał. W przyszłości przyniosłoby to

■ katastrofalne skutki i może to instynktownie wyczuwał.

D.M.: Po latach w liście do Marii Czapskiej przeczytamy, że w wydarzeniach, które pchnęły go ku decyzji o emigracji, upatrywał „ręki Bożej”. Wiedział, jak potoczyły się dzieje Polski. Ogromny ból, tęsknota za bliskimi i powieściową Smolarnią w mojej ocenie towarzyszyły mu jednak przez całe życie. Choć czas zrobił swoje, to przyznawał w 1958 r., że „myśli leć na wschód słońca”. Żał ten – i jednocześnie utrata nadziei – włożyły mu do ręki pióro. Rozczarowaniu dał wyraz w tytule trzeciej powieści („Losy pasierbów”).

Dlaczego osiadł akurat w Argentynie?

D.M.: Przez nowe akty prawne wyjazdy do USA stały się trudne, a Argentyna stała otworem. Z Wileńszczyzny wyjeżdżało do niej wiele osób, ogłoszenia o możliwościach transportu na drugą półkulę globu zamieszczano w prasie. W dodatku przebywali tam krewni jego żony. Niewiele jednak o tym wiemy. Pewne jest, że przybył później do Argentyny brat Stanisław, Jan Płosko, podobnie jak szwagier działał w Związku Polaków w Berisso.

Z czego się tam Czarnyszewicz utrzymywał? Gdzie mieszkał? Jak potoczyło się mu życie osobiste? Powrotu do Polski nigdy nie rozważał?

B.B.: Rzeczywistość okazała się trudna. Początkowo nie mógł znaleźć stałego zatrudnienia. Pracował przy budowie linii kolejowej i w polu. Przeżył tam trudne chwile, doświadczył poniżeń. Po pół roku udało mu się zdobyć zajęcie w wielkiej rzeźni chłodni Armour w Berisso. Ta wyczerpująca praca zabezpieczyła mu byt i... zrujnowała zdrowie.

D.M.: Berisso stało się jego nową małą ojczyzną, notabene „nowym »Boryso-wem«, jak określała je żona Floriana. Po przeprowadzce w 1956 r. do Villa Carlos Paz, niedaleko Cordoby, tęsknił za Berisso niemal tak samo jak ze Bobrujszczyzną. W obu miejscowościach aktywnie działał społecznie na rzecz Polaków i Polski. Między innymi kierował Związkiem Polaków w Berisso, zaangażował

się w budowę siedziby Domu Polskiego i polskiej biblioteki w Buenos Aires. Myśli o powrocie do Polski, jeśli były, porzucił po zakończeniu drugiej wojny światowej, decydując się na naturalizację w 1949 r.

Katalizatorem twórczości stał się dlań wybuch drugiej wojny światowej?

B.B.: Literatura pojawiła się nieco wcześniej na skutek tęsknoty za ziemią ojców i wieści spływających od rodziny z sowieckiej Białorusi. Od rozpoczęcia kolektywizacji w 1929 r. żyło się tam coraz gorzej, narastały represje. Pisanie zaczął w formie pamiętnika, który przerodził się w kronikę, a finalnie w debiutancką powieść. Rozciągnęło się to wszystko w czasie, gdyż wolnych chwil Czarnyszewicz miał bardzo mało.

D.M.: A wiadomości, trzeba dodać, były smutne, bolesne... W 1937 r. od siostry otrzymał informację o likwidacji „żywołu polskiego”. Sowietci deportowali na Sybir jego szwagra i kolegów z Wojska Polskiego, nieznanym był los aresztowanego brata, Bernarda.

Starszy brat wybył do USA, a jego potomkowie zaistnieli w rozrywce...

B.B.: Brat Feliks miał umysł techniczny i był pragmatyczny. Ameryka okazała się idealnym dla niego miejscem. Trafił tam, gdzie najlepiej mógł spożytkować swoje umiejętności. Dziś wiemy, że Steven Tyler z Aerosmith to jego wnuk. W pierwszej połowie lat 90., gdy jako nastolatki podobały mi się teledyski do utworów tego zespołu, w których grała córka Stevena, a prawnuczka Feliksa – Liv, do głowy by mi nie przyszło, że ćwierć wieku później będę odkrywał ich związki rodzinne z wydobytym z zapomnienia tak świetnym, polskim pisarzem.

A jak potoczyły się kolejne losy pozostałego rodzeństwa bohatera biografii o szołochowowskim podtytule „Los człowieka”?

B.B.: Młodszy brat Bernard został 17 września 1937 r. rozstrzelany przez Sowietów. To już okres brutalnego rozprawiania się z kułakami oraz z ludobójczą akcją wymierzoną w Polaków.

Ostatni z braci, Stanisław, i najmłodsza z rodzeństwa, Wiktoria, przeżyli do czasów współczesnych. Te historie opowiadałem w tomie II biografii. Zabrałem mi dosłownie kilku miesięcy, żeby porozmawiać z córką Bernarda. Wiele informacji, które można było uzyskać, przepadło. Pozostają domysły i nadzieja, że coś jeszcze się odnajdzie. Tak jak np. potomkowie brata żony Floriana, którzy prawdopodobnie żyją w Polsce. Być może mają jeszcze jakieś archiwalia, choć raczej dotyczące powojennego okresu życia pisarza, Stanisławy i ich córki Władysławy. W przypadku rodziny z Białorusi trzeba brać pod uwagę, że musiała ona żyć w sowieckiej rzeczywistości. To doświadczenie przenikało kolejne pokolenia. W tamtej atmosferze trudno byłoby oczekiwać, że będą krzyczeć wartości wyznawane przez ich zaoceanicznych krewnych.

Jak podzielili się państwo pracą?

D.M.: Nie było z tym problemu. Zafascynowani twórczością i postacią samego autora dzieliliśmy się wynikami kwerend i w 2017 r. postanowiliśmy połączyć siły. Jednak bez rzeszy osób, o których wspominałem we wstępie, projekt nie przyniósłby takich owoców. Razem z Bartoszem mamy nadzieję, że ukazanie się biografii otworzy kolejne drzwi i kolejne szafy, przede wszystkim z archiwaliami rodzinnymi.

Pierwszy tom biografii relacjonuje 55 lat życia bohatera, drugi ledwie dziewięć? Zaskakujące!

B.B.: Z tych ostatnich dziewięciu lat zachowało się więcej materiału źródłowego, przede wszystkim korespondencji Czarnyszewicza. Poza tym przejście pisarza na emeryturę i przeprowadzka z Berisso do Villa Carlos Paz wydawały się dobrym momentem na podzielenie tej opowieści.

Ponadto drugi tom pisałem samodzielnie, finansowo wsparty poprzez program stypendiów na przedsięwzięcia związane z upowszechnianiem kultury z budżetu MKiDN. Część druga opowiada także o dalszych losach żony i córki oraz rodziny na Białorusi. Na koniec analizuję recepcję jego spuścizny, dzieląc ją na okres PRL i III RP.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Brygada „Koło”

Brygada Dyspozycyjna Zmotoryzowana NSZ (krypt. Koło) była jedną z dwóch wielkich jednostek tej formacji w powstaniu warszawskim. Powstała po reorganizacji i z przekształcenia 1 marca 1944 r. dotychczasowego Centrum Wyszkożenia Piechoty NSZ przy Dowództwie. Początkowo zwana I Brygadą Zmotoryzowaną, a w ostatnich tygodniach powstania warszawskiego Grupą „Koło”.

1 sierpnia 1944 r. na kwatery alarmowych Brygady NSZ z powodu trudności w dotarciu pojawiło się ok. 30 proc. stanu, tj. 400 żołnierzy. Dowódcą Brygady NSZ został ppłk Zygmunt Reliszko „Bolesław Kołodziejski”, a zastępcą ppłk Jan Moraczewski „Jan Król”. Już 3 sierpnia 1944 r. Brygada NSZ podporządkowała się taktycznie ppłk. S. Juszczakiewiczowi „Kubie” – zastępcy szefa Oddziału I sztabu KG AK, prowadzącemu m.in. sprawy scaleniowe oddziałów formacji narodowych. Siedziba dowództwa Brygady NSZ znajdowała się w budynku przy ul. Długiej 9. Jej struktura została przeorganizowana od podstaw i po kilku dniach w wyniku napływu licznych ochotników liczyła już ok. 1,2 tys. żołnierzy i oficerów, którzy pełnili służbę na odcinkach bojowych, na zapleczu i w dowództwie Grupy Północ AK, a także tworząc administrację przy Władysławie Świdowskim, który kierował strukturą cywilną na Starówce.

W pierwszym okresie walk oddziały Brygady z uwagi na brak dostatecznego uzbrojenia stanowiły odwód Grupy Północ i wykonywały podstawowe prace saperskie, odbierały alianckie zrzuty w okolicach pl. Krasińskich, umacniały barykady. Wspólnie z żołnierzami Brygady NSZ służbę pełnili wcześniej uwolnieni Grecy i Węgrzy. Zaopatrzeniowi dowódcy

Mimo trudności zaopatrzeniowych dowództwo Brygady samodzielnie zorganizowało (dzięki kadrze inżynierskiej i technicznej) duże warsztaty rusznikarskie i trzy szpitale powstańcze łącznie na 200 łóżek. Dozbrajane oddziały NSZ były włączane do oddziałów liniowych. Jeden z oddziałów Brygady (Kompania por. „Mory”) został odcięty w Śródmieściu. Miał własne warsztaty i zapasy benzyny. Podczas ewakuacji ze Starego Miasta do Śródmieścia oddziały Brygady NSZ przechodziły razem z oddziałami AK, z którymi wspólnie walczyły na poszczególnych odcinkach.

Tylko podczas walk na Starówce zginęło 128 żołnierzy Brygady NSZ, a 500 zostało rannych lub zaginęło. Kompania Saperska była jednym z ostatnich oddziałów, które kanałami ze Starego Miasta ewakuowały się do Śródmieścia (dopiero 5 września).

Pod nową okupacją żołnierze Brygady wchodzili w skład struktur antykomunistycznego Narodowego Zjednoczenia Wojskowego, dzieląc jego tragiczny los. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Matka królów

Wdniu koronacji Kazimierz Jagiellończyk miał dopiero 20 lat, ale nie zapomniał, że jego zadaniem jest przedłużenie dynastii. Niemal od początku panowania snuł plany matrymonialne i ostatecznie jego wybór padł na Elżbietę, córkę Albrechta Habsburga i starszą siostrę króla Węgier i Czech, Władysława Pogrobowca.

Elżbieta (nazywana w Polsce Rakuszką od dawnej nazwy Austrii) miała nieśczęśliwe dzieciństwo. Gdy zmarła jej matka, trafiła wraz z bratem na dwór kuzyna swojego ojca, króla Niemiec, Fryderyka Habsburga. Zadbano o edukację młodych kuzynów, natomiast jako wyjątkowy skąpiec oszczędzał na wydatkach. Elżbieta i jej brat chodzili w starej odzieży, często też nie dojadali. W efekcie u księżniczki rozwinęła się gruźlica kręgosłupa, która naznaczyła ją na całe życie. Przyszła królowa miała wadę postawy, zresztą jej uroda pozostawiała wiele do życzenia. Miała wadę zgryzu, zapewne typowo habsburską wysuniętą dolną szczękę, wysoką i długą czaszkę, a jej twarz nie była symetryczna. Wiadomo o tym dzięki badaniom jej szkieletu odkrytego w 1973 r. podczas remontu kaplicy Świętokrzyskiej w katedrze wawelskiej.

Gdy orszak księżniczki zbliżył się do granic Polski, zaufany posłaniec poinformował króla, że Rakuszką do „nikogo nie jest podobna

ani z urody, ani z postawy”. Władca zaważał się, gorąco naradzał się ze swoim otoczeniem, zastanawiał się, czy nie odesłać dziewczyny z powrotem do domu. Ostatecznie przeważała racja stanu i zaślubiny odbyły się 10 lutego 1454 r.

Choć był to typowy związek polityczny, to oboje szczerze przywiązali się do siebie. Doskonale też rozumieli się w kwestiach politycznych, a Elżbieta okazywała niezwykłą lojalność wobec nowej ojczyzny. Wprawdzie jej rodzimym językiem był niemiecki, ale szybko nauczyła się polskiego i tylko jego używała. Gdy wiele lat później jedna z jej córek wychodziła za mąż za księcia Bawarii, trzeba było do jej orszaku dołączyć tłumacza, gdyż królowa nie znała w ogóle języka niemieckiego.

Elżbieta w pełni popierała politykę dynastyczną męża, który po bezpośrodkowej śmierci Władysława Pogrobowca zgłosił w imieniu swoich synów pretensje do tronu Czech i Węgier. Ostatecznie po wielu perturbacjach zasiadł na nich ich najstarszy syn, Władysław Jagiellończyk. Trzech innych potomków kolejno panowało w Krakowie, kolejny syn, Fryderyk, został kardynałem i arcybiskupem gnieźnieńskim, a zmarłego młodo Kazimierza kanonizowano i do dzisiaj jest patronem Litwy. Nic zatem dziwnego, że do Elżbiety przylgnęło miano matki królów, pod którym znana jest do dziś... ©©

Kadr z filmu „Rosso Istria”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Z Antonellem Bellucem, reżyserem historycznych filmów fabularnych i dokumentalnych rozmawia Anna Kosiarska

Tajemnice Włoch

ANNA KOSIARSKA: 10 lutego obchodzi się we Włoszech Dzień Pamięci. Kogo się upamiętnia tego dnia?

ANTONELLO BELLUCO: Wspomina się tego dnia włoskie ofiary foibe. Byli to Włosi zrzućani żywcem z uskoków skalnych w głąb krasowych urwisk przez komunistycznych partyzantów Tity. Obecnie liczbę ofiar szacuje się na 10 tys., ale wiele lejów po wrzuceniu doń ciał Włochów było wysadzanych, stąd do dziś dokładnej liczby nie da się ustalić. Ofiary zwykle były wiązane jedna do drugiej żelaznym drutem. Oprawcy strzelali do pierwszej osoby, a ta wpadała w otchłań, pociągając ciężarem swego ciała pozostałych. Dramat spadania wśród skał i ogrom cierpienia w oczekiwaniu śmierci czekającej na dnie urwiska jest nie do opisan.

Dzień Pamięci został ustanowiony we Włoszech dopiero w roku 2004, gdy od ludobójstwa upłynęło ponad pół wieku. Dlaczego rodziny ofiar musiały czekać tak długo?

Marszałek Tito otrzymał od Włoch tytuł Kawalera Krzyża Wielkiego Orderu Zasługi Republiki Włoskiej. Dopiero w zeszłym roku w parlamencie wystąpił z inicjatywą odebrania mu go. Powojenne Włochy, nie mogąc wyrzec się takiego sojusznika, milczały na temat ludobójstwa.

Historycy, naukowcy i autorzy podręczników szkolnych nigdy nie chcieli dotykać tego tematu. Kiedy czytało się o foibach, można się było dowiedzieć tylko o „krasowych lejach”, o zjawiskach geomorfologicznych miejscowych gór

i o niczym więcej. Nikt nie odważał się o nich mówić poza tymi, którzy osobiście doświadczyli tej tragedii i uciekli z obszaru objętego czystkami etnicznymi, zostawiając domy i bliskich, o rozstrzelanych lub wrzuconych na dno lejów. Szacuje się, że było 350 tys. uchodźców z obszaru Istrii. Kiedy dotarli do Włoch, byli upokarzani i traktowani jak najgorzej. Na przykład w 1947 r. pociąg przewożący uchodźców z Puli został obrzucony kamieniami i pomidorami na stacji w Bolonii przez miejscowych komunistów. Odmówiono nawet mleka dzieciom, rozlewając zawartość przygotowanych wcześniej butelek na tory.

Także moi dziadkowie, mama i jej brat byli uchodźcami. Zatrzymali się w Padwie. Dzięki rodzinnym relacjom mam żywą pamięć o wydarzeniach, które wówczas się rozgrywały na terenie Istrii. Moja babcia była Słowenką i z powodu tego, co przeżyła i czego doświadczyła, nigdy więcej nie chciała wrócić w rodzinne strony.

Uchodźców z Istrii wyzywano od faszystów, wytykano ich palcami jako tych, którzy uciekli z komunistycznego raju Tity. Pana rodzina też doświadczyła takich szykan?

Moi dziadkowie mieli to szczęście, że zatrzymali się w Padwie i uniknęli upokorzeń, które miały miejsce w Bolonii. Kuzyn dziadka pracował już wcześniej w mieście, dlatego moja rodzina znalazła pierwszą gościnę u niego. Jej integracja w Padwie przebiegała bardziej harmonijnie, niż miało to miejsce w przypadku wielu rodzin w innych częściach Włoch.

Współtworzył pan film „Rosso Istria”, który opowiada o historii Normy Cossetto. Kim była ta młoda dziewczyna?

Mój dziadek uwielbiał pisać i spisywał wspomnienia w formie dziennika aż do śmierci w roku 1986. Jestem w posiadaniu jego pamiętnika, w którym opisuje także najbardziej dramatyczne dni swego życia. Jest w tych opisach bardzo precyzyjny. Kilka dni temu przypomniałem sobie, że gdy byłem dzieckiem, pewnej wigilii Bożego Narodzenia padał śnieg. Wziąłem do ręki dziennik dziadka z tych lat i potwierdziło się, że ta niezwykła śnieżycy w Padwie miała miejsce 24 grudnia 1963 r.

Po tym, jak poznałem cierpienia, których doświadczyła moja rodzina, zapragnąłem pokazać na przykładzie losu Normy Cossetto, co spotkało także moich bliskich. Norma Cossetto była studentką Uniwersytetu Padewskiego. Przygotowywała pracę magisterską, w której opisywała piękno rodzinnej ziemi, mającej kolor czerwony, zupełnie odmienny od tej, którą można zobaczyć w regionie Veneto. Jej ojciec był faszystą i jako taki był prześladowany i – jak to miało miejsce także tu, we Włoszech – ten, kto był faszystą lub krewnym faszysty, był eliminowany fizycznie. Wystarczył proces w trybie specjalnym, bez żadnej obrony. To samo miało miejsce w Istrii. Byłeś Włochem? Foiba! Uruchomiono prawdziwą czystkę etniczną niezależnie od tego, czy ktoś był faszystą czy też nie. Norma, aresztowana przez partyzantów tak jugosłowiańskich, jak włoskich, poddana masowemu gwałtom została w 1943 r. strącona na dno

urwiska. Stała się symbolem dramatu Włochów będących ofiarami zbrodniczej ideologii, która chciała pójść Włoch uformować według sowieckiego modelu, likwidując fizycznie elementy wrogie.

Do filmu „Rosso Istria” napisałem scenariusz. Miałem również go reżyserować, ale tak się nie stało. Gdy opisuje się postać historyczną, bezwzględnie trzeba trzymać się prawdziwych faktów z jej życia. Każda osoba ma też jednak swoje życie prywatne, które nie jest w pełni znane, a które musi być oczywiście spójne z postawą osoby, którą przedstawiamy. Dlatego wszystko, co jest życiem prywatnym Normy Cossetto, co przeżywała za murami swego domu, w filmie jest historią mojej rodziny. Do ich domu też przychodzili ludzie, którzy zdawali się przyjacielami, a którzy, jak się okazało, w rękach trzymali karabin, a na głowie mieli czapkę z czerwoną gwiazdą.

Z jakim przyjęciem film spotkał się we Włoszech?

Już w 2014 r., gdy nakręciłem pierwszy film „Il Segreto di Italia”, każdemu pokazał filmowi towarzyszyła eskorta policji, nie mówiąc o przypadkach napadów ze strony skrajnej lewicy. To samo miało miejsce w przypadku „Rosso Istria” (2018). Pewne jest, że także ten film stanowił pewien wyłom i rzucił światło na prawdę skrywaną przez lata. Kilkakrotnie miał projekcję we włoskiej telewizji RAI. Już podczas telewizyjnej premiery zostałem zaatakowany przez agencję prasową ADN Kronos. Odpowiedziałem niezwłocznie, po raz drugi zgłaszając gotowość konfrontacji z tym, kto neguje moją pracę, jednak ta propozycja nie została nigdy przyjęta.

Film „Il segreto di Italia”, w którym główną rolę zagrała Romina Power, traktuje o zbrodniach popełnionych przez samych włoskich partyzantów. Opowiada on o masakrze, która miała miejsce w 1945 r. w Codevigo w rejonie Wenecji Eugenejskiej. Jak poznał pan tę skrywaną przez lata historię?

Dzięki współscenarzyście Gerardowi Fontanie, drogiemu przyjacielowi, który pracował w Rzymie dla firmy Endemol. Co piątek Gerardo wracał do swojego Codevigo, gdzie był burmistrzem. Był człowiekiem lewicy, ale jednocześnie charakteryzowała go wielka uczciwość intelektualna i pragnął pokazać, co wyda-

rzyło się w jego Codevigo, a może przede wszystkim w jego rodzinie. Opowiadał mi o wuju, którego spotykał przy okazji świąt bożonarodzeniowych i Wielkanocnych. Zapamiętał jego bezgraniczny smutek, biorący się stąd, że komunistyczni partyzanci zabili mu syna, który miał niespełna 18 lat. Jedyną jego winą było to, że nosił czarną koszulę.

Z tego osobistego i rodzinnego dramatu zrodziła się książka, w której opowiadał o tych wydarzeniach, które we Włoszech były skrywane do lat 90. Gerardo poprosił mnie, abyśmy razem zrobili o tym film, byśmy wspólnie napisali jego scenariusz. Szczerze mu odpowiedziałem, że niewiele wskóramy, ponieważ będą nam rzucać kłody pod nogi na wszelki sposób, jednak on przekonał mnie. Zacząłem zatem badać fakty i wraz z nim przelewać je na papier. Tak powstał film niechciany we Włoszech, wybrany na festiwalu w Montrealu i nagrodzony na Florydzie jako najlepszy film zagraniczny. We Włoszech pokazywany jedynie w nielicznych kinach w towarzystwie eskorty policyjnej, ponieważ wiele kin odmówiło projekcji ze strachu przed zemstą. Gerardo niestety nie doczekał projekcji. Zmarł w wyniku niedotlenienia mózgu podczas zdjęć.

Czytałam, że film spotkał się z bojkotem. Jakie trudności napotkał pan przy jego realizacji?

Film nie miał prawa się pojawić. Otrzymaliśmy dwa razy listy z pogróżkami, mówiące, że poniesiemy odpowiedzialność za wszystko, co robimy, ze wszystkimi tego konsekwencjami. Żądano od nas nawet przed realizacją filmu scenariusza, którego nigdy nie udostępniamy. Wystarczy zajrzeć do Internetu, by się przekonać, jak się rzeczy mają. W książce, którą zatytułowałem „Il mio segreto di Italia”, dokładnie opisuję, jak w dzienniku pokładowym, wszystkie okoliczności powstania filmu.

Obecna włoska premier Giorgia Meloni, broniąc filmu, miała napisać: „Włochy muszą otworzyć oczy na swoją przeszłość bez obawy dotknięcia najbardziej bolesnych faktów”. Czy to oznacza, że obecnie we Włoszech atmosfera sprzyja odkrywaniu faktów przez lata wypieranych?

Kiedy film się ukazał, Giorgia Meloni wyraziła na Facebooku uznanie dla naszej odwagi. Wówczas była jeszcze w opozycji.

Od tamtego czasu we Włoszech niewiele się zmieniło. Jesienią zeszłego roku zrealizowałem kolejny film, tym razem dokumentalny „Fratelli Contro: dall'eccidio all'egemonia”. Porusza on temat trzech masakr w północnych Włoszech w Schio, Porzus i Codevigo, na obszarze tzw. trójkąta śmierci. Film nie znalazł miejsca w kinach. Właściciele obawiają się przemocy po tych wszystkich wypadkach, które miały miejsce na placach. Miałem nadzieję, że „Il segreto di Italia” zostanie pokazany w telewizji RAI, jak to było w przypadku „Rosso Istria”, ale niestety nic takiego się nie wydarzyło. Prawdopodobnie pragną uniknąć jeszcze większego rozgrzania umysłów. Podejmowanie pewnych tematów jest ryzykowne, jest się od razu etykietowanym jako faszysta. To samo dotyczyło biednych uchodźców z Istrii i Dalmacji, których winą było to, że byli Włochami i że uciekali przed komunizmem. Prawda dużo kosztuje, cena jest zawsze wysoka.

Nakręcił pan też dwa filmy religijne, które opowiadają o życiu dwóch padewskich świętych. Świętego Antoniego wszyscy znamy. A kim był ów skromny kapucyn, św. Leopold? Dlaczego się pan nim zainteresował?

Wiem, że film „Antoni. Boży wojownik” ukazał się także w Polsce, ponieważ mam u siebie okładkę DVD. Święty Leopold Mandić był Chorwatem. Jego klasztor znajdował się nieopodal mojego domu rodzinnego. Moja babcia Słowenka była bardzo przywiązana do tego niewielkiego i powszechnie kochanego mnicha. Jako dziecko, podobnie jak bazylikę św. Antoniego, odwiedzałem z dziadkami i z moją mamą także mały kościółek Kapucynów. Pamiętam tam XVI-wieczną studnię, do której lubiłem wrzucać monety i patrzeć, jak lądują na jej dnie. W 2016 r., podczas Jubileuszu Miłosierdzia, papież Franciszek zaprzęgnął sprowadzić do bazyliki św. Piotra relikwie świętych Leopolda i o. Pio. Dwóch kapucynów, którzy dzięki swej posłudze w konfesjonale przybliżali ludzi do Boga. Stąd film „On my shoulders – Sulle mie spalle”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Antonello Belluco jest scenarzystą i reżyserem historycznych filmów fabularnych i dokumentalnych.



Maciej Pieczyński

Trump nie jest ani prorosyjski, ani proukraiński. Chce doprowadzić do pokoju, a jeśli się nie uda, to zarobić na pomocy Ukrainie, która ma dość wojny i jest bardziej skłonna ustąpić niż Putin

Nowe amerykańskie władze nalegają, aby Kijów jak najszybciej przeprowadził demokratyczne wybory prezydenckie. Do tych żądań dołączyła się Moskwa. Celem Trumpa jest pokój, a nie zwycięstwo jednej czy drugiej strony. Wszystko wskazuje na to, że zmęczeniu wojną Ukraińcy są bardziej gotowi do kompromisu niż Rosjanie, którym dobrze idzie na froncie i którzy mają większe możliwości prowadzenia wojny. Zwłaszcza że Ukraińcy mają coraz bardziej dość wojny i przymusowej mobilizacji. Ich gniew obraca się już nie tylko przeciwko agresorom, lecz także przeciwko obrońcom – czego dowodem są kolejne ataki na WKU, w tym głośne ostatnio zabójstwo żołnierza.

Celem Putina jest podporządkowanie sobie całej Ukrainy i aneksja jak największego jej terytorium. Będzie więc testował cierpliwość Trumpa, który z kolei przyznał, że Zełenski jest bardziej skory do rozmów niż władca Kremla. Zarazem prezydent USA zapowiedział, że w zamian za dalsze wsparcie wojskowe oczekuje od Kijowa dostępu do metali ziem rzadkich. Jeśli więc Putin nie będzie skory do kompromisu (a tylko kompromis byłby sukcesem Trumpa jako negocjatora; ustąpić całkowicie Rosji to żadna sztuka), to Trump może uznać, że bardziej opłaca mu się twardo stanąć po stronie Ukrainy w zamian za dostęp do jej bogactw naturalnych.

NIE CZAS NA WYBORY

Putin od dawna konsekwentnie negował legitymację Zełenskiego do sprawowania władzy nad Dnieprem, wskazując, że kadencja prezydenta wygasa 20 maja. Rzeczywiście, konstytucja Ukrainy głosi, że głowa państwa sprawuje urząd przez

Amerykański pokój wschodnim okiem



Donald Trump i Wołodymyr Zełenski. Prezydent Stanów Zjednoczonych przyznał, że Zełenski jest bardziej skory do rozmów niż władca Kremla

FOT. ABACA/EAST NEWS

pięć lat. Nie przewiduje też odwoływania wyborów. Jednakże jasno też stanowi, że prezydent wykonuje swoje obowiązki do momentu objęcia urzędu przez następcę. A poza tym przeprowadzania wyborów w czasie stanu wojennego zabrania ustawa z 2015 r. Nieoficjalnie mówi się o tym, że Zełenskiego chcą się pozbyć zarówno Putin, jak i Trump. Dla pierwszego ma to być warunek rozmów pokojowych, dla drugiego – warunek ewentualnego zwiększenia pomocy dla Kijowa.

Mogłoby się zatem wydawać, że wybory są przede wszystkim nie na rękę obecnemu prezydentowi. Jednak nieuprawnione jest twierdzenie, jakoby „dyktator Zełenski” blokował demokrację, podczas gdy umęczeni pod jego butem zwykli obywatele nie mogli się doczekać, aż pójdą do urn i pogonią znieprawdzonego przywódcę. Głosowania nie chcą ani obecny prezydent, ani opozycja. „Wiecie, co oznaczają wybory na Ukrainie obecnie? Zabicie jedności. Bo wybory to zawsze walka. Podczas wyborów nie może być jedności. O tym wie każda demokracja” – tak pomysł Trumpa i Putina skomentował Petro Poroszenko,

dawny i być może przyszły główny rywal Zełenskiego w walce o władzę.

Tego typu argumenty padają dość powszechnie z różnych stron ukraińskiej sceny polityczno-medialnej. Od dawna wiadomo, że ukraińska opozycja nie pali się do wyborów. Nie tylko dlatego, że rozumie, iż podczas wojny jedność jest ważniejsza od demokracji, lecz także z powodów czysto pragmatycznych – w warunkach wojennej cenzury nie miałyby szans pokonać Zełenskiego, gdyby ten, wbrew swoim dawnym obietnicom, pozostał w politycznej grze. Poparcie dla niego spada, ale wciąż jest on na szczycie sondaży. To zmieniłoby się dopiero wtedy, gdyby zniesiono stan wojenny – wówczas porozumienie w obliczu wroga zewnętrznego nie byłoby już potrzebne i zarzuty pod adresem prezydenta, dotychczas nieśmiało pojawiające się w debacie, mogłyby wybrzmieć głośno w największych (dotychczas zmuszonych do popierania władzy) telewizjach, a tłumione pretensje wylałyby się w „wojnę ukraińsko-ukraińską”.

Zełenski by tę wojnę przegrał, gdyby miał z kim. Czyli gdyby powstała nowa

siła polityczna, oparta na bohaterach wojny (bo profesjonalni politycy doładowali w sondażach przed wojną, a podczas wojny niewiele zyskali). Z pewnością spore szanse na zwycięstwo miałby gen. Wałerij Żałuzny, obecnie ambasador Ukrainy w Wielkiej Brytanii.

Wyborów nie chcą sami Ukraińcy. Według sondażu przeprowadzonego we wrześniu 2024 r. przez grupę Rejtnynh tylko 22 proc. Ukraińców jednoznacznie popiera pomysł przeprowadzenia wyborów podczas wojny, 14 proc. – raczej popiera, 18 proc. – raczej nie popiera. Aż 42 proc. respondentów jednoznacznie opowiedziało się przeciwko głosowaniu na głowę państwa w warunkach trwającego konfliktu zbrojnego. Zdaniem Witalija Portnykowa to absolutnie oczywiste, że walka polityczna znacząco pogłębiła by rozłam w społeczeństwie ukraińskim, przyczyniając się tym samym do klęski w wojnie z Rosją. Trump najpewniej rozumuje następująco: „Skoro Putin uważa Zełenskigo za nielegalnego prezydenta, to wystarczy usunąć tę przeszkodę i Putin w zamian będzie chciał ustąpić”.

Tymczasem – jak zauważa Portnykow – dla Moskwy legitymacja tej czy innej głowy państwa tak naprawdę nie ma znaczenia. Putin uznawał władze w Kijowie za legalne, jeśli ustępowały jego żądanom, zmieniał zaś zdanie, gdy te same władze wykazywały się asertywnością. Obecnie natomiast szuka jedynie pretekstu, aby odrzucić propozycje pokojowe i kontynuować agresję. Wyobraźmy sobie jednak, że dochodzi do zawieszenia broni, zatem wybory mogą się odbyć legalnie, bez strachu przed rosyjskimi bombami. Putin liczyłby w takiej sytuacji na zwycięstwo sił prorosyjskich. „Można przypuszczać, że takie polityczne siły w perspektywie kilku lat, w warunkach trudnej sytuacji gospodarczej Ukrainy, zwiększą swoje wpływy” – przyznaje publicysta.

Niemniej wybory najpewniej wygra przedstawiciel obozu patriotycznego, natomiast opcja prorosyjska pozostanie coraz silniejszą, ale jednak opozycją. Nowy prezydent nie będzie więc skłonny do porozumienia z Moskwą. Ponadto Portnykow wątpi, by USA były w stanie zmusić Rosję do przestrzegania ustalonych porozumień. Z grafiku, który wyłania się z propozycji Trumpa, wynika, że ewentualny pokój z Moskwą podpisa-

łyby już nowa władza, po przeprowadzonych wyborach. Konkretnie propozycje kompromisu z agresorem stałyby się więc częścią programów wyborczych poszczególnych kandydatów – jak zauważa z kolei politolog Serhij Taran.

GOTOWI DO USTĘPSTW?

Wybory nie są jedynym warunkiem, który Ukraina musi spełnić, aby doszło do porozumienia. Konieczne będą ustępstwa terytorialne i jakaś forma rezygnacji z aspiracji euroatlantyckich, przy zachowaniu mniej lub bardziej wiarygodnych gwarancji bezpieczeństwa. Tutaj postawa Ukraińców się zmienia. Widać to wyraźnie w wynikach badań przeprowadzonych przez Międzynarodowy Kijowski Instytut Socjologii (KMIS). Między majem 2022 r. a listopadem 2023 r. od 80 do nawet 87 proc. Ukraińców podpisywało się pod deklaracją: „W żadnym wypadku Ukraina nie może zrezygnować ze swoich terytoriów, nawet jeśli w efekcie wojna potrwa dłużej, a niepodległość państwa będzie zagrożona”. W kolejnych miesiącach ten odsetek gwałtownie spadał. W grudniu 2024 r. tak nieprzejednane stanowisko wobec ustępstw prezentowało już tylko 51 proc. respondentów. 38 proc. (dla porównania: w maju 2022 r. było to 10 proc.) brało pod uwagę „rezygnację z części terytoriów” celem „jak najszybszego osiągnięcia pokoju i zachowania niepodległości”.

W grudniu 2024 r. KMIS pytał też Ukraińców o ich nadzieje i obawy związane z dojściem Trumpa do władzy w USA. Sondaż nie wykazał ani powszechnej depresji, ani powszechnej euforii. 45 proc. respondentów na pytanie: „Czy zwycięstwo Trumpa przybliży pokój na Ukrainie?” odpowiedziało twierdząco, 32 proc. – przecząco. Czy ten pokój będzie dla Kijowa sprawiedliwy? Zdaniem 7 proc. – „całkowicie sprawiedliwy”, według 16 proc. – „raczej tak, choć wymagać będzie ustępstw na rzecz Rosji”. 31 proc. odpowiedziało, że „niesprawiedliwy”, 29 proc. – że „trochę sprawiedliwy, trochę nie”. Ponadto coraz więcej Ukraińców jest gotowych zaakceptować ustępstwa terytorialne w zamian za konkretne gwarancje bezpieczeństwa.

OKNO MOŻLIWOŚCI

A jak na działania Waszyngtonu reaguje Moskwa? „Trump szybko zaprowadzi

porządek, a Europejczycy padną u stóp swojego pana” – stwierdził niedawno Putin w jednym z wywiadów. Poniekąd słusznie zauważył, że nowy prezydent USA „nie podoba się” europejskim elitom. Rosjanie liczą na Trumpa nie tyle jako na potencjalnego sojusznika, ile na to, że jego zdecydowane działania doprowadzą do kłótni z Europą i w efekcie do rozbicia jedności Zachodu. Ponadto, gdyby roszczenia terytorialne do Kanady, Meksyku czy Grenlandii zostały zrealizowane przy użyciu siły, oznaczałoby to powrót do koncertu mocarstw, a Putin zyskałby argument na poparcie własnej imperialnej polityki.

Gdy pojawiły się pierwsze przecieki z obozu Trumpa, z których wynikało, że będzie chciał ustanowić granicę rosyjsko-ukraińską na linii frontu, z Kremla i jego okolic dało się usłyszeć głosy niezadowolenia, rezonowane przez tamtejszą propagandę. Przecież Rosja rości sobie pretensje do całej Ukrainy, a już na pewno do tego, by mieć decydujący wpływ zarówno na geopolityczne wybory Kijowa, jak i na jego politykę wewnętrzną. Ponadto Putin może wyjść z twarzą z wojny tylko wówczas, gdy będzie mógł ogłosić zwycięstwo. Tego zaś wymaga chociażby osiągnięcie przez wojska rosyjskie granic obwodów donbaskich (wciąż niezrealizowane). Niemniej rozmowy zapewne się niebawem zaczną. A jeśli Ukraińcy pod presją Moskwy i Waszyngtonu przeprowadzą wybory, to przed Rosją otworzy się szerokie okno możliwości destabilizacji Ukrainy innymi niż militarne metodami.

Natomiast odbiór działań Trumpa przez kremłowskie elity być może najtreściwiej przedstawił w swoim programie naczelny rosyjski propagandysta, Władimir Sołowiow: „Trump to pierwszy uczciwy prezydent USA. Uczciwie ogłosił: »Wszyscy powinni mi płacić. Dawajcie kasę«. Kanada, Meksyk i reszta zgrai od razu się poddały. Niepotrzebna żadna demokracja ani suwerenność. Dusza człowiek. Trump kocha Rosję [...], ale może nałożyć na nas nowe antyrosyjskie sankcje. A co do Ukrainy, to będzie musiała oddać Ameryce swoje surowce w zamian za broń. Wszystko uczciwie. Dla Europy Trump przygotował rolę wasala, ale Europa się nie buntuje”.

AfD – z czym to się je?



Cezary Gmyz

Alternatywa dla Niemiec nie ma w Polsce dobrej prasy. Problem polega na tym, że opinie, które funkcjonują na temat tej partii w naszym kraju, są odbiciem tego, co piszą i mówią o niej niemieccy politycy i media. A obraz ten jest daleki od obiektywizmu i pełen przekłamań

Osobiście nie mam żadnych złudzeń co do tego, że wcześniej czy później Alternatywa dla Niemiec dojdzie do władzy. Choć dziś wszystkie obecne na niemieckiej scenie politycznej ugrupowania odznaczają się od wchodzenia w koalicję z AfD, to wydarzenia, do których doszło w końcu stycznia w niemieckim parlamencie, pokazują, że tzw. zapa ogniowa zaczyna wygasać. Przypomnijmy, jak to się stało. Szef CDU Friedrich Merz, po serii zamachów w Solingen, Magdeburgu oraz morderstwie dwuletniego dziecka i broniącego go mężczyzny w Aschaffenburgu, zgłosił projekt uchwały, a następnie ustawy wymierzonej wprost w imigran-

tów. AfD zadeklarowała poparcie dla tych projektów, choć w samej treści uchwały zawarto również krytykę tej partii. Merz cały czas odznaczał się od tego poparcia, szukając kompromisu z pozostałymi partiami. Ostatecznie uchwała została przyjęta przy wsparciu AfD.

Po tym wydarzeniu pozostałe niemieckie partie i media, a także lewicowi aktywiści rozpętały gigantyczną histerię. Do tego stopnia, że policja musiała chronić Konrad-Adenauer-Haus, czyli partyjną centralę chadeków, przed lewackimi bojówkami. Wszystko to sprawiło, że część posłów FDP zdezerterowała i nie wzięła udziału w głosowaniu nad ustawą antyimigracyjną, która miała implemen-

tować do niemieckiego prawa rozwiązania proponowane we wcześniej przyjętej uchwał. Samych głosów CDU/CSU i AfD nie wystarczyło, by przyjąć projekt, i w rezultacie ustawa upadła.

Wydawało się, że to zachwieje poparciem dla partii, które wspierały rozwiązania antyimigracyjne. Tak się jednak nie stało. Chadecka utrzymała poparcie na poziomie 30 proc., a AfD je nawet zwiększyła, dochodząc do 22 proc. Gdyby takie były realne wyniki wyborów, a te ugrupowania chciałyby tworzyć koalicję, to bez problemu uzyskiwałyby większość rządzącą. Na razie jednak chadekcy ze wszystkich sił odznaczają się od takiej koalicji. Nie da się jednak ukryć,



Elon Musk, który „pojawia się” w formie on-line na zjeździe AfD, został na nim owacyjnie przyjęty. FOT. SEAN GALLUP/GETTY IMAGES

nie ma partii antyrosyjskich. Wszystkie partie, które brały i biorą udział w sprawowaniu władzy wykonawczej, mniej lub bardziej były i są uwikłane w realną współpracę z Rosją. I nie ma najmniejszych wątpliwości, że Niemcy wcześniej czy później wrócą do robienia z Moskwą business as usual. Dobitnie to wyraził najbardziej znany rosyjski lobbysta, były kanclerz Gerhard Schröder, który otwartym tekstem, i to zaraz po inwazji na Ukrainę, powiedział: „Nie można izolować kraju takiego jak Rosja na dłuższą metę ani politycznie, ani gospodarczo. Niemiecki przemysł potrzebuje surowców, które Rosja posiada. Chodzi nie tylko o ropę i gaz, lecz także o metale ziem rzadkich. Są to surowce, których nie da się tak łatwo zastąpić”.

Dodajmy, nie jest w swoim myśleniu osamotniony. Wspierają go tak wpływowi politycy jak premier Meklemburgii-Pomorza Przedniego Manuela Schwesig z jego partii. To właśnie ona założyła lipną fundację ekologiczną za pieniądze Gazpromu, żeby dokończyć budowę Nord Stream. Wprawdzie w tej sprawie toczy się obecnie śledztwo, jednak nie przeszkodziło to wygrać ponownie wyborów w swoim landzie i objąć na kolejną kadencję funkcję szefowej lokalnego rządu. Takich polityków w Niemczech jest cała masa. Zwłaszcza na wschodzie. I nie dotyczy to wyłącznie socjalistów. Niewątpliwym rusofilem jest Michael Kretschmer, reprezentujący chadeków premier Saksonii. Człowiek, który jak ognia unika krytykowania Putina, co nie przeszkadzało mu za czasów PiS w zarzucaniu Polsce braku praworządności.

Wprawdzie Zieloni i FDP werbalnie odcinali się od Putina, jednak nigdy im to nie przeszkadzało brać udziału w rządach, które uzależniały Niemcy od rosyjskich surowców kosztem bezpieczeństwa Polski, Ukrainy czy państw bałtyckich. Jeśli zaś chodzi o partie lewicy postkomunistycznej, czyli Die Linke i Sojusz Sahry Wagenknecht, to ich stosunek do Rosji jest zdecydowanie bardziej czołobitny niż AfD, by nie powiedzieć, że ociera się o agenturalne uwikłanie.

Na tym tle umizgi AfD do Putina wyglądają dość blado. Owszem, zapewne są w szeregach AfD politycy, którzy wzorem Schrödera chętnie by się udali do bani, czyli rosyjskiej łaźni parowej, w towarzystwie rosyjskiego satrapy. Jednak trzy-

mani są na odległość. Kiedy pielgrzymowali do Rosji, wrota Kremla pozostawały dla nich zamknięte. W odróżnieniu od Schrödera, Merkel czy Scholza politycy AfD nie mają slit foci z Putinem. Nawiasem mówiąc, dla wielu polityków AfD ten brak od lat jest przyczyną frustracji.

Od razu jednak trzeba stwierdzić, że w AfD znacznie silniejsze jest stronnictwo transatlantyckie, a konkretnie: sympatyzujące z Donaldem Trumpem. Wprawdzie za pierwszych rządów Trumpa jego ambasador w Berlinie Richard Grenell w odróżnieniu od ambasadora Rosji nie podejmował polityków AfD na salonach, o co oni zabiegali, jednak politycy Alternatywy podróżowali dużo częściej za ocean niż do Moskwy. Wielu z nich nawiązało kontakty z protrupowskim skrzydłem republikanów. W rezultacie zaowocowało to jawnym wsparciem udzielonym AfD przez Elona Muska, który uznał tę partię za jedyną zdolną uratować Niemcy, przeprowadził na X długą rozmowę z Alice Weidel, czyli współprzewodniczącą Alternatywy, by na koniec, co prawda w formie on-line, pojawić się na zjeździe AfD, będąc owacyjnie przyjmowany. Nic dziwnego. Musk łął miód na serca polityków AfD, mówiąc im, że powinni patrzeć w przyszłość, i dodając: „Dzieci nie powinny być winne grzechów swoich rodziców, nie mówiąc już o ich pradziadkach”.

Słowa te wywołały zrozumiałe oburzenie również u polskich komentatorów. Jednak nie łudźmy się – znakomita część Niemców, nie tylko zwolenników AfD, w pełni podziela to, co mówił Musk. Nawet jeśli tego nie werbalizują publicznie, to ten rodzaj myślenia jest w Niemczech powszechny. I żeby było ciekawiej, wcale nie został ukształtowany przez AfD. Akcję zdejmowania poczucia winy z Niemców za rządy w latach 1933–1945 prowadzą w Niemczech od wielu lat ośrodki, które z AfD nie są związane – instytucje rządowe, media, uczelnie wyższe, a także wyspecjalizowane agencje public relations. Jest to na tyle skuteczne, że dziś spory odsetek Niemców deklaruje, iż ich przodkowie występowali przeciw Hitlerowi, co oczywiście nie ma nic wspólnego z rzeczywistością.

POLITYKA WOBEC POLSKI

Kolejnym problemem, jaki Polacy mają z AfD, są zarzucane jej tendencje

że pozostałe partie wypychają chadeków, przynajmniej retorycznie, w objęcia AfD. Sama zaś Alternatywa wzywa chrześcijańskich demokratów do wspólnego utworzenia rządu, jak to sama nazywa, koalicji mieszczańskiej. I choć na razie wszyscy komentatorzy nie widzą takiej możliwości po wyborach zaplanowanych na 23 lutego, to warto przyjrzeć się, co w istocie proponuje Alternatywa.

KRAJ PEŁEN RUSOFILÓW

Na samym początku trzeba sobie otwarcie powiedzieć – owszem, AfD jest partią prorosyjską, co oznacza, że jest na kursie kolizyjnym z polskimi interesami. Ale od razu zaznaczymy – w Niemczech w ogóle

rewizjonistyczne, jeśli chodzi o granicę. Nic takiego nie znajdziemy w programie AfD. Jednak nie da się ukryć, że wielu – jeśli nie większość – polityków AfD, kiedy ze strony polskiej pojawiają się żądania reparacyjne, natychmiast podnosi argument, że Polska już otrzymała reparacje w postaci ziem należących kiedyś do Niemiec. Jednak nie ukrywajmy – w Niemczech takie ahistoryczne myślenie jest powszechne nie tylko wśród zwolenników Alternatywy.

Kiedyś pytałem jednego z polityków AfD o kwestię rewizji granic. – Bądźmy poważni. Przez ponad 30 lat do dziś nie poradziliśmy sobie z integracją byłej NRD, która po zjednoczeniu była zamieszkała przez dość homogeniczne społeczeństwo etnicznych Niemców. Jak mielibyśmy sobie poradzić z wcieleniem do Niemiec ziem zamieszkałych również przez homogeniczne społeczeństwo narodowości polskiej? – stwierdził ów polityk.

Nie oznacza to, że wśród części zwolenników AfD takie mrzonki nie znajdują posłuchu. Przypomnijmy, że zwolennicy księcia von Reuss, wśród których była niedysiejsza posłanka AfD, marzyli o odtworzeniu granic Cesarstwa Niemieckiego z 1914 r. Przyznajmy jednak, że ich kabaretowa próba przygotowania zamachu stanu została rozbita przez niemieckie służby specjalne, a nawet rodzina księcia von Reuss się od niego odżegnała, uznając go za osobę niespełna rozumu.

Warto się przyjrzeć jednak innym elementom programu i politycznej praktyki AfD szczególnie w polskim kontekście. Nie da się ukryć, że za rządów PiS, pomijając kwestie współpracy z Rosją, Alternatywa często wspierała polski rząd. Kiedy w Parlamencie Europejskim Polska była atakowana, politycy Alternatywy jednoznacznie opowiadali się przeciw brukselskiemu establishmentowi, wręcz wskazując Polskę jako wzór dla Niemiec, jeśli chodzi o obronę narodowego interesu.

I to właśnie kwestie dotyczące Unii Europejskiej są najważniejszym elementem łączącym polskich konserwatystów z AfD. Spójrzmy, co pisze AfD w swoim programie: „UE przekształciła się w scentralizowany system, który podważa zasady demokracji i ogranicza suwerenność narodową. Pilnie potrzebny jest powrót

do konfederacji suwerennych narodów z wyraźnymi granicami. »Zielony Ład«, unia walutowa i planowane cyfrowe euro, a także nienasycony biurokratyczny aparat władz europejskich sprawiają, że przejście UE od scentralizowanego systemu jest trudniejsze niż kiedykolwiek w kierunku nowo powstałej europejskiej wspólnoty gospodarczej i wspólnoty interesów. W szczególności postrzegamy następujące kwestie jako wspólne interesy: 1. wspólny rynek; 2. ochrona granic zewnętrznych przed nielegalną imigracją; 3. strategiczna autonomia polityce w bezpieczeństwie; 4. zachowanie europejskich kultur i tożsamości”.

AfD i polskich konserwatystów łączy zbyt wiele wspólnych elementów programowych, by nie podejmować prób współpracy

Czytając to, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że większość zwolenników PiS czy Konfederacji pod taki postulatami podpisałaby się obiema rękami. A nie są to jedyne elementy programu AfD, z którymi polscy konserwatyści by się zgodzili. AfD opowiada się również za zwalczaniem przestępczości ze szczególnym uwzględnieniem przestępczości środowisk imigracyjnych. W jej programie zapisano również zniesienie opłat za emisję CO₂, co jak najbardziej jest w polskim interesie, podobnie jak postulat zniesienia dopłat do energii odnawialnej i wsparcie dla energetyki jądrowej. Podobnie jest z programem dla rolnictwa – AfD opowiada się przede wszystkim za zmniejszeniem biurokracji, z którą muszą się borykać producenci rolni.

Bardzo istotnymi elementami programu AfD są polityka prorodzinna i sprzeciw wobec antynatalistycznej polityce proponowanej przez Brukselę. Co ciekawe, choć kandydatką na kanclerza Niemiec z ramienia AfD jest Alice Weidel, zdeklarowana lesbijka żyjąca w związku ze swoją partnerką, to w programie AfD nie znajdziemy żadnych elementów wspierających środowiska LGBTQ. Wręcz przeciwnie – liczni politycy AfD sprze-

ciwiają się ideologicznym szaleństwom homoseksualnych aktywistów i głoszą, że przedszkola i szkoły muszą być wolne od ideologicznych szaleństw.

Co jednak najciekawsze, to w szeregach AfD jest sporo polityków, którzy sympatyzują z polskimi konserwatystami. Głośny był ostatni występ Tomasza Froelicha, który podczas debaty w Parlamencie Europejskim nad polską prezydenturą zwrócił się do Donalda Tuska najpierw po polsku, by za chwilę przejść na niemiecki, stwierdzając, że ten język bardziej dociera do polskiego premiera. Nawiasem mówiąc, jeden z jego przodków był powstańcem warszawskim. Z Polską sympatyzuje też Petr Bystron, Czech z pochodzenia, który polskiego nauczył się w Czeskim Cieszynie. Nie ukrywa, że podobały mu się dziewczyny z polskiej strony Olzy, i to była jedna z przyczyn, dla której przyswoił sobie język.

Jednak wielu polityków AfD, którzy polskiego nie znają, przyznaje, że Polskę lubi, a nawet jest to ich ulubiony kraj na wakacyjne wypady. Często w Polsce bywa współprzewodniczący Tino Chrupalla, którego można zobaczyć po drugiej stronie Nysy Łużyckiej, gdzie chętnie jada obiady ze swoją rodziną. Wielokrotnie chwalił Polskę za jej politykę migracyjną, zwracając uwagę, że poziom bezpieczeństwa w naszym kraju dzięki ograniczeniu imigracji jest znacznie większy niż w Niemczech.

SILA Z POTENCJAŁEM

Nie ma wątpliwości, że nawet jeśli po najbliższych wyborach AfD nie będzie tworzyć rządu, to będzie ona co najmniej drugą siłą na niemieckiej scenie politycznej. A niektórzy wręcz twierdzą, że ma szansę wygrać wybory. W tej sytuacji lekceważenie jej, a już zwłaszcza przyłączenie się do tworzenia wokół tej partii zatory ogniowej byłoby polityczną głupotą.

AfD i polskich konserwatystów łączy zbyt wiele wspólnych elementów programowych, by nie podejmować prób współpracy choćby w kwestii obrony w kwestii obronny suwerenności narodów europejskich. Jednocześnie nie ma się co łudzić, że politycy tej partii nagle stracą sympatię do Rosji. Ale de facto to dotyczy całej niemieckiej klasy politycznej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Pomnik Hafiza al-Asada, ojca Baszara, obalony po ucieczce tego drugiego z Syrii

FOT. AA/ABACA PRESS/FORUM

Koniec Syrii, jaką znaliśmy



Krystian Kamiński

Lenin stwierdził, że „zdarzają się całe dekady, gdy nic się nie dzieje, a potem nadchodzą tygodnie, w trakcie których dzieje się więcej niż przez poprzednie dekady”. Mówił to w odniesieniu do swoich transformacyjnych czasów prawdziwego początku wieku XX. Dwanaście dni między 27 listopada a 8 grudnia wyznacza właśnie tego rodzaju moment przyspieszenia historii na Bliskim Wschodzie

Upadła Syryjska Republika Arabska, jaką znaliśmy. Upadł nie tylko taki czy inny prezydent i otaczająca go elita. Upadł ostatni, epigoński twór ideologii baasizmu, świeckiego panarabskiego nacjonalizmu skoncentrowanego na budowie scentralizowanych państw według europejskiego modelu. Panarabska ambicja baasistów została zarzucona jeszcze w latach 60. XX w.,

gdy okazało się, że wspólnej przyszłości nie potrafi zbudować nie tylko kilkaset milionów Arabów, ale nawet sami działacze Baas, którzy rozłamali się na frakcję iracką i syryjską, trwające następnie we wzajemnej wrogości. Hafiz al-Asad, ojciec Baszara, którego upadek właśnie obserwowaliśmy, przejął władzę nad tą ostatnią i nad całą Syrią, by realizować już nie ideę panarabską, ale pansyryjską.

Był w tym pewien historyczny paradoks, bo wcześniej Baas bezwzględnie zwalczała Syryjską Partię Socjal-Nacjonalistyczną promującą pansyryjanizm. Asadowie, szermując nadal hasłami panarabskimi, w praktyce realizowali ideologię SPSN – ideologię pansyryjską. Ostrze tego paradoksu tępi fakt, że małżonka al-Asada seniora i matka juniora – Anisa Machluf – wywodziła się z rodziny działaczy SPSN.

Al-Asad senior osiągnął sukces. Syria w praktyce miała ostatnie słowo w polityce libańskiej, miała swoje aktywa w palestyńskim życiu politycznym. Miarą jego elastyczności był fakt, że Syria przyłączyła się do inwazji na Irak pod przewodem USA w 1991 r. Jego syn musiał kontynuować politykę utrzymywania na powierzchni państwa, które zostało skonstruowane w ogniu konfliktu z Izraelem i jego amerykańskim protektorem, w czasie hegemonicznej chwili tego ostatniego.

Łatwo dziś sztydzić z Baszara al-Asada w obliczu jego upadku. Nie należy jednak zapominać, że rządził przez 24 lata, w czasie których nigdy nie trzymał w ręku zbyt mocnych kart. Syria była reliktem przeterminowanej ideologii, graczem raczej przegranym w toku zimnej wojny, a przede wszystkim państwem pod względem terytorialnym i ludnościowym co najwyżej średnim w skali swojego regionu, pozbawionym tak wielkich zasobów surowców naturalnych jak Irak, Iran czy monarchie Zatoki Perskiej.

CIĘŻAR SANKCJI

Przez 13 lat al-Asad utrzymywał się u steru kurczącej się, a potem poszerzającej domeny, mimo że opierał się ugrupowaniom zbrojnym, które szybko stały się pośrednikami USA, Wielkiej Brytanii, Francji, Arabii Saudyjskiej, Kataru, Zjednoczonych Emiratów Arabskich i Turcji. Przeżył też bezprecedensowy grom międzynarodówki dżihadystycznej w postaci Państwa Islamskiego. Na początku mógł opierać się tylko na Iranie, Hezbollahu i innych szyickich organizacjach paramilitarnych regionu. Rosja interweniowała na jego rzecz dopiero jesienią 2015 r. Al-Asad zdołał uzyskać względne zamrożenie konfliktu w dość korzystnym dla siebie układzie terytorialnym, utrzymując zdecydowaną większość gęsto

■ zaludnionego, zagospodarowanego niegdyś pasa kraju z dostępem do morza. Łoża naftowe pozostały pod kontrolą Amerykanów w prowincji Daj az-Zaur.

Ich posiadanie niewiele jednak zmieniłoby w sytuacji Syrii. Została ona obłożona bardzo wysokimi sankcjami, które nie tyle uniemożliwiły jej powstanie z gruzów, ile wręcz powodowały dalsze zapadanie się gospodarki państwa i sytuacji materialnej jego mieszkańców. Sankcji tych nie odważyli się przekroczyć szejkowie z Zatoki Perskiej, mimo że petromonarchie znormalizowały relacje polityczne z al-Asadem.

IMPLOZJA SYSTEMU

W efekcie państwo przestawało wykonywać swoje podstawowe funkcje, na które po prostu nie było pieniędzy. Ludzie głodowali, także żołnierze. Służba zdrowia na prowincji niemal przestała działać. Hiperinflacja. Brak porządnego dachu nad głową dla znacznej części społeczeństwa. Mimo dyplomatycznych zabiegów prezydenta Syrii i jego sojuszników nie było widoków na odwrócenie tego stanu rzeczy. Największym sektorem realnej gospodarki stała się produkcja narkotyku – fenetyliny – co tylko pogłębiało feudalizację państwa i armii. Zasobów przestało wystarczać już nawet dla elity. Jesienią 2024 r. także ona, a co najmniej jej część, zwróciła się więc przeciwko al-Asadowi.

Armia syryjska nie walczyła, lecz wycofywała się, pozostawiając za sobą uzbrojenie. Jedyne większe starcie tej „kampanii” to jednodniowa bitwa pod Hamą. Wcześniej i potem nie bił się już praktycznie nikt. Na finale pojawiły się informacje o wprost sformułowanych rozkazach do żołnierzy, w tym Gwardii Republikańskiej, która przecież zawsze odgrywała rolę pretorian systemu, by nie podejmować walki. Nominowany we wrześniu przez al-Asada premier Muhammad Ghazi al-Dżalali 8 grudnia, gdy bojownicy różnego autoramentu chaotycznie spacerowali już po stolicy, czekał gotowy na rozmowy z nadchodzącymi islamistami.

Upadek al-Asada i całego systemu Syryjskiej Republiki Arabskiej to nie kwestia siły i dokonań militarnych Hajat Tahrir asz-Szam (HTS) i innych ugrupowań antyrządowych. To nawet nie kwe-

stia porzucenia byłego prezydenta przez sojuszników. Pierwsze dni, wypełnione rosyjskimi bombardowaniami zgrupowań i zaplecza HTS, czy koncentracja na granicy oddziałów irackich, szyickich Haszd asz-Szabi zdają się sugerować, że to drugie nie było przesądzone. Al-Asad upadł, bo w samej Syrii zabrakło już większych grup społecznych gotowych do obrony jego władzy. System tej władzy w zasadzie implodował, a nie został rozbity.

WYGRANI I PRZEGRANI

Upadek Syryjskiej Republiki Arabskiej to sukces USA. Upada państwo z genem antyamerykanizmu i antysyjonizmu, choć elastyczne w swojej polityce. To ustawa Cezara – poprzez nią Waszyngton wprowadził niezwykle wysokie sankcje na Syrię – przeforsowana jeszcze w 2020 r. usunęła al-Asadowi dywan spod nóg. To, co nie udało się Barackowi Obamie i Donaldowi Trumpowi, stało się zwieńczeniem kadencji lekceważonego Joe Bidena i jest to tylko jedno z jego zwycięstw na Bliskim Wschodzie.

Upadek Syryjskiej Republiki Arabskiej to sukces USA. Jest natomiast zasadniczą klęską dla Iranu

Upadek al-Asada to krach irańskiej „Osi Oporu” przeciwko Izraelowi. Wyjęcie jej zwrótnika. Nie ma chyba przypadku w tym, że HTS rozpoczął swój marsz wkrótce po ogłoszeniu niezbyt przestrzeganego rozejmu w Libanie, który potwierdził zużycie sił Hezbollahu, innego czołowego sojusznika Teheranu.

Izrael – drugi zwycięzca w tej sytuacji – natychmiast rozpoczął bombardowania celów w Syrii na niespotykanym wcześniej poziomie. Niszczył instalacje wojskowe i uzbrojenie pozostałe po armii rządowej, już kalkulując relacje z przyszłymi panami Syrii. Co jeszcze ważniejsze, lądowe oddziały Izraela zajęły kolejne terytorium Syrii – pas strefy zmilitaryzowanej patrolowany dotychczas przez kontyngent sił ONZ-UNDOF, górę Hermon, i posunęły się okresowo

na odległość zaledwie ok. 25 km od Damaszku.

Rosyjska ambasada w Damaszku, inaczej niż irańska, nie została zaatakowana przez bojówkarzy. Celem ataków nie są też generalnie rosyjskie bazy i posterunki w Syrii, co oznacza, że w odpowiednim czasie Moskwa zdołała uruchomić kanały negocjacji z koalicją HTS. Upadek al-Asada to porażka rosyjskiej polityki, jednak nie całkowita. Istnienie bazy morskiej w Tartusie i bazy lotniczej Humajjim stało się przedmiotem negocjacji Kremla z asz-Szarą, choć ten stawia wymagające warunki.

Upadek Syryjskiej Republiki Arabskiej jest natomiast zasadniczą klęską dla Iranu, który utracił to, co wywalczył wielkim nakładem zasobów materialnych, a także krwi członków Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej i najbliższych sojuszników przez ostatnie 21 lat. Iran sam staje się obecnie celem dla ostrza amerykańsko-izraelskiej polityki, co rodzi poważne dylematy dla elity Republiki Islamskiej.

SUKCES SUŁTANA

Turcja jest trzecim i głównym wygranym w obecnej sytuacji. W związku z wycofaniem się Rosji oraz osłabieniem Iranu Turcy otrzymują znacznie szersze pole do działania. Recep Tayyip Erdoğan od początku, od 2011 r., postawił na obalenie al-Asada. Pod koniec ubiegłej dekady stał się zarazem głównym protektorem i sponsorem arabsko-islamistycznych ugrupowań zbrojnych. To on zagwarantował, w układzie z Rosją i Iranem, istnienie ich rezerwatu w części prowincji Idlib, z której wyszedł coup de grace wobec al-Asada. Od 2022 r. Turcy sygnalizowali gotowość do normalizacji relacji z al-Asadem. Trudno dziś określić, czy były to sygnały szczerze czy od początku była to gra na zmylenie syryjskiego prezydenta.

Nad północną Syrią mający już widmo dużej ofensywy tureckich pośredników z tzw. Syryjskiej Armii Narodowej (SNA), a być może bezpośrednio tureckiej armii, które zroluje władzę struktur parapaństwa kierowanego de facto przez kurdyjską Partię Unii Demokratycznej (PYD) spod granicy tureckiej na kolejnych obszarach pogranicza w okolicach Ajn al-Arab, może nawet regionie Hasaki.

Tymczasem to właśnie obszary północne są matczynikiem ludności kurdyjskiej, na południu kurdyjskie struktury polityczne utrzymują niepewną władzę nad zawsze skorymi do lawirowania plemionami arabskimi, a te w Daj raz-Zaur i Aleppo pokazały już w grudniu burzliwymi manifestacjami, że nie chcą władzy anarcho-socjalistycznej PYD, która podjęła próbę ekspansji na obszary wokół tych miast. Odrębność i wysoki zakres kontroli nad SNA będzie narzędziem forsowania własnej agendy w Syrii.

Dla Ankary ona i jej parapaństwo są przedłużeniem Patrii Pracujących Kurdystanu (PKK), głównego wroga. Być może jednak sygnał do rozmów, który pod koniec roku wyszedł od przywódcy tureckiej, prorządowej Partii Narodalistycznego Działania (MHP) Devleti Bahçela, na który pozytywnie odpowiedział więziony przywódca PKK Abdullah Öcalan, będzie mieć znaczenie także w kontekście Syrii. Amerykańskie patrole pojawiły się nawet w Ajn al-Arab. O ile jednak Amerykanie byli w przeszłości zdeterminowani, by bronić kurdyjskiego parapaństwa na jego południu, gdzie tworzą kordon sanitarny przy granicy Iraku, który utrudniał istnienie osi Teheran-Bagdad-Damaszek-Bejrut, o tyle na północy Donald Trump w 2019 r. przystał na turecką ofensywę „Źródło Pokoju”, która odebrała Kurdom znaczną połąć wzdłuż tureckiej granicy od Tall Abjad do Ras al-Ajn. Trump właśnie wrócił do władzy.

Na poziomie międzynarodowym do Turcji nie jest już przyłożony główny, silny lewar, jakim mogła na nią oddziaływać Rosja, co umożliwi Erdoğanowi przyjęcie bardziej asertywnej postawy wobec Putina.

SPRZECZNE CELE

Ahmad asz-Szara i jego HTS próbują teraz osiągnąć dwa cele. Osiągnąć międzynarodową legitymizację i skupić w swojej ręce nitki władzy nad całym krajem. Z asz-Szarą spotkali się już m.in. amerykańska delegacja z asystentką sekretarza stanu USA do spraw Bliskiego Wschodu na czele, ministrami spraw zagranicznych Niemiec i Francji. Wyznaczeni przez HTS ministrowie obrony, spraw zagranicznych i szef wywiadu byli już w Arabii Saudyjskiej,

lecz tam podjął ich jedynie wiceszef dyplomacji. 6 stycznia ten drugi wybrał się do Kataru. Jednak Zachód wciąż nie dał jednoznacznego sygnału w sprawie sankcji, bez zniesienia których nie ma szans na odbudowę kraju.

Lepiej idzie przywódcy islamistów w regionie. 30 stycznia podejmował emira Karatu, jedynego monarchę Zatoki Perskiej, który nie pojednał się z al-Asadem w ostatnich latach. 2 lutego był już uroczystość podejmowany w Rijadzie, gdzie spotkał się z następcą tronu i faktycznym kreatorem polityki Arabii Saudyjskiej Muhammadem ibn Salmanem.

Nad północną Syrią mający już widmo dużej ofensywy tureckich pośredników z tzw. Syryjskiej Armii Narodowej

Jako drugi cel osiągnięcie pełni władzy – asz-Szara próbuje realizować politykę faktów dokonanych. Powołał rząd tymczasowy składający się z wyłączenie z kręgu HTS. Przejął również kontrolę nad węzłowymi instytucjami państwowymi w formalnej stolicy, takimi jak bank centralny z 26 tonami złota. W końcu zgromadzenie komendantów HTS i organizacji sprzymierzonych obwołało go 29 stycznia tymczasowym prezydentem, który otrzymał kompetencję samodzielnego nominowania tymczasowych quasi-parlamentu.

Jak wspominałem na wstępie, upadek Syryjskiej Republiki Arabskiej to upadek samej ideologii arabsko-syryjskiego świeckiego nacjonalizmu będącego ideologiczną nadbudową tego państwa. Asz-Szara tworzy nowe struktury władzy, armii i sił bezpieczeństwa, stawiając na eksponowanych stanowiskach nawet cudzoziemskich islamistów. Te instytucje są jednak na razie zawieszone w przestrzeni niskiej legitymizacji. Wielu komentatorów zdaje się zapominać, że gdy al-Asad uciekał ze stolicy, jako pierwsze zajęły ją nie oddziały HTS, lecz mniej lub bardziej spontanicznie buntujące się oddziały dawnych rebeliantów z regionu stołecz-

cyliacji” al-Asada zgodziły się zaprzestać walki. Dziś koalicja Sił Operacji Południa rośnie w siłę, zwłaszcza w prowincji Dara wchodząc w układy ze specyficzną grupą konfesyjną druzów z Suwaydy. Przywódca tej pierwszej, Ahmed al-Awdah, odrzucił postulat podporządkowania swoich sił nowej armii tworzonej przez „rząd tymczasowy” HTS. Nie sądzę, by Turcja łatwo zrezygnowała z kontroli per proxy, jakim jest na północy SNA.

Polityka HTS będzie rozrywana przez dwa przeciwstawne wektory. Na potrzeby polityki zagranicznej, pojednania z Zachodem, asz-Szara, dawny człowiek Al-Kaidy, będzie musiał zakładać garnitur, deklarować powołanie władzy „z wyboru narodu” i tolerancję etnokonfesyjną. Potrzeba utrzymania kontroli nad własnym zapleczem politycznym będzie jednak wymagała liczenia się z rzeszami salafitów, którzy wynieśli go do władzy. W praktyce już dochodzi do pogromów społeczności konfesyjnej alawitów, z której wywodził się ród al-Asadów. Dochodzi też do ataków o niskiej intensywności na inne społeczności mniejszościowe.

SIŁA PARTYKULARYZMÓW

Wielu publicystów twierdziło, że to islamizm może się stać ideologią konsolidującą państwa i świat arabski. Z perspektywy wojny syryjskiej mozaiki religijno-narodowościowej wydaje się jednak, że jest on jedynie ideologią polaryzującą ten świat. Cechą charakterystyczną świata arabskiego jest również to, że upadek hierarchicznych struktur władzy, zapadnięcie się oficjalnych struktur politycznych, choćby utrzymywanych siłą, wyzwala istną kaskadę partykularyzmów. Bardzo często jedyną ojczyzną okazuje się dla Araba wówczas jego plemię lub klan.

Kto chce, niech wierzy w zmianę poglądów wodza Tahrir asz-Szam. Ja sądzę, że nawet gdyby Ahmad asz-Szara przeszedł daleko idącą duchową przemianę, to i tak odśrodkowa siła partykularyzmów uruchomi konflikty, w których radykalny islamizm będzie politycznie poręczny, a presja radykalnie nastrojonych grup sunnitów wydatna. To niepomysłny zwiastun dla lokalnych chrześcijan, szczególnie jeśli wspomnieć skutki upadku systemu baasistowskiego w Iraku.



Premier Włoch Giorgia Meloni to jedna z głównych sojuszników prezydenta USA Donalda Trumpa w Europie. FOT. FILIPPO ATTILI/AFP/EAST NEWS

JACEK PRZYBYLSKI: Prezydent Donald Trump zaskoczył świat, podejmując w pierwszych tygodniach urzędowania wiele bardzo stanowczych decyzji. Europejscy konserwatyści liczą na to, że zmiana w Białym Domu sprawi, iż łatwiej będzie im zwyciężyć w starciu z lewicą na Starym Kontynencie. Sądzi pan, że Trump rzeczywiście może pomóc w eksporcie prawicowych rządów?

BILL ROBINSON: Rzeczywiście w Ameryce i Amerykanach doszło do politycznego trzęsienia ziemi. Nie tylko sądzę więc, że prezydent Trump może pomóc w rozprzestrzenianiu się tej pięknej, ideologicznej zmiany, lecz także jestem przekonany, że ten proces już się rozpoczął. Już teraz coraz śmielej na europejskiej scenie politycznej występują tacy ludzie jak premier Węgier Viktor Orbán, premier Włoch Giorgia Meloni czy brytyjski polityk Nigel Farage. Istnieje już cała grupa supergwiazd. Nie określam ich mianem polityków, a polityków celebrytów, to bowiem głośni na całym świecie bojownicy walczący o radykalne zmiany w Europie. Nie mam więc żadnych wątpliwości, że w Europie będziemy obserwowali prawdziwą eksplozję nowego poczucia wolności i swobody i że Europejczycy będą się cieszyć z podobnej zmiany, którą przechodzi teraz Ameryka. Nasza walka też nie jest jeszcze skończona.



Z Billem Robinsonem, felietonistą amerykańskiego serwisu Newsmax rozmawia Jacek Przybylski

Trump pomoże europejskim konserwatystom

Lewica w Europie zwiera jednak szyki i nie zamierza łatwo oddać władzy. Wierzy pan w jakiś kompromis między konserwatystami a liberałami?

Nie. Ludzie, którzy zezwalają na aborcję, na zabijanie bezbronnych dzieci w łonie matki, są gotowi zabić wszystkich. Gdy oni sprawują władzę, nie mogą się czuć bezpiecznie nie tylko konserwatywni publicyści.

Zagrożony jest także los osób starszych i nastolatków. Szkoły publiczne nie są już bezpieczne, bo zostały poddane radykalnym wpływom lewicowej ideologii. W tym sporze nie chodzi więc tylko o kwestie gospodarcze czy zatrzymanie nielegalnej imigracji – choć to również bardzo ważne kwestie – ale o ochronę naszych dzieci.

Jeśli w Europie nadal będzie dominować ideologia mówiąca, że aborcja to coś normalnego, to powinno się stąd zabrać wszystkie potencjalne matki. Donald Trump to najbardziej pro-liferski prezydent w historii naszego kraju, choćby ze względu na rolę, którą odegrał podczas swojej pierwszej kadencji w unieważnieniu wyroku Roe vs. Wade [który przez niemal pięć dekad gwarantował Amerykanom prawo do przerwania ciąży – dop. red.]. To była kluczowa decyzja, ponieważ jeśli nie dbasz o życie nienarodzonych, to naprawdę masz kompletnie gdzieś, co się stanie z każdą inną osobą. Obecna polityka lewicowych władz w Europie, które z uśmiechem na ustach promują zabijanie dzieci i chcą pozamykać w więzieniach wszystkich tych, którzy myślą inaczej, prowadzi do tego, że w wielu europejskich miastach jest już więcej psów i kotów niż małych dzieci. To jakiś obłęd! Obecna walka nie toczy się tylko o władzę, to walka o przyszłość ludzkości. Właśnie dlatego Donald Trump nie tylko zdjął rękawice, lecz także na zaciśnięte pięści założył kastety. On walczy tak zacięcie, jak wzywał do walki podczas zamachu na swoje życie. I to samo powinni robić Europejcy konserwatyści: walczyć, walczyć, walczyć! Wiem, że potraficie. Mieszkając przez osiem lat w Wielkiej Brytanii, poznałem wielu Polaków i wiem, jak ostro postawiliście się Niemcom. Wy nie jesteście jak Francuzi!

Konserwatywni felietoniści malują bardzo radykalny obraz lewicy. Tymczasem Donald Trump w liberalnych mediach też przedstawiany był jako faszysta, który zostanie dyktatorem i zniszczy amerykańską wolność. W podobny sposób są zaś dziś przedstawiani Europejcy konserwatyści marzący o powrocie do władzy jako ekstremiści lub w najlepszym razie jako populiści.

W Polsce też? Jaruzelski powrócił? To oczywisty nonsens. Gdy lewicowi politycy lub lewicowe media mówią o tym, że Trump, Meloni czy Orbán są faszystami, to ewidentnie łżą jak psy. Od lat próbują budować narrację, w której Stalin był odwrotnością Hitlera. A przecież wcale tak nie było! Zarówno Hitler, jak i Stalin byli potwornymi zbrodniarzami, tyranami, którzy chcieli podbić cały świat. Trump taki nie jest. Meloni też nie. Ani Orbán. Dużo bliżej do tyranów jest prezydentowi Francji Emmanuelowi Macronowi,

założycielowi Światowego Forum Ekonomicznego Klausowi Schwabowi czy dotychczasowemu premierowi Kanady Justinowi Trudeau. Z przyjemnością można było obserwować, jak niewiele trzeba było Trumpowi, aby pozbawić stołka tego ostatniego. Wystarczył jeden żart Trumpa na platformie X o tym, że Kanada powinna stać się 51. stanem USA, a Kanadyjczycy pozbyli się Trudeau. W Europie tak potężna jak Trump może wkrótce stać się Meloni.

Mógłby to być również Nigel Farage, ale Wielka Brytania zмага się obecnie z inwazją islamskich imigrantów. Brytyjczycy zupełnie zrezygnowali z tego, co brytyjskie. Pozwolili muzułmanom nie tylko osiedlić się w ich kraju, lecz także kompletnie go przejąć i urządzić na własną modłę. Efekt? Ulubionym daniem na Wyspach nie jest już smażona ryba z frytkami, lecz curry, a wśród najpopularniejszych imion nadawanych dzieciom próżno szukać tych o brytyjskim rodowodzie. Brytyjczycy kompletnie stracili więc kontrolę nad tym, co dzieje się z ich ojczyzną. To właśnie dzieje się wówczas, gdy pozwalasz komu popadnie osiedlać się w swoim kraju.

Lewicowi politycy i aktywiści przekonują jednak, że ludzie powinni mieć prawo emigrować do krajów, gdzie będzie się im żyło lepiej niż w ojczyźnie. To jedno ze współczesnych praw człowieka...

To absolutnie nie jest prawo człowieka! Chyba że jesteś skończonym idiotą. Nie trzeba być specjalnie rozgarniętym, aby móc przewidzieć, że jeśli wpuścisz wszystkich jak leci do swojego kraju, to stracisz tożsamość narodu. A jeśli to się stanie, to już po tobie. Nancy Pelosi przez lata przekonywała do otwarcia granicy amerykańsko-meksykańskiej i spójrz, co się stało. Moim zdaniem nadszedł czas, by wrócić do procesów karnych dla zdrajców narodu. Ostatni raz dokonaliśmy egzekucji sowieckich szpiegów w roku 1953. Wówczas za zdradę stanu zostali straceni Ethel i Julius Rosenbergowie [sąd skazał ich na śmierć za przekazywanie sowieckim agentom tajemnic dotyczących broni jądrowej – dop. red.]. Czy ktoś chce mi powiedzieć, że przez ostatnie pół wieku żaden demokrat nie dopuścił się zdrady? Nie. Po prostu udało im się doprowadzić do upadku system sprawiedliwości

i używają go teraz przeciwko nam. Od czasów Marksa, Engelsa i Trockiego lewicowi politycy wiedzą, że najważniejsze do utrzymania władzy jest zwycięstwo w walce o umysły dzieci. Dlatego walczą o szkoły i wytaczają jak najpotężniejsze działa przeciwko Kościołowi. Następcy bolszewików próbują szerzyć swoją chorą ideologię w Stanach Zjednoczonych i w Europie. Dlatego tak cieszy mnie to, że Europejcy konserwatyści próbują walczyć o odzyskanie władzy i uczynienie Europy znowu wielką.

Naprawdę wierzy pan, że Europę da się jeszcze uczynić znowu wielką? Gdy spojrzysz się na statystyki dzietności, wzrostu gospodarczego czy poziomu rozwoju sztucznej inteligencji, perspektywę wydają się dość ponure. Europejczycy przez ostatnie dwie dekady dali się mocno wypierdzić nie tylko Stanom Zjednoczonym, lecz także Chinom.

W amerykańskiej Deklaracji niepodległości kluczową frazą jest zwrot „We the people” (My, naród). Wierzę w mądrość Europejczyków i w gotowość konserwatystów do walki o przyszłość Europy. Gdy kilka tygodni temu robiłem wywiad z Donaldem Trumpem, wiele ludzi wciąż się z niego śmiało. Niektórzy mogą się naigrywać z Meloni czy z Orbánem, ale narody są mądrzejsze od propagandy. Ludzie widzą, że władze stosują cały czas stare sztuczki. Gdy kłamstwa lewicy wychodzą na jaw, jej pozycja szybko spada. Wierzę więc w przebudzenie i sukces Europy, i że będzie znowu MEGA. Moim zdaniem w tym celu musicie jednak rozpedzić unijnych biurokratów i rząd cieni w Brukseli, którzy nakładają na was tylko kolejne podatki. Musicie w narodowych parlamentach walczyć o większą konkurencyjność waszych krajów i zacząć wielkie zmiany od tego krajowego podwórka.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Bill Robinson jest felietonistą amerykańskiego serwisu Newsmax i komentatorem takich telewizji jak Fox News, CNN, PBS, Bloomberg czy BBC. Przez siedem lat był jedynym konserwatywnym felietonistą liberalnego „Huffington Post”. Publikował również na łamach m.in. „The Wall Street Journal Europe”, Forbes.com, „The Financial Times” czy „The Moscow Times”.



ZALOTY FANÓW

Japońska zawodowa wrestlerka Kanako Urai, pseudonim Asuka, miała spotkanie z fanami, o którym postanowiła powiadomić policję. Zdaniem 43-letniej sportsmenki zachowywali się oni wobec niej zalotnie. Chociaż Asuka nie wskazała żadnego konkretnego, to oznajmiła na X, że czuje się zagrożona. Według Fox News to nie pierwszy przypadek, kiedy fani wrestlingu okazują gwiazdom tej dyscypliny sportowej zbyt daleko posunięty entuzjazm.

FOT. STEPHANE VERNE/WIKIPEDIA CC BY 2.0

SŁOWO NA „I”

Burmistrz Detroit Mike Duggan znalazł się pod ostrzałem krytyki za to, że wobec nielegalnych imigrantów używa określenia „słowo na »i«”. Aktywiści z kręgów lewicowo-liberalnych potępili samorządowca, zarzucając mu, że stosuje zwrot, który – ich zdaniem – jest niewłaściwy i niehumanitarny. Jednocześnie sprzeciwiają się terminowi „nielegalni imigranci” i domagają się, by osoby określane tym mianem nazywać „imigrantami nieudokumentowanymi” lub „nieautoryzowanymi”.

KASYNO NIE DLA KAŻDEGO

W Chicago planowane jest otwarcie w roku 2026 nowego kasyna. Różni ludzie chcą mieć w nim swoje udziały, tyle że nie każdy z nich może. Sporządzono bowiem umowę, w której znalazł się zapis, że inwestować w kasyno mogą tylko osoby należące do grup, które władze miejskie Chicago uważają za „społecznie upośledzone”. Chodzi o mniejszości i kobiety. Biali mężczyźni czują się zatem

dyskryminowani. Dwóch z nich wstąpiło w tej sprawie na drogę sądową.

„ŻONA” CZY SYN?

Para lesbijek z Wielkiej Brytanii w ubiegłym roku zawarła „małżeństwo”. Rzeczą w tym, że jedna z tych pań lekkomyślnie chwali się w mediach społecznościowych zdjęciami, na których prezentuje się razem ze swoją „żoną”. A ta, mając filigranową sylwetkę i nosząc krótkie włosy, wygląda przy tamtej na około 10-letniego chłopca. Tak to widzą internauci, którzy okazują się bezwzględni. Wyzłościwiają się, że matka „poślubiła” syna.

DZIWNY BAGAŻ

Na lotnisku Alicante-Elche w walizce 63-letniej kobiety funkcjonariusze hiszpańskiej Straży Obywatelskiej znaleźli blisko 20 tys. tabletek na zaburzenia erekcji. Właścicielka bagażu ani nie była w stanie wytłumaczyć, dlaczego miała ze sobą te środki, ani nie przedstawiła dokumentów uzasadniających ich transport. Niemniej została aresztowana pod zarzutem przestępstw przeciw zdrowiu publicznemu oraz przemytu. © ©

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Twarda gra Trumpa

Decyzje Donalda Trumpa ogłoszone tylko w lutym są potwierdzeniem tego, że jest on nie tylko przewidywalnie nieprzewidywalny. W jego działaniach widoczny jest jeden, jasny cel: za czasów jego prezydentury Ameryka ma stać się dominującym mocarstwem. Jej dominacja ma być zaś oparta głównie na brutalnej sile. Ameryce Trumpa nie zależy już na soft power czy partnerstwie, zależy jej na władzy oraz zyskach.

Gdy ogłaszał wyższe cła na Kanałę i Meksyk niż na Chiny, amerykański dziennik „The Wall Stre-

et Journal” pisał o „najgłupszej wojnie handlowej w historii”.

Przyparty do muru Meksyk przez dwa dni próbował mówić coś o „planie B”, ale szybko uległ żądaniom hegemonu. Już w poniedziałek 3 lutego, wczesnym rankiem, prezydent Claudia Sheinbaum obiecała, że jej kraj uszczelni granicę ze Stanami Zjednoczonymi w zamian za odroczenie o miesiąc zapowiadanych cła. Na granicę pomaszerowało 10 tys. żołnierzy meksykańskiej Gwardii Narodowej. Wkrótce po niej podobną obietnicę złożył premier Kanady Justin Trudeau. Trump cła zawiesił.

Wcześniej przed żądaniami Trumpa ugięła się Kolumbia, zgadzając się na przyjmowanie samolotów z imigrantami. Aby odstraszyć śmiazków marzących o lepszym życiu w USA, Donald Trump ogłosił, że zatrzymani będą transportowani do obozu w Guantanamo. Niby mało to racjonalne, ale sieje grozę, więc może zadziałać.

Widząc zdecydowane działania przywódcy USA, ton zmienili już Duńczycy. Premier tego kraju Mette Frederiksen ogłosiła, że jej kraj jest gotów pozwolić USA na zwiększenie obecności w Grenlandii, gdzie już znajduje się baza wojskowa... © ©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Kalifornia większa od UE?

Przez media przetoczyła się fala interesujących publikacji, których autorzy szacowali, czy gospodarka jednego ze stanów USA – Kalifornii – już prześcignęła pod względem wielkości gospodarkę Niemiec – najsilniejszego gospodarczo państwa UE – czy też jeszcze nie, a stanie się to „dopiero” za kwartał lub za pół roku.

Tyle mniej więcej zostało Europejczykom – a raczej unijczykom z Europy, bo przecież nie wszystkie państwa Europy należą do UE – z ich snów o wszechświatowej potędze, którą przepowiadała UE jedna unijna strategia (np. lizbońska, której celem było „uczynienie z UE do 2010 r. najbardziej konkurencyjnej gospodarki na świecie”), po kolejnej unijnej strategii (np. najnowszej, strategii Draghiego, która jest już dużo mniej entuzjastyczna co do pozycji UE w przyszłości). I tylko patrzeć, jak stan Kalifornia – po nieuchronnym przegonieniu Niemiec – zacznie gonić pod względem swego potencjału gospodarczego... całą Unię Europejską, z jej aż 27 państwami.

Tak czy owak już wkrótce – w marcu lub kwietniu 2025 r. – stan Kalifornia, którego gospodarka stanowi 14 proc. gospodarki USA, przegoni Niemcy, których gospodarka stanowi aż 24 proc. gospodarek państw UE. Rzecz jasna, od osiągnięcia tego celu, który jest już tuż-tuż – za rogiem, do dośnięcia, a potem prześcignięcia przez gospodarkę sta-

nu Kalifornii gospodarek całej UE droga daleka, ale – jeśli zważyć tendencje – z każdym rokiem coraz krótsza.

Wystarczy przyrzeć się tempu pogoni gospodarki stanu Kalifornii za gospodarką Niemiec, by unaocznić sobie powagę sytuacji, czyli potwornie szybkie tempo zwijania się gospodarek UE w porównaniu z relatywnie wysokim tempem rozwoju gospodarki stanu Kalifornii (i oczywiście gospodarki całych Stanów Zjednoczonych). Jeszcze w 2008 r., a więc zaledwie 16 lat temu, PKB Niemiec było większe od PKB stanu Kalifornii aż o 1,8 bln dol., a wkrótce będzie od PKB tegoż stanu Kalifornii mniejsze. (Nie wspominając o jeszcze szybszym, i to nieporównanie szybszym, zwijaniu się gospodarek UE w porównaniu z jeszcze dynamiczniej od amerykańskiej rozwijającą się gospodarką Chin).

I – co najbardziej zatrażające – wszyscy oczywiście doskonale znają przyczyny tej postępującej, unijnej degrengolady i w ogóle z nimi nie walczą. A są nimi prowadzące do deindustrializacji UE idiotyzmy: Zielonego Ładu, ESG (czyli zrównoważonego rozwoju), DEI (czyli różnorodności, równości, inkluzywności) i innych lewackich „wynałazków” w firmach.

A teraz, po wyłączeniu tych idiotyzmów przez Trumpa w USA, Kalifornia jeszcze bardziej przyspieszy doganianie Unii Europejskiej. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kultura Liberalna skowyczy

Straszliwy lament podniosła Kultura Liberalna, rzekomo prześladowana przez trolli sprzyjających obecnej opozycji. W tle jest zawieszenie, a najpewniej zakończenie działalności USAID przez obecną administrację amerykańską.

„Nie bądźmy naiwni [...]”. Widzieliśmy już takie rzeczy. Po 2015 r. nachodziły nas i inne NGO, np. Fundację Batorego, służby specjalne.

**Rzut oka na portal
Kultury Liberalnej
ukazuje wielki
skowyt za dawnym
światem, w którym
nie było miejsca
dla tych złych**

Oto zapowiedź kolejnego kierunku ataku politycznego. Weźmy sobie to do serca – chęć skłócenia, a następnie zlikwidowania społeczeństwa obywatelskiego nie ustaje i nie ustanie” – w tonie niemal histerycznym pisze na portalu magazynu dr Karolina Wigura, szefowa periodyku i portalu. Nic dziwnego. Fundacji Kultura Liberalna także odpada część finansowania. Karolinie Wigurze chciałbym zaś powiedzieć, że takich na-

jazdów trolli doświadczam po kilka razy w miesiącu, z różnych stron, i gdybym za każdym razem miał o tym pisać artykuł, to właściwie mógłbym sobie darować inne tematy. Takie skargi to dziecinada albo próba przedstawienia się w roli prześladowanych męczenników za sprawę liberalnej demokracji.

Kultura Liberalna to nie są skrajni partyjni hunwejbini maskujący się jako liberalowie, tak jak np. „Liberté!”, lecz ekipa tego magazynu jest niewolniczo zafiksowana właśnie na obronie demokracji liberalnej. To ludzie całkowicie niezdolni do dostrzeżenia, że ta koncepcja zaryła w muliste dno i się już z tego nie wygrzebie. Dla nich potencjalne rządy formacji takich jak Konfederacja czy nawet PiS, o kosztownym sojuszniku Putina Viktorze Orbanie lub straszliwym zjadaczu dzieci Donaldzie Trumpie nie mówiąc, to horror większy niż „Koszmar z ulicy Wiązów” i „Teksańska masakra piłą mechaniczną” razem wzięte.

Rzut oka na portal Kultury Liberalnej ukazuje jeden wielki skowyt za dawnym światem, w którym nie było miejsca dla tych złych i niegodnych postaci czy partii.

Hej, dziewczyny i chłopaki z KL – przestańcie się mazać i biadolić. Nauczcie się z tym żyć. ©©



Robert Bogdański

Nie ziściły się apokaliptyczne prognozy, wedle których Ziemia miała zginąć pod ciężarem przeludnienia. Dzieje się coś zgoła odwrotnego. Cały świat wszedł w trend wyludniania. Oznacza to, że zwiększy się liczba ludzi starszych i starych – tych w wieku emerytalnym i tych po osiemdziesiątce

Od co najmniej dwóch stuleci ludzie miotają się między dwoma skrajnymi wyobrażeniami, które kształtują ich myślenie o dzieciach, rodzinie i pożądanej wielkości ludzkiej wspólnoty. A wspólnota ta rozumiana jest na różne sposoby: może to być coś nieco abstrakcyjnego, może to być pojęcie „ludzkosc”, wreszcie mogą to być zbiorowości doświadczane bardziej bezpośrednio, jak naród czy społeczności lokalne.

Przez wiele dziesięcioleci, gdy ludność globu rosła, zdawało się, niepowstrzymanie, że dominował strach przed wielką liczbą. Obraz, który pojawiał się w ludzkich umysłach na myśl o ludzkości, był nieledwie apokaliptyczny, jakby Ziemia miała za chwilę zginąć przygnieciona ciężarem miliardów mnożących się bez opamiętania „onych”. Animacja amerykańskiego Muzeum Historii Naturalnej doprowadzona do roku 2015 pokazuje, że osiągnięcie 1 mld zabrało ludzkości ok. 200 tys. lat, gdy kolejnych 7 mld pojawiło się na Ziemi przez następnych zaledwie 200 lat. Obserwując rosnący zawrotnie wykres, widz mimo woli łapie się na myśli, że oto ten wzrost nie ma końca, a ludzkość zmierza ku demograficznej katastrofie.

Takie myślenie stało za rozpowszechnieniem w ubiegłym stuleciu pigułki antykoncepcyjnej i postawy, którą elegancko nazwano „planowaniem rodziny”. Eksplozja demograficzna i słynny raport Klubu Rzymskiego, który opisywał skończoność zasobów Ziemi, przyczyniły się razem wzięte do ukształtowania przeko-

nanie, że jeżeli nie zahamuje się przyrostu naturalnego, to ludzkość upadnie pod swoim własnym ciężarem. Jednocześnie w bogatych społeczeństwach dokonywała się „rewolucja seksualna”, więc obrona płodności była tym trudniejsza, że atak szedł z dwóch stron: od zatroskanych o los ludzkości i planety oraz od pragnących wolności seksualnej. Gdy Paweł VI opublikował w roku 1968 encyklikę „Humanae vitae”, została ona w debacie publicznej natychmiast sprowadzona do zakazu antykoncepcji i skrytykowana nawet przez episkopat takich krajów jak Niemcy czy Austria, które obawiały się reakcji społeczeństw i odchodzenia od Kościoła. Niedługo potem Jan Paweł II był atakowany jako odpowiedzialny za przeludnienie w Afryce i powtarzające się tam klęski głodu, co wiązano z jego sprzeciwem wobec sztucznej antykoncepcji.

DZIETNOŚĆ SPADA

Wiele dziesiątków lat po rozpaleniu się tych sporów wygląda na to, że straszenie przeludnieniem odchodzi w przeszłość. Teraz słowem częściej wymawia-

Unia Europejska weszła w roku 2012 w fazę tzw. śmiertelności netto, co znaczy, że więcej w niej ludzi umiera, niż się rodzi: w roku 2022 na cztery śmierci przypadały trzy urodzenia. W ubiegłym roku Polska zanotowała najmniejszą liczbę narodzin od drugiej wojny światowej, Francja od roku 1806, Hiszpania od 1859, a Włochy od 1861. Szczyt liczebności populacji Europy przypadł na rok 2019 i od tego czasu jej ludność się zmniejsza. Świat jest blisko osiągnięcia granicy śmiertelności netto. Wygląda na to, że ten zdawałoby się niepowstrzymany wzrost widoczny na animacji amerykańskiego muzeum właśnie się skończył.

Dane przytaczane przez Eberstadta burzą przekonanie, w którym świat zachodni żył przez długie dziesięciolecia – że niska dzietność jest tożsama z dobrobytem, a bieda z wielością dzieci. Innym mitem, w którym żyliśmy, jest to, że o rozrodczości decydują kwestie kulturowe i społeczeństwa islamskie będą odporne na trendy depopulacyjne. Jeszcze tylko Afryka Subsaharyjska

Przekleństwo

nym z obawą jest „wyludnienie”. Ostatnie dane pokazują, że świat wchodzi w fazę spadku i jedynym miejscem, w którym notuje wzrost, jest Afryka Subsaharyjska.

Amerykański ekonomista i demograf, Nicolas Eberstadt, opublikował niedawno duży tekst pt. „Wiek depopulacji”, w którym zbiera dane o dzietności i prognozy ludnościowe ze wszystkich regionów świata. Wskaźnik dzietności od czasu rozognienia się sporów o antykoncepcję i odpowiedzialne rodzicielstwo, czyli w latach 1965–2015, spadł w skali świata o połowę. Obecnie dwie trzecie ludzi żyją w krajach, w których współczynnik zastępowalności pokoleń znajduje się poniżej liczby uważanej za współczynnik równowagi demograficznej, czyli 2,1 dziecka na statystyczną kobietę w wieku określającym jako rozrodczy.

pasuje do tego schematu. Ale co począć z krajami takimi jak Malezja, Bangladesz, Iran, Indonezja? Nawet zresztą we wspomnianym kawałku Afryki wskaźnik przyrostu naturalnego spadł od końca lat 70. o 35 proc. i jest więcej niż prawdopodobne, że za następną dekadę lub dwie również ten region dołączy do reszty wyludniającego się świata.

Zasobem ludnościowym od zawsze wydawała się Azja, ale teraz znajdują się tam kraje, których ludność spada najszybciej. W Korei Południowej spadek ten wynosi ok. 3 proc. rocznie i jeżeli się utrzyma, to pod koniec wieku ubędzie tam 95 proc. ludzi. Tak – ponad 50-milionowy kraj może się w ciągu trzech pokoleń skurczyć do niespełna 3 mln! Eberstadt zauważa kostycznie, że to jest przedsmak procesu, który może czekać

inne nowoczesne społeczeństwa. Spada ludność takich krajów jak Chiny, Japonia, Wietnam, Malesja, Indonezja. Indie balansują na granicy, a ich miasta już odnotowują ujemny przyrost naturalny.

Stany Zjednoczone także mają wskaźnik dzietności poniżej 2,1, ale one ratują się dobrze asymilowaną imigracją.

Generalnie rzecz biorąc, przyjmowanie migrantów będzie dla bogatych krajów koniecznością, tylko trzeba to będzie robić inteligentnie, nie tak jak Europa w roku 2015. Eberstadt przewiduje, że o wykształconych imigrantów rządy będą konkurować. Nie odpowiada na pytanie, co począć z ogromną większością niewykształconych, ale obawiam się, że na takie pytanie nikt nie zna odpowiedzi.

Wejście w trend wyludniania nie oznacza oczywiście, że za jedno pokolenie ludzkość zniknie i ludzie wzywający teraz do niepłodzenia dzieci, bo to „nieetyczne” i przyczynia się do eksploatacji planety, będą mogli odtańczyć ostatni radosny taniec, zanim zgaszają ogniki swoich iPhone’ów i wypiją

Na Facebooku można znaleźć fragment stand-upu słynnego komika Ricky’ego Gervaise’a, który bezlitośnie kpi z ludzi mających dzieci. Chciałoby się znaleźć podobnie jadowity kawałek skierowany w drugą stronę, ale nie wiadomo, gdzie szukać. I już widać to święte oburzenie, gdyby ktoś zechciał pożartować z bezdzietności

wynieść 1,2:1. Jak wielki musiałby być podatek indywidualny, aby ten ciężar udźwignąć? Strach liczyć. Interesujące, czy społeczeństwa będą w stanie stanąć w prawdzie i porozumieć się w tej sprawie tak, aby ludzie wspólnie weszli w kryzys. Patrząc na przykład Polski, a także np. Francji, trudno jest zachować w tej sprawie optymizm.

W Polsce demografia jest przedmiotem politycznych sporów i jest traktowana raczej instrumentalnie, co ostatnio jaskrawo uwidoczniło się przy okazji rządowych usiłowań, aby pozbyć się programu „800+”. Raport tegoż rządu udowadnia to, co widzą wszyscy, że trwający od roku 2016 program (naj-

o wstępne przygotowanie do likwidacji kosztownego programu. Skoro nie działa, to po co on właściwie jest?

ZACHĘTY EKONOMICZNE TO ZA MAŁO

Jak jednak miałyby wyglądać realistyczny program odbudowy demograficznej? Co właściwie determinuje ludzkie wybory w dziedzinie prokreacji? Eberstadt zgadza się z cytowanym przez siebie kolegą, Lan-tem Pritchetttem, który zbadał korelację między deklarowaną przez kobiety liczbą dzieci, które chciałyby mieć, i liczbą dzieci, które się faktycznie rodzą. I wyszło mu, że deklaracje nieomal dokładnie pokrywają się z efektami. Inaczej mówiąc: rodzi się tyle dzieci, ile chcą kobiety – czynnikiem decydującym jest ludzka wola. Tylko co na nią wpływa?

W Polsce, a także na świecie doko- nała się w ciągu ostatniego półwiecza „pierekowka dusz” i powstała kultura zniechęcająca ludzi do posiadania dzieci. Eberstadt pisze, że zamiast zakładać rodziny, współcześni ludzie gonią za samorealizacją i pragną odnaleźć siebie. Właśnie Facebook podsunął mi fragment stand-upu słynnego komika Ricky’ego Gervaise’a, który bezlitośnie kpi z ludzi mających dzieci i uznaje za normalne nie to, że się ma dzieci, ale to, że się ich nie ma. Chciałbym znaleźć podobnie jadowity kawałek skierowany w drugą stronę, ale brak mi pomysłu, gdzie szukać. I już widzę to święte oburzenie, gdyby ktoś zechciał pożartować z bezdzietności.

Bez ponownej „pierekowki dusz”, ale skierowanej odwrotnie, żadne zachęty ekono- miczne nie wystarczą. Owszem, mogą łagodzić spadek, ale nie spowodują wzrostu. Ludzie po prostu muszą chcieć mieć dzieci i nie musieć się z tego tłumaczyć nikomu. Ten, kto wpadnie na pomysł, jak to zrobić, zasłuży na miano demograficznego cudo- twórcy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone
Autor prowadzi podcast Coistotne.

demografii

ostatnie sojowe latte. Na razie oznacza to, że poważnie zwiększy się liczba ludzi starszych i starych – tych w wieku emerytalnym i tych po osiemdziesiątce. Do roku 2050 tych pierwszych ma być na Ziemi ok. 1,4 mld, a tych drugich 425 mln. Oczywiście w większości znajdą się oni w krajach najszybciej się wyludniających.

Dla krajów bogatych oznacza to konieczność zapewnienia ludziom starym opieki, której coraz częściej nie będą mogli im zapewnić rodziny, bo ich zwyczajnie nie będą mieli. Oznacza także konieczność przebudowy systemu emerytalnego, który po prostu zbankrutuje w sytuacji, gdy jeden pracujący będzie musiał utrzymać mniej więcej jednego niepracującego. W Korei Południowej ten stosunek w roku 2050 ma

pierw „500+”, ale inflacja robi swoje) nie spowodował poprawy stanu demograficznego Polski, a wręcz przeciwnie – kraj się wyludnia.

PiS nierozsądnie przedstawiał w wyborach roku 2015 ten program jako cudowną receptę na odbudowę demograficzną, gdy w gruncie rzeczy był to wielki plan pomocy tym, którzy decydując się na posiadanie dzieci, inwestowali nie tylko w swoją przyszłość, lecz także w przyszłość kraju. Plan uznający, że społeczeństwo ma obowiązek wobec tych, którzy przedłużają jego żywotność. Oczywiście obecna rządowa propaganda nie ma ochoty podejmować dyskusji na tym poziomie i pokazuje oczywistą klęskę projektu rozumianego jako mający odwrócić zapaść demograficzną. W tej odsłonie politycznego sporu chodzi tylko

JAECOO 7 AWD OFFROAD



drzwiach. W obszernym wnętrzu miejsca jest sporo zarówno na nogi, jak i nad głowami. I zarówno z przodu, jak i z tyłu (fajnie, że można regulować kąt pochylenia oparcia tylnej kanapy). Na desce rozdzielczej dominuje wielki 13,2-calowy dotykowy ekran systemu multimedialnego, który jest banalnie prosty w obsłudze (choć tak wielki koncern mógłby zatrudnić kogoś, kto wychwyciłby w systemie wszystkie literówki). Plusem jest za to bezprzewodowa współpraca systemu multimedialnego z Android Auto i Apple CarPlay. Uszy cieszą dźwięki z głośników Sony. Brakuje niestety fizycznych przycisków do obsługi klimatyzacji. Na pokładzie znalazły się też cyfrowy zestaw wskaźników, ładowarka indukcyjna, chłodzony schowek w podłokietniku, panoramiczny dach, adaptacyjny tempomat, wyświetlacz HUD i cały zestaw asystentów dbających o bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów.

FOT. JAP

Jest stosunkowo tani i atrakcyjnie zaprojektowany. Nie tylko przypomina dużo droższe terenówki marki Land Rover, lecz także dzięki napędowi 4 x 4 rzeczywiście nadaje się na przejażdżki w trudniejszym terenie. Chiński SUV o długości 450 cm, szerokości 186,5 cm i wysokości 168 cm stał się marzeniem wielu Polaków. Bardzo rzadko na parkingach aż tyle osób pyta mnie, jak mi się jeździ danym samochodem. A muszę przyznać, że Jaecoo jeździ się całkiem przyzwyczajenie.

Pod maską auta produkowanego przez koncern Chery pracuje benzynowy, turbodoładowany silnik o pojemności 1.6 l i mocy 147 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi 275 Nm. Na trasie auto jest

wystarczająco dynamiczne. Na autostradzie czuć jednak, że mocy pod maską przydałoby się nieco więcej. Z kolei dwusprzęgłowa siedmiostopniowa przekładnia pracuje dość niemrawo. Na pochwałę zasługuje za to układ hamulcowy.

Auto z napędem na wszystkie łapy do setki rozpędza się oficjalnie w 11,4 s. Chiński SUV palił w teście średnio 8 l/100 km (na autostradzie ok. 10 l/100 km, a w mieście ok. 11 l/100 km).

W kabinie jest niemal luksusowo. Deska rozdzielcza została wykończona dobrej jakości materiałami, które zazwyczaj są prawidłowo spawane. Nic nie trzeszczy i nie skrzypi. Elementem premium są ozdobne aluminiowe wstawki na

Oczywiście Chińczycy mają wciąż nad czym pracować. Automatycznie chowane i wysuwane klamki mogłyby być lepiej spasowane, podobnie jak klapka wlewu paliwa. Z kolei fotele mogłyby mieć dłuższe siedzisko, fotel pasażera mógłby mieć opcję regulacji wysokości, a schowek z przodu być wyściełany jakimś miękkim materiałem. Przy wyższych prędkościach autostradowych w komfortowej podróży przeszkadza mocno przeciętne wyciszenie. Większy mógłby być też bagażnik. Jaecoo 7 w wersji AWD ma kufer o pojemności 480 l.

Trzeba jednak pamiętać, że Jaecoo 7 w najtańszej wersji (z napędem na przód) kosztuje 139,9 tys. zł, a w testowanej odmianie Offroad 157,9 tys. zł. ☺☺

PROJEKTOR EPSON EF-21

Bardzo dobra jakość obrazu, dosyć wysoka jasność, cicha praca, kompaktowe rozmiary, niewielka waga, sprawnie działający Google TV oraz przyzwoite, głośno grające głośniczki – to największe zalety jednego z najnowszych projektorów laserowych japońskiej firmy Epson.

Ważący zaledwie 2,3 kg projektor wygląda jak niewielka kostka (jej najdłuższy bok mierzy 19,7 cm) z laserowym źródłem światła, które umożliwia oglądanie filmów, granie lub wyświetlanie biznesowych prezentacji na ekranie o wielkości od 30 aż do 150 cali. Kompaktowe rozmiary i minimalistyczny design sprawiają, że projektor powinien pasować do większości salonów/domowych sal kinowych.

Obraz jest ostry i pełen detali (natywna rozdzielczość to Full HD, czyli 1920 x 1080), kolory są żywe i naturalne, a czerń zaskakująco głęboka. Dynamiczny współczynnik kontrastu wynosi w tym modelu 5 000 000 :1, a jasność 1 tys. lumenów. Epson EF-21 jest przy tym stosunkowo cichy. W trybie normalnym generuje hałas na poziomie zaledwie 23 dB, co docenić można nie tylko podczas kinowego wieczoru w domowym zaciszu, lecz także podczas biznesowej prezentacji. Projektor jest banalnie prosty w konfiguracji i obsłudze. Ostrość ustawia się automatycznie, bez zarzutu



działając również korekcja obrazu czy automatyczne dopasowywanie ekranu do otoczenia.

Na pokładzie znajduje się Google TV, które daje użytkownikowi dostęp do najpopularniejszych serwisów streamingowych (Netflix, Amazon Prime Video, YouTube).

System działa dość sprawnie, choć gdyby był szybszy, byłby jeszcze przyjemniejszy w codziennym użytkowaniu (sercem testowanego projektora jest procesor ARM wspierany przez 2 GB pamięci RAM).

Po stronie plusów zapisać należy również wbudowane głośniki stereo o mocy 5 W – potrafią być głośne, a jakość dźwięku jest już całkiem przyzwoita (choć przy okazji budowy domowej sali kinowej warto zainwestować w dedykowany system audio). Producent zapewnia, że laser jako źródło światła to gwarancja długowieczności urządzenia. Epson daje więc za testowany projektor gwarancję pięciu lat lub 12 tys. godzin.

Minusy? Jasność mogłaby być jeszcze wyższa. W pilocie przydałoby się podświetlane klawisze. Z kolei wśród portów brakuje również USB typu C (są oczywiście USB 2.0-A, USB 2.0 Mini-B, HDMI ARC oraz wyjście słuchawkowe). Mimo tych wad w swojej półce cenowej EF-21 wypada bardzo dobrze. Cena: 3490 zł. ☺☺

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wódka i afrodyzjaki z apteki



JACEK KOMUDA

W XVII w. apteka pełniła funkcję, którą dzisiaj spełnia nie tylko sklep z lekami, lecz także salon dobrych alkoholi, cukiernia i... w pewnym sensie sex shop. Poza maściami i pigułkami kupowano tam bowiem mocne i dobre wódki – produkty wielokrotnej destylacji gorzałki, które uważane były za lekarstwo i jako takie zbyt drogie dla zwykłych hajduków i kozaków, likiery i nalewki. Oprócz tego sprzedawano łakocie jak marcepany; np. zakupiono ich trzy u krakowskiego aptekarza, na ucztę królewicza Zygmunta I w 1500 r. Aptekarze sporządzali też cukry stołowe – dostarczał ich np. pochodzący ze Lwowa Stanisław Kołaczekowicz, który przywiózł je do Moskwy na ślub Dymitra Samozwańca z Maryną. I sprzedawali afrodyzjaki, środki na potencję – komfortatywy, od których umarł przedwcześnie hetman Stanisław Koniecpolski.

Nazwa samego sklepu przysłała do nas – jak pisze Gloger – z Rzeszy, ale pochodzi od greckiego słowa „apótheke”, czyli skład, magazyn, stąd wywodzi się niemieckie apotheker, co znaczy kupiec korzenny. Pierwsze apteki na ziemiach polskich istniały, jak podaje Długosz, w Krakowie; w 1333 r. aptekarzem był tam niejaki Conrad, a ok. 1362 r. Grzegorz, później pojawili się: Andrzej, Piotr i Krzysztof Włoch. W 1485 r. Paweł aptekarz krakowski ofiarował srebrny puchar na ołtarz w kościele Najświętszej Maryi Panny.

W XVI w. nastąpił rozkwit aptek. W 1510 r. w Krakowie działał Jan Alansio, jego syn Paweł założył aptekę w Płocku, a brat Mikołaj otrzymał w 1569 r. szlachectwo. W kolejnych latach nastąpił ogromny wzrost tego cechu. Pierwszą



aptekę we Lwowie założył pod koniec XIV w. niejaki Klemens. Sto lat później podobna pojawiła się w Wilnie. W Gdańsku od 1400 r. otrzymało obywatelstwo miejskie pięciu aptekarzy. Ich sklepy pojawiały się w coraz mniejszych miastach. W Bochni pierwsze wzmianki o aptekarzu Marcinie pochodzą z 1578 r., a w Krośnie z 1592. W Przemyślu już w 1533 r. działał Piotr Sulikowski, a w Poznaniu w XVI w. – Piotr Świdra, Elżbieta Czerwona, Benedykt Kijnik. We Lwowie w 1609 r. było sześciu aptekarzy, którzy robili torty, marcepany, likiery i gorzałki. Już w 1523 r. ustanowiono konstytucją sejmową urzędową kontrolę leków, stwierdzając, że „doktorowie lekarscy każdego roku oglądować mają apteki, którym wszystkie aromata pokazane być mają pod utratą aptek”, podobne uchwały zapadły w Gdańsku w 1570 r.

Najstarszą działającą w Polsce apteką była do niedawna Królewska na Rynku Staromiejskim w Toruniu, która nieprzerwanie funkcjonowała od roku 1389 do 2011. Założył ją Albert, a jego tradycję kontynuowała rodzina; w 1652 r. nazwa została zmieniona na Królewska. Była zapewne jedną z najstarszych takich placówek na świecie!

Drugą najstarszą apteką w Polsce, działającą do dziś, jest Rektorska znajdująca się pod numerem 2 w kamienicy na rynku w Zamościu. Jej założycielem był w 1609 r.

Szymon Piechowicz, który nabył wówczas znajdujący się tutaj drewniany budynek, a być może w 1616 r. pobudował znajdującą się tam do dziś okazałą kamienicę. Apteka znajdowała się w jego posiadaniu do śmierci; w 1657 r. właścicielami byli syn Stanisław oraz jego siostry – Marianna i Katarzyna. Ten rodzinny biznes rozwijał się do końca stulecia, kiedy właścicielami zostali z kolei Stanisław Augustynowicz i Jan Przybysławski – zięciowie Piechowicza. Dopiero w 1783 r. kamienicę z apteką kupił Jan Nachtygał, później, już w XIX w., zarządził nią Jan Kanty Terlecki. Ostatnim właścicielem, do 1951 r., był Feliks Łaganowski. W latach 70. została wyremontowana, przywrócono też pierwotną nazwę – Rektorska.

Kolejne najstarsze działające nieprzerwanie apteki to Radziecka w Toruniu, w kamienicy na rogu ulic Szerokiej i Łaziennej. Otwarta została w 1623 r., a jej nazwa wywodzi się od budynku Rady Miejskiej, w której się znajdowała. Jako pierwsza miała własne godło – herb miasta Torunia, a głównymi klientami byli rajcy miejscy oraz ich rodziny. Tylko o rok młodsza od niej jest Apteka pod Żółtym Lwem mieszcząca się na rogu rynku Nowego Miasta. Jej założycielem był Martin Bernhardt, a nazwa wywodziła się od znajdującej się na kamienicy drewnianej rzeźby lwa. Teoretycznie starsza od obu tych aptek jest Apteka pod Białym Orłem przy Starym Rynku w Poznaniu, założona być może jeszcze w 1493 r. przez niejakiego Vincenciusa, później prowadzona przez rodzinę Grodzickich. Bez wątplenia jest wiekowa, jednak działalność prowadziła z przerwami, kilkakrotnie też zmieniała miejsce funkcjonowania. ©



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Czekolada

Walentynki tuż-tuż. To bardzo przyjemne, romantyczne święto jest w Polsce lubiane i dobrze, bo czułość nigdy nie jest za wiele. Przytulanie się ma bardzo korzystny wpływ na nasze zdrowie psychiczne i emocje, chroni nas przed złymi skutkami stresu. A w dniu św. Walentego przytulać się mamy do woli i... zajądać czekoladę, bo to idzie w parze!

Czekoladę znamy od 4 tys. lat i od zawsze jej spożywanie dodawało ludzkości energii i animuszu. Drzewa kakaowca odkryto na terenie dzisiejszego Meksyku. Na początku smak nie przypominał tego, który obecnie znamy, nie dodawano do niego cukru, bo go nie znano, ani mleka. Napój przyrządzany z ziaren kakaowca służył jako lekarstwo lub podczas różnych ceremonii. Ziarna kakaowca ucierano z płatkami papryczki chili, skrobią kukurydzianą i dodawano wody – w ten sposób powstawał gęsty napój o nazwie xocolatl, czyli gorzka woda. Był to obowiązkowy napój wojowników przed walką – dodawał sił fizycznych, energii, odwagi i rozjaśniał umysł.

Niektórzy mówią, że do Europy czekoladę przywiózł Krzysztof Kolumb, inni – że zrobił to Cortés. Najważniejsze jednak jest to, że dopiero na Starym Kontynencie zaczyna smakować tak, jak powinna, czyli intensywnie i słodko, choć na początku słodycz pochodziła z miodu. Ciekawe jest to, że Hiszpanom udaje się utrzymać kakao w tajemnicy przez prawie jeden wiek.

Nie znamy nikogo, kto by nie lubił czekolady. Jedynie ci, którzy mają na nią uczulenie, muszą omijać ją z daleka. Stała się najczęściej wręczanym prezentem na świecie, a rozpuszczona jest wykorzystywana w kuchni i cukiernictwie.

My dziś proponujemy wyśmienite ciasto na bazie tylko kilku składników. Mocno czekoladowe, intensywne w smaku będzie idealne na walentynkowe spotkanie.

Ciasto czekoladowe

- 200 g masła • 200 g czekolady gorzkiej, najlepiej deserowej
- 3 jajka rozmiaru L • 200 g cukru drobnego lub pudru (jeśli lubimy bardziej słodkie, to możemy dać 250 g) • 130 g mąki • 150 g czekolady mlecznej posiekanej • posiekane orzechy włoskie lub pekan
- truskawki lub maliny, mogą być mrożone

Masło wkładamy do miski i stawiamy na większym garnku z gotującą się wodą – robimy tzw. kąpiel wodną. Jak się roztopi, dodajemy połamaną czekoladę i roztopiamy, odstawiamy do przestudzenia. Nagrzewamy piekarnik do 170 st. C. W osobnej misce różgą mieszamy jajka z cukrem (dość intensywnie) i dodajemy roztopioną czekoladę z masłem, orzechy, mąkę, delikatnie wszystko łączymy. Przekładamy do foremki wysmarowanej masłem, na wierzch układamy truskawki i posypujemy posiekaną czekoladą. Pieczemy tylko 30 min. Po wyjęciu i ostudzeniu kroimy na kwadraty. Podajemy z truskawkami lub malinami, które możemy rozmrozić i podać je w formie sosu. © ©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Porządek w książkach

Jest anegdota o pewnej badaczce literatury (możliwe, iż chodzi o Marię Janion), że kiedy nie mogła znaleźć książki w domowej, liczącej tysiące tomów bibliotece, szła do księgarni i kupowała nową.

Jestem bliska temu rozwiązaniu. Kiedy nie mogłam znaleźć drugiego tomu „Lalki”, wściekałam się. Tom pierwszy odsłonił goły grzbiet dopiero po przewróceniu kilku półek pokrytych nalotem najnowszych książek, ledwo zaczętych lub w ogóle nietkniętych. Drugi, z wydania PIW dla szkół z 1958 r., bez pierwszej okładki, za to z przypisami wyjaśniającymi każde trudniejsze słowo, przyciął się gdzieś z tyłu. Przy okazji dokopałam się do dwóch egzemplarzy „Klubu Pickwicka”, podwójnego „Czerwonego i czarnego” oraz listów Giedroycia do Gombrowicza, też razy dwa. Te ostatnie kupiłam przez pomyłkę, szukając listów Giedroycia do Bobkowskiego.

Po przeprowadzce zrobiliśmy – zdawało się – wystarczającej wielkości półki. Jednak wtedy książki wrzuciło się na nie byle jak, w nadziei, że zaraz się uporządkuje, a może nawet zrobi katalog. Lata minęły i nic z tego nie wyszło. Świeżo kupione szły na wierzch – jak leci, jedne na drugie. I nagle wszystko zaczęło się wylewać z brzegów. Na podłogę, na parapety.

„Dwór” i „Spuścizna” Singera, „Illiada”? Oczywiście mamy, zapewniałam wnuczkę. Po czym rzucałam się do szukania z drabiną na górę lub

pełzając po podłodze na przemian. I nie mogłam znaleźć.

Wrzód trzeba było przeciąć. Któregoś wieczora w furii wyrzuciłam wszystkie książki na podłogę. Na górze zostały: nieczytana od początku, oprawiona w skórę 10-tomowa encyklopedia hiszpańska sprzed 25 lat, „Powszechna Encyklopedia” Gutenberga (zielona skóra) oraz dostojna „Wielka Encyklopedia Powszechna”. Ta ostatnia, zamówiona sto lat temu, wypasiona wszechznana wiedzy sprzed epoki Google przez kilkanaście lat kapiała do nas z PWN po jednym tomie. A jak już wykapała, okazała się anachroniczna.

Zrobić porządek w książkach to nie takie proste. Proste jest to z różnymi quasi-best-sellerami ostatnich lat, których tytułów nie wymienię, żeby nie robić przykrości autorom. Niektóre były dobre, ciekawe, ale to jednorazówki. Drugi raz się tego nie przeczyta, można najwyżej komuś oddać. Na przykład Tamara Łempicka – dwa tomy nawet ciekawej, choć typowo komercyjnej literatury. Ale po co?

Co chwila spod stosów ujawniało się coś, co było poszukiwane od dawna. Na przykład trzeci tom „Sławy i chwały”. Albo znalezisko za które złapałam z entuzjazmem: „Powroty” Felicji Kranz, wydane w 1991 r. przez dom wydawniczy Versus z Białegostoku. Już w wolnej Polsce, ale książeczka wygląda jak samizdat. Jak się zabrałam do lektury, to pochłonięłam w dwa dni. © ©



DEKAMERONKI

Djocovid-19

JERZY KARWELIS

Tenisem się za bardzo nie interesuję, ale na Australian Open w Melbourne zaglądam. Teraz też warto było i znowu – nie z powodów sportowych. Znowu bowiem poszło o serbskiego tenisistę Novaka Djokovicia.

W obecnych zawodach doszedł do półfinału, ale po pierwszym secie zszedł z kortu z powodu kontuzji. Co dziwne, żegnały go gwizdy i buczenie publiczności. Niestety, sławy tenisa, które ujęły się za Serbem, zbudowały fałszywą diagnozę, że tłum gwizdał, bo liczył na dłuższy pojedynek, a tak to się mu bilety zmarnowały. Myślę, że powód był inny.

Mamy rok 2022 i pierwszy turniej wielkoszlemowy po ogłoszonej pandemii. Novak jedzie do Melbourne na turniej. Ma w rękę wizę, ale tam na miejscu jest ona zakwestionowana przez władze federalne i Djocović ląduje w... areszcie, czekając na decyzję migracyjną. Tenisista nie ma wymaganego poświadczenia o szczepieniu, Australia wpuszcza tylko zaszczerpionych, a jednak wizę mu dała. Wiza Novaka zostaje dwa razy anulowana i po bojach prawnych tenisista opuszcza Australię i turniej.

Media zostają spuszczone ze smyczy: australijskie szaleją, sąd kuriozalnie uzasadnia wydalenie Djocovicia postawą powodującą „zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju”. Dołączają się...

tenisiści, a najbardziej kontrowersyjny jest krytykujący kolegę Rafael Nadal, który pod nieobecność Novaka zgarnął trofeum. U nas – jak zwykle – wtórnie, ale nie mniej zajadle, „Rzepa” wiesza psy na tenisiście z poparciem naszej rakiety, kiedyś numer jeden – Fibaka.

Novak wraca po roku i zdoła bywa trofeum po raz kolejny.

I tu jest clou powodu gwizdania przez publikę na Novaka A.D. 2025 – postcovidowi kibice nie są mu w stanie zapomnieć turnieju z pandemicznego 2022 r. Australijczycy wzmagani przez sanitarystyczne media odbywali w tej sprawie w 2022 r. całe seanse nienawiści, chyba tylko po to, by ten obłęd odwrócił uwagę od bezsensowności przepisów covidowych. Novak nie wjechał na turniej, na którym za parę dni zasiadły obok siebie na ławkach aren tysiące zaszczerpionych Australijczyków, bojących się, żeby ich ten Serb (z negatywnym testem) z 200 m nie zakaził.

Jest coś takiego w tłumie, że rzuci się on pierwszy na tego, który swoją wolnością naocznie ukazuje, że reszta jest w kajdanach, ba – nawet te kajdany polubiła. A więc huzia na takiego, by nie widzieć i kajdan, i tego, że sami je sobie założyliśmy. Australijczycy gwizdali więc na Novaka jako na tego, który im kiedyś uświadomił ich akceptowane zniewolenie. A takich traum – jak widać – się nie zapomina. ©©



#WARTO

Pomoc czy kasa?

JAN POSPIESZAŃSKI

Decyzja Donalda Trumpa, powodująca wstrzymaniem napływu i deportacją nielegalnych imigrantów, została skrytykowana przez katolickich biskupów amerykańskich. W odpowiedzi wiceprezydent J.D. Vance postawił sprawę jasno: „Skoro organizacje katolickie otrzymują ponad 100 mln dol. na pomoc w przesiedleniu nielegalnych imigrantów, to czy martwią się o kwestie humanitarne, czy faktycznie martwią się o swoje wyniki finansowe? [...] Jeśli martwią się o humanitarne koszty egzekwowania przepisów imigracyjnych, to niech mówią o dzieciach, które padły ofiarą handlu ludźmi z powodu szeroko otwartej granicy przez Joe Bidena”.

Katolicki Kościół w USA przyznaje, że jest największą agencją przesiedleńczą dla uchodźców na świecie. Według medialnych doniesień diecezjalne organizacje katolickie zajmujące się pomocą nielegalnym migrantom pośrednio (światowicie czy nie?) współpracują z przemytnikami ludzi. Podobna rekcja Kościoła miała miejsce w Niemczech. Gdy 29 stycznia głosami AfD, CDU/CSU i FDP przyjęto wstępny projekt (ostatecznie później odrzucony) zakładający zwiększenie kontroli granic oraz nieprzepuszczanie przez nie azylantów, biuro katolickie w Berlinie potępiło ten akt i oskarżyło media o podawanie sprofilowanych informacji. Biskupi niemieccy przekonują, że to nie migranci, a osoby

chore psychicznie dokonują krwawych zamachów.

Tymczasem okazało się, że powstające w Polsce Centra Integracji Cudzoziemców będą współprowadzone przez organizacje kościelne. W ramach unijnego Funduszu Azylu Migracji i Integracji z 14 rozstrzygniętych wniosków aż siedem przypadło diecezjalnym Caritas. Docelowo takich centrów ma powstać 49. Przyjęte w pierwszych dniach lutego, na zamkniętym spotkaniu ministrów spraw wewnętrznych UE w Warszawie, rozstrzygnięcie zakłada przyspieszenie wdrożenia systemu relokacji migrantów. Należy się spodziewać również przyspieszenia przygotowań do przyjęcia przez kościelne organizacje podopiecznych do CIC. Jednym z zadań centrów będzie nauka języka polskiego.

W dniu, w którym piszę te słowa, dotarła do nas informacja o 11 ofiarach śmiertelnych strzelaniny w szkole języka szwedzkiego dla cudzoziemców w mieście Örebro. Media nie podały narodowości sprawcy, ale przecież biskupi niemieccy zapewniają, że nie azylanci są winni zamachów, tylko osoby chore psychicznie. Fundusz AMI to grubo ponad 300 mln euro i rozumiem, że część tych pieniędzy przypadnie organizacjom diecezjalnym. Powtórzę zatem pytanie J.D. Vance'a: Motyw charytatywny czy finansowy wchodzi tu w grę? Ale ważniejsze pytanie brzmi: Czy biskupi zdają sobie sprawę, w czym biorą udział? ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wikipediowe ssaki

Prezes Trybunału Konstytucyjnego, Bogdan Święczkowski, podpisał i skierował do prokuratury zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa zamachu stanu przez Tuska i jego rząd. Stop. W związku z tym Tusk z lekko udawaną nonszalancją nagrał filmik, na którym gra w ping-ponga i mówi, żeby mu nie przeszkadzać. Stop. Nadmieniam, że wiele zakładów karnych w Polsce wyposażonych jest w stoły do ping-ponga dla osadzonych. Stop. Biorąc pod uwagę karę za zamach stanu (dożywocie), rozegrać będzie można niejedną mecz, a hasło „Run, Forest, run” zmodyfikować na „Graj, Donek, graj”.

W związku z dramatyczną sytuacją w służbie zdrowia Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego postanowiło przyznać Telewizji Polskiej i Polskiemu Radiu dodatkowe 400 mln zł. Stop. Serce rośnie! Stop. Jeżeli pamiętają państwo słowa Leszczy, że po tym, jak dojdzie do władzy, kolejki do lekarzy znikną jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, to wasza pamięć jest pamięcią nienawiści. Stop. Proszę natychmiast zapomnieć, a Leszczyne przeprosić. Stop. Dzięki rzekłoby ludzie ciężko chorzy czekający na lekarza będą mogli się delektować słowami Tuska: „Włącz muzykę. Łyso wam?”. Stop.

Sejmowa komisja infrastruktury, w której większość mają oczywiście rządzący,

odrzucała obywatelski projekt ustawy „Tak dla CPK”. Stop. Prawie 200 tys. osób podpisało się pod tym projektem, który, w skrócie, gwarantować miał wybudowanie Centralnego Portu Komunikacyjnego. Stop. Informacja o odrzuceniu projektu ustawy ucieszyła Niemców, ponieważ „mamy już lotnisko w Berlinie”. Stop.

Rafał Trzaskowski regularnie biorący udział w marszach równości LGBTQ (jeśli pominąć część alfabetu, to przepraszam) zszokował świat stwierdzeniem, że są tylko dwie płcie. Stop. „Nie wiem, co zrobimy, jeśli będzie chciał się przed wyborami zapisać do PiS, a wszystko idzie w tym kierunku” – mówi nam w sekrecie przerażony działacz opozycji.

Inżynier Sławosz Uznański-Wiśniewski ma zostać wystrzelony w kosmos. Stop. Po otrzymaniu rachunków za prąd i gaz wielu Polaków po prostu mu zazdrości. Stop.

Z dziennikarskiego obowiązku, aczkolwiek z lekkim znużeniem odnotowujemy najnowszą wersję niemagister Katarzyny Kotuli. Stop. Na kolejne już pytanie, czemu zmyśliła, że jest magistrem, skoro nie jest, odpowiedziała, że wszystkiemu winna Wikipedia, która, nie widząc czemu, podała taką informację, a potem wszyscy z niej zassali. Stop. W sumie winne są więc wikipediowe ssaki i na tym zakończmy tę zenadę... © ©

DARIUSZ
WIERONIEWICZ

SPODE ŁBA

Onuce w Waszyngtonie?

Ciekawymi refleksjami na temat sytuacji na Ukrainie podzielił się właśnie szef amerykańskiej dyplomacji, Marco Rubio. „W jakiś sposób dopuściliśmy się nieuczciwości. Wmówiliśmy ludziom, że Ukraina nie tylko pokona Rosję, lecz także ją zniszczy, zepchnie z powrotem do tego, jak wyglądał świat w latach 2012 lub 2014, zanim Rosjanie zajęli Krym. I w rezultacie to, o co Ukraińcy prosili przez ostatnie półtora roku, to finansowanie impasu, przedłużającego się impasu, w którym trwa ludzkie cierpienie” – powiedział Rubio w wywiadzie dla stacji telewizyjnej NBC News.

Trudno nie zauważyć, że krytyczna ocena amerykańskiego sekretarza stanu dotyczy głównie poglądów, które dotychczas głosił z uporem prezydent Andrzej Duda. Jeszcze w ubiegłym roku zapewniał on, że „Ukraina musi wygrać, bo tę wojnę musi wygrać Wolny Świat”. Jak pouczał polski prezydent na antenie Polsat News, „stanie się to wtedy, kiedy Ukraina odzyska kontrolę nad wszystkimi swoimi terytoriami, które kontrolowała przed rosyjską agresją w 2014 r., czyli łącznie z Krymem”. Zdaniem prezydenta Dudy stanowisko takie „to jest punkt bazowy, by podjąć jakąkolwiek rozmowę”. „Jeżeli chociażby kawałek ukraińskiej ziemi pozostanie w rękach rosyjskich i świat uzna fakt tej aneksji, tego

zaboru, to będzie oznaczało, że rosyjski imperializm pożarł to, co chciał pożreć, i będzie chciał brać kolejne kawałki, kolejne tereny i wtedy ta wojna wróci”.

Wygląda na to, że amerykańska polityka weszła na kurs kolizyjny z deklaracjami polskiego prezydenta. Jej sternik, Marco Rubio, „wmawianie ludziom”, że powrót do sytuacji sprzed aneksji Krymu jest możliwy, uważa za „konceptę zupełnie nierealistyczną”, a nawet „dopuszczenie się nieuczciwości”. Zupełnie inaczej niż Andrzej Duda postrzega też rozpoczęcie ewentualnych negocjacji z Rosją. Sekretarz Rubio zapewnia, że w przyszłych negocjacjach „Ukraina będzie musiała pójść na ustępstwa”. „Nie będzie wstępnych warunków. To będzie praca twardej dyplomacji, którą jako realisci stosowaliśmy na świecie w przeszłości. Obie strony w negocjacjach muszą coś od siebie dać, a to zajmie trochę czasu” – powiedział amerykański polityk.

Jak odnosi się Andrzej Duda do tego rodzaju sprzeczności, nie wiadomo. Nie zaprotestował on dotąd przeciw planowanemu przez Amerykanów obłaskawianiu ustępstwami rosyjskiego imperializmu. Zdaniem szefa gabinetu prezydenta, ministra Marcina Mastalerka, „relacje prezydenta Dudy z prezydentem Trumpem są serdeczne i przyjacielskie”. © ©



JOANNA SIEDECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

W szczecińskim raju

Zrujnowany, powojenny Szczecin był długo „Dzikim Zachodem”, pełnym rozbojów, gwałtów, mordów, band szabrowników. Kulturalną pustynią. Żeby ściągnąć tu znanych pisarzy, pierwszy szczeciński wojewoda, Leonard Borkowicz, zwany drugim Borejszą, bo tak jak on chciał być mecenasem ludzi pióra, zaofiarował im najpiękniejsze, kilkupokojowe, niewysabrowane, odnowione poniemieckie wille z ogrodami, antykami, obrazami i porcelaną, położone w atrakcyjnych dzielnicach – Pogodnie i Głębokim – wśród lasu nieopodal jeziora. Zapewniał im też byt – posady w radiu, „Głosie Szczecińskim”, urzędach. Mieli za to „organizować” kulturę i pisać, że prastary, piastowski Szczecin wrócił do Macierzy. Do literackiej kolonii, wzorowanej na sowieckim, podmoskiewskim Pieriedielnikie z daczami dla pupilów reżimu, zwabiono kilka dużych nazwisk. Jerzego Andrzejewskiego, autora „Popiołu i diamentu”, nazwanego przez Polaków „Gównem i zamętem”, który otrzymał willę ośmiopokojową, z fortepianem dla żony, srebrną zastawą, gongiem w przedpokoju, zawiadaniającym o posiłkach. Wielkimi zdobyczącami byli też Gałczyński, uszczęśliwiony willą – nie miał nigdy nawet własnego mieszkania – a także dwaj młodzi, żarliwi komuniści – Wiktor Woroszyński i Witold Wirpsza z Wirpszą, żoną, Marią Kurecką, tłumaczką, reporter Edmund Osmańczyk, poeta Tymoteusz Karpowicz – wszyscy z rodzinami, żonami, dziećmi. Po odwiedzinach u Andrzejewskiego Miłosz zachwycony stworzoną pisarzom idyllą napisał: „Oni osiedli w najlepszym z możliwych światów. Wrażenie jak u Pana Boga za piecem. To był świetny pomysł ze strony partii, żeby ich tam umieścić.

Aresztowania słabo docierały do willi w Szczecinie”.

Mimo to luksusowa enklawa szybko opustoszała, uciekli wszyscy jej mieszkańcy. Jako pierwszy Gałczyński, przyjechał w kwietniu 1948 r., a już w czerwcu tamtego roku przeszedł rozległy zawał. Oficjalnie nie służył mu tujszy klimat, nieoficjalnie – o mało się nie zapił. Organizowano mu bowiem ciągle wieczory autorskie, kończące się „poczęstunkiem”, bo wszyscy chcieli się z nim napić. Choć jest dziś ikoną Szczecina, to zostało po nim tylko kilka socrealistycznych, napisanych tu wierszy, a w szczecińskim IPN donosy o nim pisane przez agenta, którego dostał razem z willą. Jak się po latach okazało, zajmował się nie tylko domem i ogrodem poety, lecz także informował UB, kto go odwiedza, o czym mówią itd. W 1952 r. wyjechał Woroszyński, wyczuwając może, jak bardzo go tu nie lubiano, i nic dziwnego, bo był wtedy krostowatym, „pryszczatym”, fanatycznym bolszewikiem z nożem w zębach. Zajadłym, pryncypialnym i nietolerancyjnym dla wszystkich rzekomych wrogów ustroju. Nawet własnej żonie nie pozwolił zawiesić żyrandola, symbolu drobnomieszczaństwa, i kupować u nielicznych już prywaciarzy; urodzonego tu w 1949 r. syna ośmieszył, nazywając Feliksem na cześć Dzierżyńskiego, żartowano więc, że gdy urodzi mu się córka, zostanie Rewolucją. Budził strach – podczas dyskusji, a nawet wieczorów autorskich niby to przypadkowo wyjmował z kieszeni pistolet, kładł na stole. W swoich wierszach, a raczej propagandowych agitkach, wysławiał jako pierwszy towarzyszy z Urzędu Bezpieczeństwa, zwalczał licznych wrogów: zachodnich imperialistów, kułaków, „panów wsteczniczych”,

Mikołajczyka, nazywanego „Mikosrajczykiem” i „Znikolajczykiem”. W 1952 r. wyjechał na stypendium do Moskwy, gdzie złagodniał. Krążył nawet o tym wierszyk: „Woroszyński wrócił z Moskwy / Czy socrealizm stracił krosty?”. Andrzejewski wyjechał po trzech latach, w 1953 r., gdy uświadomił sobie, że płaci za willę zbyt wiele, i skończył się jako pisarz, został propagandzistą, agitator, towarzyszem – w 1950 r. za namową Woroszyńskiego, którego i on się bał, wstąpił do partii. Pisał tylko propagandowe broszury „Partia a twórczość pisarza”, „O człowieku radzieckim”, uznane później za swoją hańbę, cotygodniowe felietony do „Głosu Szczecińskiego”, organu PZPR, wydane w dwutomowej książce „Ludzie i zdarzenia”. O planie sześćdziesięciu, 60. urodzinach Bieruta, miłujących pokój Niemcach z NRD. Stał się też szczecińskim dygnitarzem – prezesem tamtejszego oddziału ZLP, członkiem Zarządu TPPR, Komitetu Obrońców Pokoju, posłem na Sejm, delegatem na zjazd partii. Witold Wirpsza wyjechał ostatni, w 1956 r. Był naczelnikiem wydziału kultury urzędu wojewódzkiego i miał dość urzędowania, obowiązkowych szczecińskich wierszy, jeden z nich nosił tytuł: „Piecowy Jaszczyszyn ze szczecińskich zakładów nawozów sztucznych”. Miał dość niechęci pisarskiego środowiska szczecińskiego, żyjącego w o wiele gorszych warunkach. Odwołano też wojewodę Borkowicza, a jego następcy nie dbali o kulturę, o „desant z centrali”, skończyło się więc finansowanie mu remontów i napraw, zapewnianie opału i transportu tak ważnego dla oddalonej od centrum dzielnicy, zaczęło się natomiast dokwaterowanie lokatorów z kwaterunku i to był koniec enklawy. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Ameryka deportuje nielegalnych imigrantów. W tym samym czasie Unia Europejska wymusiła na państwach członkowskich Pakt Migracyjny – deportacja nielegalnych z Europy będzie niemożliwa. Polska dostanie hordy kolorowych i nie będzie ich mogła ani odesłać z powrotem do Niemiec, ani deportować do krajów pochodzenia.

Kandydat Karol Nawrocki zapowiedział, że gdy zostanie wybrany na prezydenta, to jednostronnie wypowie Pakt Migracyjny. Czy prezydent RP ma takie uprawnienia? Jeżeli ma, to czemu Paktu nie zrywa już teraz Duda? Obaj z Nawrockim reprezentują obóz Kaczyńskiego, więc czemu nie zerwą Paktu od ręki? A czy prezydent RP ma jakiegokolwiek siły bądź instytucje, aby wprowadzić w czyn takie jednostronne zerwanie umowy? A co, jeżeli premier będzie nadal realizować Pakt Migracyjny? Za prezydentem musiałaby stać jakaś realna siła – tylko wtedy to się uda.

Za Trumpem stanął naród amerykański i to naród pilnuje, by program Trumpa był wcielony w życie. Na przykład jednostronne wypowiedzenie Paryskich Porozumień Klimatycznych, umowy z WHO... a także nakaz, aby na ambasadach i budynkach rządowych wieszać wyłącznie flagi USA (żadnych tęczowych, palestyńskich, ukraińskich...), koniec finansowania aborcji z pieniędzy państwowych, koniec deprawowania dzieci w szkołach (w PL robi to Nowacka), koniec z finansowaniem wojny na Ukrainie, koniec z ideologią gender – słowo „gender” ma być zastąpione słowem „płeć”



FOT. W. CEJROWSKI / LUDYJANISAW.SUSNICKI

we wszystkich dokumentach państwowych, na rządowych stronach internetowych itd., a wszelkie formularze mają oferować wyłącznie opcje: mężczyzna/kobieta. Władza federalna będzie brać za podstawę płeć, a nie „tożsamość płciową”.

Ameryka to największa demokracja świata, większa niż Unia Europejska. USA to pierwsze państwo w historii, gdzie uchwalono konstytucję. Skoro więc Stany Zjednoczone deportują nielegalnych, to znaczy, że masowa deportacja nie jest czymś niedemokratycznym. Można mieć demokratyczne państwo i jednocześnie odsyłać przestępców do krajów, z których pochodzą, lub po prostu precz – do kraju, z którego weszli na nasz teren. Nie ma absolutnie ŻADNYCH przeciwskażeń w prawie międzynarodowym, aby deportować KAŻDEGO, kto wlaź na nasz teren nielegalnie. Prawo międzynarodowe NIE chroni przestępców, a każdy, kto przekracza granicę nielegalnie, jest przestępcą, bo nielegalne przekroczenie granicy to przestępstwo. Należało na granicy poprosić urzędnika o azyl, jeżeli ma się do tego powody. Kto nie prosił, lecz wdarł się na nasz teren bez pytania, ten jest przestępcą i podlega deportacji. Koniec tematu. Też wykładni trzyma się największa demokracja świata.

W Unii Europejskiej jest inaczej, bo w Unii pierwsze skrzypce grają Niemcy, czyli

państwo o tradycjach totalitarnych. Niemcy – państwo, które wywołało dwie wojny światowe. Niemcy – państwo, które okupowało terytoria Polski przez 123 lata zaborów. Niemcy – państwo, które było zawsze agresywne wobec sąsiadów. Włochy miały Mussoliniego, ale tam u nich to był wypadek przy pracy. Z kolei Niemcy miały Hitlera i to już nie był żaden wypadek przy pracy lecz teutońska tradycja totalitarna; wcześniej w historii mieli np. Bismarcka. Unię Europejską kształtuje tradycja totalitarna.

Stany Zjednoczone idealne nie są, ale jednocześnie są w historii świata wzorem demokracji. Kto uważa inaczej, niech wskaże jakiś inny przykład wzorcowej demokracji. Kto uważa inaczej, niech wskaże inne państwo, do którego się uciekało (i nadal ucieka) przed prześladowaniami w innych częściach świata.

Ameryka broni swoich granic przed nielegalnym napływem obcej ludności. Ameryka wzięła się za oczyszczenie swojego terytorium z ludzi, którzy wdarli się tam nielegalnie. Bo rolą demokratycznego państwa jest zapewnienie bezpieczeństwa, dobrobytu i wolności swoim obywatelom. Swoim, a nie obcym.

Pakt Migracyjny nie zapewnia obywatelom państw europejskich ani bezpieczeństwa, ani dobrobytu, ani wolności. Bo co to za wolność, gdy wbrew swojej woli, wbrew chęciom, a nawet wbrew moż-

liwościom musisz przyjmować do siebie obcych?

W Polsce i Europie przedstawia się Trumpa jako nieprzewidywalnego szaleńca. Jeżeli już, to szaleńcem jest Naród Amerykański. To, co „wyrabia” Trump, to nie jest żadna jego wina ani obsesja. Trump realizuje obietnice wyborcze. Robi to punkt po punkcie. Na razie nie wykonał niczego, co można by nazwać jego osobistą fanaberią. A zatem to Naród Amerykański odpowiada za to, co „wyrabia” Ameryka, bo to Naród zagłosował na taki program wyborczy. Trumpa należy chwalić za to, że SZANUJE wolę wyborców.

Nastroje społeczne w Ameryce uległy zmianie. Już ludzi nie ruszają propaganda i szantaże emocjonalne – że jak nie kochasz imigrantów, to jesteś zły człowiek. Zwykli ludzie przestali się bać, pokazują swoje twarze i nazwiska, publikują filmiki, gdzie dzielią się radością z masowych deportacji. Gdy w kilku miastach pojawiły się protesty antydeportacyjne, na których imigranci machają obcymi flagami, przeklinając Amerykę, z której nie chcą się wynieść, i paląc flagę USA, w odpowiedzi pojawiły się hasła następującej treści: „J...ć wszystkie wasze obce flagi. Deportacja TAK”. Kilka lat temu takie hasła byłyby uznawane za skrajne i co najmniej niegrzeczne. Dziś już nie.

W Polsce pojawiają się ten sam nastrój, te same uczucia. Chęć ochrony własnego kraju przed obcymi jest jak najbardziej normalna i dobra. I niech o tobie mówią „ksenofob”, ile tylko chcą. Traktuj to jak Order Orła Białego. Kiedyś wydawało mi się, że hasło „Polska dla Polaków” jest trochę niegrzeczne. Dziś już nie. ©

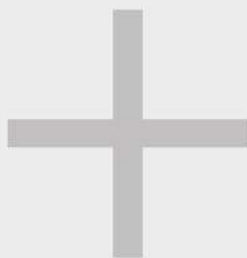
Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



~~771~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

IWONA KIENZLER:

„ŻONY I KOCHANKI KOMUNISTÓW”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

293,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 478zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpmg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl d06ec961c0



Dbamy o wartość polskiego pieniądza

Złoto Polaków 450 ton złota

dla bezpieczeństwa polskich rodzin



100
ton złota

450
ton złota

2016

Wzrost rezerw złota w trakcie kadencji prof. Adama Glapińskiego

2025

Polska z 450 tonami złota w rezerwach NBP znajduje się w światowej czołówce największych posiadaczy złota wśród banków centralnych, wyprzedzając m.in. Wielką Brytanię, Hiszpanię oraz Austrię i zbliża się do Europejskiego Banku Centralnego.